

Biblioteka
UMK
Toruń

387060

62

10002

(((

50281

B I B L J O T E K A I S K I E R

JAN MARJAN DĄBROWA

TELEWIZOR ORKISZA

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA

Z 10 ILUSTRACJAMI



K S I A Ź N I C A - A T L A S

ZJEDNOCZONE ZAKŁADY KARTOGRAF. I WYDAWNICZE

TOW. NAUCZ. SZKÓŁ ŚREDN. I WYŻ. — S. A.

LWÓW — WARSZAWA

1929



4017-3468

387060

W. 1451/67

2183

J. J. ...

Rozdział I.

Dziwy na wyspie Oldisland.

— Pozwoliłem sobie zaprosić pana Mr. Holmes do siebie w tym celu, aby go poinformować, że pańskie starania w sprawie dzierżawy wyspy Oldisland w zatoce Seattle-Bay zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Urząd dóbr państwowych stanu Washington zgadza się na wydzierżawienie panu na lat 25 wyspy Oldisland o powierzchni 15 ha za czynszem ryczałtowym w wysokości 10.000 dolarów.

Temi słowy przywitał Mr. Sydney, referent urzędu, przybyłego doń Mr. Holmesa, znanego adwokata w mieście Seattle, stolicy stanu Washington.

— Jestem niezmiernie zadowolony, Mr. Sydney, że udało mi się w tak krótkim czasie spełnić polecenie i życzenie moich mocodawców — odparł adwokat.

— Ach, więc pan nie dla siebie starał się o dzierżawę tej wysepki? — zapytał ze zdziwieniem Mr. Sydney. Adwokat odparł z uśmiechem:

— Nie sądzi pan chyba, aby człowiek mojego pokroju, zajmujący się przeważnie intratnymi interesami, widział jakiegokolwiek praktyczne korzyści w dzierżawieniu nieurodzajnej, skalistej wysepki, którą już od paru lat porzucili nawet bezdomni rybacy.

— Istotnie — odparł urzędnik — przyznam się panu, że ja również byłem zdziwiony, znając pana jako wytrawnego „bussinesmana“, pańskimi gorączkowymi zabiegami około tej dzierżawy. Niechże pan zechce zaspokoić moją ciekawość i objaśni, kim są pańscy mocodawcy, którzy widocznie zapragnęli ucieczki od wielkiego świata na bezludną i opuszczoną wysepkę.

— Mogę śmiało zaspokoić pańską ciekawość, Mr. Sydney — odparł adwokat — nie będę również niedyskretny w stosunku do moich klientów, gdyż w akcie dzierżawy, który wszak wypadnie sporządzić, ich nazwiska muszą być uwidocznione. Oto są to trzej znani profesorowie uniwersytetu: Amerykanin Sam Wilson — chemik, Jan Orkisz — fizyk, zamerykanizowany Polak i Paweł Vincent — astronom, Kanadyjczyk. Ci trzej profesorowie, zresztą serdeczni przyjaciele, zgłosili się do mnie przed pół rokiem, dali plenipotencję do prowadzenia ich interesów i zlecili kupno lub długoletnią dzierżawę jakiejś możliwie niezamieszkałej wysepki w zatoce Seattle-Bay. Przyznam się panu, Mr. Sydney, że sam byłem zdziwiony tem niezwykle zleceniem, lecz panowie profesorowie czynili wrażenie tak poważnych klientów, a przytem rozporządzali znacznym kapitałem, że nie wchodząc bliżej w szczegóły, zdecydowałem się podjąć prowadzenia ich interesów.

— Rzeczywiście, jest to niezwykle zlecenie — nadmienił Mr. Sydney — i zapewne zdarzyło się podobne po raz pierwszy w pańskiej praktyce adwokackiej. Stany Zjednoczone mają jednak opinię krainy niezwykłych ludzi i niezwykłych zdarzeń; nie wypadła

przeto nam, jako obywatelom z pod gwiazdzistego sztandaru, dziwić się nawet takim ekstrawagancjom trzech uczonych. W tej chwili dzwonek telefonu zadźwięczał; urzędnik po krótkiej rozmowie pożegnał Mr. Holmesa i oznajmił, że za kilka dni wezwie go w celu podpisania aktu dzierżawy wyspy Oldisland.

* * *

W niespełna rok po opisanej rozmowie, pewnego pięknego popołudnia lipcowego Mr. Holmes siedział przy biurku w swoim kantorze, mieszczącym się w dzielnicy handlowej miasta Seattle, i przeglądał w wielkiej księdze rachunki licznych klientów. Właśnie odwrócił kartę, na której u góry wypisane były nazwiska: Orkisz, Wilson, Vincent. Na karcie po stronie „Winien“ widniały całe szeregi pokaźnych sum, co świadczyło o licznych i dużych wydatkach, zaś po stronie „Ma“ poza naczelną sumą miliona dolarów nie było widać żadnych innych wpływów kasowych.

— Ciekawa rzecz — mruknął pod nosem Mr. Holmes — czy moi trzej uczeni klienci pamiętają dobrze zasady arytmetyki handlowej i czy nie zechcą odejmować większej liczby od mniejszej, bo coś mi się wydaje, że ich fundusze są na wyczerpaniu; ha, spróbujmy podsumować wydatki. Adwokat sięgnął ręką po maszynę rachunkową i po upływie minuty saldo było gotowe.

— Tak jest — monologował do siebie Mr. Holmes — moi profesorowie istotnie przeholowali w wydatkach; z miliona dolarów, które mieli rok temu, pozostało zaledwie kilka tysięcy.

W tym momencie służący wszedł do kantoru i oznajmił przybycie profesora Wilsona.

Do pokoju wszedł wysoki, barczysty mężczyzna w wieku około lat czterdziestu, starannie ogolony, sprawiający wrażenie człowieka uczonego, lecz zarazem świątowca, obdarzonego dużym zmysłem praktyczności.

— Witam pana, Mr. Wilson — zawołał, powstając od biurka, adwokat — doskonale się składa, że widzę profesora, gdyż właśnie przeglądałem rachunki panów i powziąłem zamiar wezwać go w celu przedstawienia niezbyt pomyślnego stanu interesów.

— Wiem, co mi pan chce powiedzieć, Mr. Holmes — przerwał, uśmiechając się wesoło profesor — niewiele pozostało nam pieniędzy. No, jakoś sobie poradzimy; wprawdzie kasy uczonych zawierają zwyczaj więcej skarbów duchowych niż materialnych, lecz w danym razie... może się zdarzyć, że skarby ducha zostaną zamienione... na brzęczącą monetę — ciągnął z wolna Wilson z wesołym i trochę tajemniczym uśmiechem.

— Nie miałem zamiaru martwić pana — odrzekł Mr. Holmes, urażony nieco wesołością profesora — z obowiązku plenipotenty wynika, aby przestrzegał swoich klientów przed zbytnią rozrzutnością... A muszę stwierdzić, że w ostatnich miesiącach zużyli panowie tak wielkie sumy na budowę i inne inwestycje na wyspie Oldisland, iż kapitały spółki panów są na wyczerpaniu.

— Przypuszczałem to, panie Holmes, a co gorsze, że dalecy jesteśmy jeszcze od wykończenia zamierzonych planów. Według najskromniejszych obliczeń na-

szych potrzebujemy jeszcze z pół miliona dolarów na doprowadzenie rozpoczętego dzieła do końca.

— Wybaczy pan, panie profesorze, moją niedyskrecję... czy nie będzie to zbyt wielka śmiałość z mojej strony, jeżeli zapytam, jaki też cel macie panowie na widoku, wkładając tak olbrzymie sumy w dziwaczne budowle na owej skalistej wysepce. Przyznam się panu, że już krążą różne pogłoski o waszem tajemniczym przedsięwzięciu.

— Niestety, panie Holmes, nie mogę całkowicie zaspokoić pańskiej ciekawości... nie dlatego, aby plany nasze kryły jakąś złośliwą tajemnicę..., ale z powodu, że dalecy jeszcze jesteśmy od realizacji naszych projektów... Oto, prosto trzech uczeni zapragnęli w ciszy i spokoju pracować dla dobra nauki, a tem samem i dobra ludzkości. Jeżeli zaś uda im się osiągnąć zamierzone cele, może kiedyś będą mogli wtajemniczyć szerszy ogół w swe prace. Ale wracajmy do naszej sprawy; mianowicie przyjechałem do pana, aby zapytać, czy nie możnaby zaciągnąć znaczniejszej pożyczki w celu umożliwienia nam dokończenia rozpoczętych inwestycji na wyspie. Mówię o pożyczce krótkoterminowej, gdyż mam bezwzględna pewność, że w niedługim czasie będę mógł ją spłacić.

Mr. Holmes nie odpowiadał odrazu, widać było, że się zastanawia. Objaśnienia uczonego nie zadowolniły go. Wszak wiadomo, że uczeni niejednokrotnie mają utopijne pomysły, biorą marzenia za rzeczywistość; czyż on, poważny bussinesman może wdawać się w jakieś ryzyka finansowe poto, aby protegować tajemnicze fantazje dziwaków.

— Niezmiernie mi przykro, panie profesorze —

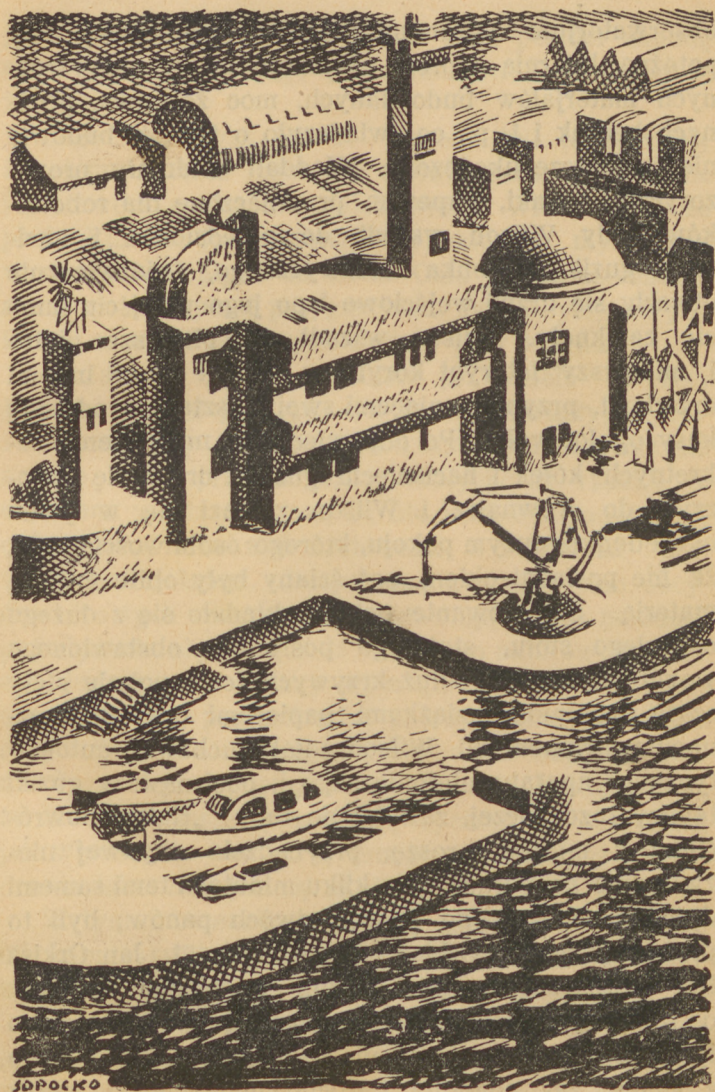
głosem smętnym odparł Mr. Holmes — lecz narazie nie widzę możliwości zdobycia znaczniejszej pożyczki dla panów. Gdyby wyspa Oldisland i budynki na niej wznoszone miały jakieś wyraźne praktyczne przeznaczenie, wówczas miałbym podstawę do starań o pożyczkę hipoteczną, lecz w obecnym stanie rzeczy, przyzna to sam pan profesor, jest to niemożliwe.

— Ha, cóż robić, rozumiem pana i nie mogę mieć do niego żalu — wyrzekł Wilson. — Będziemy musieli wobec tego sami sobie poradzić. Z temi słowy Wilson opuścił biuro adwokata i wszedł do oczekującego go samochodu.

* * *

W parę godzin później łódź Wilsona zbliżała się do wyspy Oldisland. Na sygnał syreny dany z łodzi zajaśniały na wysepce potężne reflektory elektryczne, których światła, ślizgając się po powierzchni morza, niebawem oświetliły motorówkę, poczem krąg świetlny sunął po falach, jakby prowadząc żeglarzy do miejsca lądowania. Po kilku minutach Wilson wpłynął do małego betonowego basenu, który zamknął się za nim bezszelestnie kratą zaporową.

Po kamiennych schodach i wyasfaltowanym chodniku przeszedł Wilson ze dwieście kroków i znalazł się przed dziwnym budynkiem, wzniesionym na wzgórk. W kilku oknach budynku jaśniały światła; przy słabym ich refleksie niesamowicie wyglądały zarysy budowli, która przypominała w jednej swej części jakby obserwatorium astronomiczne z wielką kopułą; boczne skrzydło budynku było zakończone wysoką wieżą kształtu walca, przewyższającą kopułę



SDPOCKO

Marysia i Zdzisio

obserwatorium astronomicznego i zakończoną niby potężną latarnią morską. Naokoło leżały stopy różnych materiałów budowlanych, moc żelastwa, próżnych beczek i t. p., co świadczyło o tem, że budowle nie są jeszcze ukończone. Woddali widniały prowizoryczne baraki, zapewne przeznaczone dla robotników. Gdy Wilson wszedł do przedsionka i nacisnął guzik dzwonka elektrycznego, niezwłocznie otwarły się drzwi wejściowe i po jego przejściu same się zamknęły. Wilson wszedł na pierwsze piętro i, minąwszy labirynt korytarzy, stanął przed innymi drzwiami, przypominającymi swoim kształtem odrzwia kasy ogniotrwałej. Po odpowiednim nastawieniu sekretnych kółek i naciśnięciu guzika drzwi się otworzyły do wewnątrz i Wilson znalazł się w jasno oświetlonym dużym pokoju, którego osobliwością było, że nie posiadał okien, zaś ściany były obite miękką materją. Umeblowanie pokoju składało się z dużego okrągłego stołu, stojącego pośrodku, obstawionego wokół fotelami. Wzdłuż krzywych ścian pokoju stały szafy napełnione książkami, papierami oraz dziwaczными instrumentami. Wilson zdjął słuchawkę automatycznego aparatu telefonicznego i, pocisnąwszy guziki tablicy rozdzielczej, zawołał do tuby: „Hallo! Powróciłem z miasta; proszę, przybądźcie obydwaj niezwłocznie na naradę“. Po kilku minutach temi samymi drzwiami weszło do pokoju dwóch panów; byli to profesorowie Jan Orkisz i Paweł Vincent. Jan Orkisz był mężczyzną w sile wieku, wysokiego wzrostu, o rumianych policzkach, sumiastych wąsach, nieco łysawy. Czynił on wrażenie człowieka zadowolonego z siebie, zaś pogodny i trochę marzycielski wyraz

jego niebieskich oczu nadawał całej postaci znamię człowieka, dla którego praca naukowa stanowi treść i cel życia.

Jego towarzysz Paweł Vincent był to szczupły i małego wzrostu jegomość o rozwichrzonej czuprynie i matowem spojrzeniu dalekowiedza. Widać było, że prof. Vincent jest człowiekiem, którego myśl buja w sferach odległych od ziemi. Cała postać astronoma nieco za szczupłą i przygarbioną świadczyła, że pan Paweł często i długo przesiaduje przy biurku.

— Jak się macie, kochani przyjaciele — rzekł Wilson, wyciągając ręce do swoich towarzyszy. Pozwoliłem sobie zakłócić wasz spokój i wezwać na naradę, choć przyznacie, że dotychczas rzadko to czyniłem, wiedząc o tem, że nie lubicie zajmować się codziennymi troskami życiowymi, a zwłaszcza sprawami materialnemi. Dotychczas zwykłem sam decydować o tych rzeczach, pozostawiając wam możność poświęcania się wyłącznie badaniom naukowym; dzisiaj jednak stan rzeczy wymaga, abyście i wy, kochani koledzy, przyszli mi z pomocą przez udzielenie rady. Sam nie chciałbym przyjmować odpowiedzialności za dalsze postępowanie. Chodzi bowiem o to, że fundusze nasze zupełnie się wyczerpały, natomiast, jak wiecie, nie wszystkie zamierzone budynki i urządzenia laboratoryjne są ukończone.

W tym momencie astronom oderwał swój wzrok od kopuły sufitu, przeniósł go na Wilsona i ze zdziwieniem, graniczącym z naiwnością, odezwał się:

— Jakże nam może braknąć pieniędzy; wszak posiadasz w swoim laboratorium kopalnię złota, bogatszą od dawnego Klondike. Czyżby złoto przestało

już być wartościowym kruszczem dla mieszkańców ziemi, podobnie jak to ma miejsce na planecie Wenus, gdzie według moich przypuszczeń złoto jest tak rozpowszechnione, jak na ziemi ołów lub miedź.

— Nie, kolego Pawle, jeszcze złoto ma swoją wyjątkową wartość dla ludzi — ze śmiechem odparł Wilson — co prawda leży to w mej mocy pozbawić ich pewnego pięknego poranku tej złoty złotego cielca, gdyż mógłbym opublikować moją metodę przetwarzania metali. Lecz w tym właśnie cała trudność, że złoto przeze mnie wyprodukowane, chociaż jest najczystszy kruszczem szlachetnym, nie może być jednak przez zwykłą sprzedaż zamienione na pieniądze.

— A to dlaczego? — przerwał astronom — pójdź poprostu do pierwszego lepszego złotnika i zaproponuj mu nabycie kilku brył złota.

— Nie jest to tak proste, drogi Pawle — wnieśli się Orkisz do rozmowy. — Zapominasz o tem, że złoto samorodne, a takie właśnie wytwarza nasz kolega Wilson, jest przede wszystkim rzadkością, następnie, że aby uzyskać potrzebną nam kwotę pół miliona dolarów, musielibyśmy spieniężyć aż 800 kilogramów kruszczu.

— Tak jest, moi przyjaciele, Jan ma zupełną słuszność, spieniężenie takiej ilości złota nie jest rzeczą prostą, należałoby się zwrócić do Banku Państwa, co oczywiście pociągnęłoby potrzebę wyjaśnienia pochodzenia owego złota. A wszak nie mogę ogłosić światu, że wytwarzanie jednego kilograma złota kosztuje zaledwie jednego dolara, gdyż wywołałoby to całkowity przewrót w stosunkach gospodarczych na ziemskim globie. Byłoby to wprost katastrofalne dla

całej ludzkości, gdyż w konsekwencji wstrząsu gospodarczego wyniknęłyby rewolucje, a co za tem idzie, nędza powszechna i upadek kultury.

— Słusznie — odezwał się Orkisz — jeszcze dzisiaj nie powinieneś ujawniać światu swoich doniosłych odkryć w dziedzinie przemiany metali, chyba dopiero za parę lat, gdy nasze dalsze pomysły zostaną urzeczywistnione i gdy będziemy w stanie przedłożyć konkretne projekty. Jak jednak zaradzić dzisiejszym potrzebom? Na wykończenie laboratorium fizycznego potrzeba jeszcze poważnej sumy, przypuszczalnie około 200.000 dolarów...

— Zapominasz, proszę cię, Janie — porywczwo wtrącił pan Paweł — że moje obserwatorium ma daleko pilniejsze potrzeby. Nie umiem obliczyć dokładnie, ile to może kosztować... Macie wszak moje plany i możecie sami to uczynić... Jeżeli zaś odmówicie mi potrzebnych aparatów optycznych i mierniczych, zmusicie mnie tem samem do porzucenia wyspy i powrotu do mego obserwatorium uniwersyteckiego...

— Ależ astronomie, uspokój się — przemówił łagodnie Wilson — możesz być pewny, że potrzeby twego obserwatorium są równie pilne, jak i inne projektowane urządzenia. Nie gorączkuj się, skorośmy raz przyrzekli sobie wspólnie przeprowadzić nasze wielkie plany dla dobra ludzkości, musimy je niezłomnie wykonać i żadne trudności nie powinny nas od tego odwieść! Przywołajmy przeto zimną krew i rozsądek na pomoc i radźmy.

Dłuższa chwila milczenia zapanowała wśród obecnych. Niezwykły obraz przedstawiał ten dziwny pokój, oświetlony łagodnem, lecz silnem światłem,

rozpraszanem przez rtęciowe lampy, zamknięte w mlecznych kulach, przytwierdzonych do sufitu. Ciszę przerywał miarowy dźwięk wahadła zegara elektrycznego. Pierwszy przerwał milczenie astronom.

— Wybaczcie, że jeszcze raz powrócę do mego pierwotnego projektu. Nie pojmuję, dlaczego Bank Państwa miałby odmówić kupna złota, zwłaszcza od tak poważnego sprzedawcy, jakim jest nasz kolega Wilson, powszechnie znany i poważany obywatel amerykański.

Słowa astronoma wyrwały Orkisz z zadumy.

— Zaiste położenie nasze nie jest łatwe. Gdy przed kilku laty zdołałem was, drodzy przyjaciele, zainteresować projektami moich wynalazków w dziedzinie „przenoszenia zmysłów na odległość“, nie przewidywałem wtedy, że moje prace i badania będą wymagały tak wielkich środków pieniężnych. Wprawdzie kolega Wilson już wkrótce potem rozwiązał wszelkie moje obawy w tej kwestji, gdyż zwierzył mi się ze swoim odkryciem taniego sztucznego złota i ta właśnie okoliczność spowodowała, że może nazbyt lekkomyślnie zdecydowaliśmy się na stworzenie kosztownych laboratoriów na tej oto wyspie. Czynię sobie poniekąd wyrzuty wobec was, gdyż uważam siebie za głównego winowajcę. Niewątpliwie ujawnienie sposobu produkowania taniego sztucznego złota mogłoby spowodować ludzkość wojny, anarchję, a może i zagładę. Po głębszym namyśle nad tą sprawą mogę tylko dać ogólną radę, że pod żadnym pozorem nie możemy podać do wiadomości publicznej, iż Sam Wilson, wielki chemik, odkrył metodę wytwarzania kilograma złota za cenę jednego dolara. Radbym teraz

zastyszcę twoje zdanie, wielki chemiku i drogi przyjacielu Samie.

Wilson, który bacznie słuchał słów Orkisz, w oczach zaś jego widać było żywy bieg myśli i błyski decyzji, powstał ze swego krzesła, wsparł się rękami o stół, z czego wnosić należało, że ma pewien plan rozwiązania tej zawiłej kwestji i pragnie go umotywować w dłuższem przemówieniu.

— Zbędne są twoje obiekcje, przyjacielu Janie. Niepotrzebnie sobie czynisz wyrzuty, gdyż żaden z nas nie może i nie powinien żałować tego, cośmy dotychczas uczynili. Powiem więcej, nie wolno nam wątpić, że nasze plany, zmierzające do wskazania ludzkości dalszych dróg doskonalenia się i rozwoju, już niedługo, pomimo wszelkich przeciwności, zostaną urzeczywistnione. Wszak znacie mnie oddawna i wiecie, że poświęcając swe siły i życie studjom w dziedzinie chemji, nie miałem specjalnie na widoku zdobycia majątku. Odkrycie sposobu przetwarzania ołowiu na złoto było ubocznym produktem moich badań. Ideałem mym bowiem — że tak się wyrażę — albo lepiej nicią przewodnią szeregu mozolnych prób i dociekań jest i było badanie wewnętrznej budowy materji. Wydobyć z tej materji utajone w niej olbrzymie zasoby energii, opanować te niezmierzone zapasy ukrytych w molekułach i atomach sił... i ujarzmiwszy, zużytkować je dla dobra i rozwoju ludzkości — oto hasła przyświecające mej pracy.

Poznaliśmy się przed laty, kochani koledzy. Ty, Janie, zwierzyłeś mi się ze swoich zamiarów i planów, polegających na niezwyklej a potężnej idei „przenoszenia zmysłów ludzkich na dowolną odle-

głośność“; już przed kilku laty podziwiałem twój model „telewizora“, przy pomocy którego zdołałeś dostrzegać przedmioty niedostępne dla oka nieuzbrojonego. Ba! wkrótce potem udało ci się zbudować „teleakuston“, umożliwiający chwytanie z odległości dźwięków, niedostępnych dla ucha. Co za genialne pomysły! — roilem sobie. Jakież olbrzymie perspektywy otwierają się dla ludzkości z chwilą udoskonalenia tak cudownych wynalazków!..

— Niczem fantazja indyjskich jogów!... bo oto osoba moja, znajdująca się w Seattle, może odnosić wrażenia wzrokowe, słuchowe..., a może i dotykowe tak, jakgdybym był obecny w dowolnie wybranych miejscach, o setki i tysiące kilometrów ode mnie odległych. W umyśle moim poczęły coraz śmieiej wylaniać się fantastyczne obrazy przyszłego życia ludzkiego, glob ziemski wydał mi się za szczupłym dla potęgi ludzkiej myśli!

Wtedy to poznałem ciebie, kolego Pawle, twoje projekty podróży międzyplanetarnych wydały mi się wówczas najrealniejszymi zamiarami, dalekimi od tego, aby pozostać czczą fantasmagorją. Cóż bowiem prostszego, marzyłem, Orkisz wyśle naprzód swój wzrok na zwiady hen w przestrzenie kosmiczne ku planetom i gwiazdom, zbada drogę i tereny przyszłych podróży; — zbudujemy raketę, poruszaną zapomocą utajonych w atomach materji sił i, obrawszy jedną z dróg tak dokładnie obliczonych przez ciebie, Pawle, oderwiemy nasze ciała i dusze od globu ziemskiego, aby ruszyć na podbój wszechświata.

Orkisz i Vincent słuchali słów przyjaciela w radosnem skupieniu. W duszy obydwóch na nowo od-

żyły młodzieńcze projekty, które niby gwiazdy przewodnie przyświecały ich mozolnej pracy naukowej. Wilson w słowach, wypowiedzianych z gorącym zapałem, ponownie podsycił nieco stłumione ogniki ideałów młodości. Zapewne dzisiaj, po wielu latach znoonej pracy badawczej, zdają sobie dokładnie sprawę z olbrzymich trudności, piętrzących się na drodze ku urzeczywistnieniu tak fantastycznych pomysłów — jednakże niezrażeni idą naprzód wolno, lecz ciągle. Dlaczegożby wątpić mieli w urzeczywistnienie?!

Wilson po chwili ciągnął dalej:

— Zdawałem sobie sprawę z tych wielkich trudności, jakie wypadnie pokonać, zanim osiągniemy takie niezwykle i zawrotne wyżyny. Przedewszystkiem potrzebne będą środki materialne — wprost góry złota! I wtedy dobry „genjusz fantazji“ przyszedł widocznie z pomocą: pewnego dnia w mej retorce dostrzegłem błyszczące bryłki złota. Kilo złota za jednego dolara! Toż to najlepszy klucz do zrealizowania najśmielszych fantazyj! Zazdrośnie kryłem tajemnicę swego odkrycia, gdyż złoto było mi tylko środkiem do urzeczywistnienia wyższych celów. Spieniężając drobne stosunkowo ilości kruszczu, zdołałem przy waszej pomocy zbudować tu oto na wyspie „kuźnię naszych zamiarów“, nie zastanawiałem się wówczas nad tem, że owoc mych badań jest to owoc piękny, lecz zdradliwy, kryjący w sobie truciznę. Cóżby się bowiem stało, gdybym opublikował mój wynalazek? — Przewrót gospodarczy, zatem rewolucje i wojny, zniszczenie i zagłada kultury i ludzkości!... Cóż zatem począć? Wszak pieniądze są nam potrzebne... Ba, nawet potrzeba dużo...

Poznałem

Lecz mam pewną ideę — oto projekt rozwiązania tego zagadnienia:

Jak wiecie, Stany Zjednoczone są dzisiaj najbogatszym państwem na kuli ziemskiej, państwem, które od czasów wojny europejskiej zdołało zgromadzić w swoich skarbcach trzy czwarte ogólnej ilości złota i które na skutek tego stało się dyktatorem w życiu gospodarczym całej kuli ziemskiej. Jestem obywatelem i patriotą St. Zjednoczonych, jestem człowiekiem, miłującym ludzkość i pragnącym jej dobrobytu i szczęścia. To też nie pozwolę na to, aby moje odkrycia mogły się przyczynić do nieszczęść ludzkości. Sekret wytwarzania sztucznego złota złożę do skarbcza państwowego Stanów Zjednoczonych i wzamian zato zażądam otwartego kredytu..., aż dopóki nasze wielkie plany nie zostaną urzeczywistnione. Jutro udaję się do Washingtonu; sądzę, że za kilka dni powrócę... z książką czekową Banku Państwa!

Wilson skończył swoją przemowę i skierował pytający wzrok na przyjaciół. Astronom, jak się zdało, zupełnie obojętnie przyjął projekt swego kolegi; myślał właśnie o tem, jak to pięknie musi być na planecie Wenus, gdzie średnia roczna temperatura jest parokrotnie wyższa od ziemskiej. Widząc pytające spojrzenie Wilsona, odparł, jękając się:

— Ja... uważam..., że... powinniśmy prędzej rozpocząć budowę rakiety... międzyplanetarnej.

— To znaczy, że zgadzasz się na mój projekt, Pawle — śmiejąc się, nadmienił Wilson — a jakież twoje zdanie, kolego fizyku?

— Projekt jest dobry — odparł Orkisz — obawiam się tylko, czy rząd Stanów Zjednoczonych błędnie

nie zrozumie twoich intencji. Pojmuję twój projekt tak, iż wzamian za zrzeczenie się praw do wytwarzania sztucznego złota, zażądaś od rządu pewnej sumy pieniężnej. Jakiej wysokości ma być ta suma? — Czy na tem tle nie wynikną jakie nieporozumienia, targi, układy i t. p. — co w każdym razie spowoduje dłuższą zwłokę, udaremniając nam narazie dalszą pracę.

— O tem już myślałem — odrzekł Wilson — to też nie będę traktował z rządem jako zwykły wynalazca, który pragnie wyłącznie osiągnąć największe korzyści materialne, lecz szczerze i otwarcie przedłożę zarys naszych projektów; zobowiążę się w swoim i waszem imieniu, że nie nadużyjemy wymaganego kredytu. Zresztą mogę się nawet zgodzić na pewną maksymalną wysokość owego kredytu, powiedzmy 5,000.000 dolarów. Sądzę, że taka kwota wystarczy na zbudowanie własnym kosztem nawet rakiety międzyplanetarnej.

Zważcie wszak, że już dzisiaj posiadamy cały szereg drobnych wynalazków, które w razie dalszej potrzeby środków materialnych zdołamy zawsze korzystnie spieniężyć. Mogę się również zobowiązać, że wszelkie dalsze poczynania, a zwłaszcza podróże międzyplanetarne, będziemy przedsiębiorali w porozumieniu i za zgodą rządu.

— Ha, spróbuj — odrzekł Orkisz — jedź kolego do Washingtonu i obyś corychlej i z pomyslnemi wieściami powrócił.



Nie posiadamy bliższych wiadomości o przebiegu konferencji, jaką Wilson odbył z sekretarzami Stanów w Washingtonie, gdzie zabawił około dwóch tygodni. Trzej uczeni najwidoczniej zobowiązali się do zachowania w jak najściślejszej tajemnicy całej tej sprawy. Pewne atoli dane po temu, iż misja profesora Wilsona została jednakże uwieńczona pomyślnym skutkiem, doszły dopiero w parę miesięcy później do ogólnej wiadomości. Oto w październiku tego roku niektóre dzienniki w Seattle zamieściły sensacyjne wiadomości o naszych uczonych znajomych. Oczywiście trudno powiedzieć, czy i o ile prawdziwe były te wieści; w każdym razie przez parę następných tygodni były one kolportowane przez wszystkie niemal dzienniki na świecie. Dla informacji czytelnika przytaczamy kilka najbardziej znamiennych komunikatów dziennikarskich. Dziennik „Seattle-Tribune“ z dnia 15 października 194* roku pisze: „Nie omylimy się, twierdząc, że nikt z obywateli miasta Seattle dotychczas nie wiedział o tem, że na wyspie Oldisland już od dłuższego czasu zamieszkują trzej niezwykli ludzie, którzy w niedalekiej przyszłości zamierzają dokonać wiekopomnych czynów; ludźmi tymi są panowie: Wilson, Orkisz i Vincent — profesorowie i genialni wynalazcy, którzy podobno ukrywają na swej dla zwykłych śmiertelników niedostępnej wyspie niebywałe i wręcz cudowne wynalazki i odkrycia. Niestety reporterom naszym nie udało się uzyskać dokładnych informacji o samych wynalazkach. Krążą pogłoski o epokowym wynalazku jednego z uczonych, profesora Orkisz, polegającym na umożliwieniu widzenia na dowolną odległość. Według innej wersji trzej

uczni budują raketę, w której już w niedalekiej przyszłości zamierzają odbyć pierwszą podróż międzyplanetarną. Rząd Stanów Zjednoczonych rzekomo finansuje to wielkie przedsięwzięcie uczonych, przyczem mówi się o fantastycznej sumie pięćdziesięciu milionów dolarów“.

Dziennik „New-York-Herald“ z dnia 17 października tegoż roku pisze: „Donoszą z Seattle, iż trzech uczeni wynalazcy Wilson, Orkisz, Vincent, którzy przed rokiem osiedli na bezludnej wysepce Oldisland, dokonali epokowych odkryć w dziedzinie telewizji i wyzwalania „sił atomowych“ z materji. Uczni powierzyli podobno sekrety swych odkryć rządowi i za jego zezwoleniem zamierzają w najbliższej przyszłości przedsięwziąć podróż międzyplanetarną“.

Dziennik „Seattle-News“ z dnia 18 października tegoż roku pisze: „Reporterowi naszemu udało się zdobyć nowe sensacyjne wiadomości o wyspie Oldisland. Oto w ciągu ubiegłego tygodnia monitory rządowe przewoziły jakieś sekretne ładunki z wyspy do miasta. Ładunki umieszczono w skarbcu Banku Państwa w Seattle. Krążą niesprawdzone pogłoski, że na wyspie Oldisland odnaleziono zakopany skarb w postaci wielkiej ilości złota — zapewne ongi przed laty ukrytego przez piratów morskich“.

„Chicago Times“ z dnia 19 października ogłasza: „Donoszą z Seattle, iż na wyspie Oldisland odkryto olbrzymie złoża samородnego złota. Właścicielami wyspy są trzech profesorowie Orkisz, Wilson, Vincent, słynni wynalazcy w dziedzinie telewizji i budowy materji“.

Również i prasa europejska nie ominęła szczę-

śliwej okazji do nakarmienia swych łaknących sensacji czytelników.

„Paris Midi“ z dnia 20 października zamieszcza wielki artykuł zatytułowany „Złota wyspa“, w którym autor ni mniej ni więcej, tylko oznajmia, że w zatoce Seattle-Bay znajduje się wysepka zwana Oldisland, która, jak się obecnie okazało, jest fenomenem natury: Oto cała wyspa jest utworzona z jednolitego bloku ze szczerego złota, pokrytego parometrową warstwą piasku i kamieni.

„Paris Soir“ z tegoż dnia 20 października przynosi jeszcze nowszą wiadomość o wyspie Oldisland. W artykule pod nagłówkiem „Szalony eksperyment uczonych amerykańskich“ czytamy:

„Trzej uczeni amerykańscy Orkisz, Wilson, Vincent wynaleźli sposób rozkładania atomów na elektrony. W porozumieniu z rządem zamierzają oni zbudować pocisk, który ma być umieszczony na wysepce Oldisland na Pacyfiku. Pocisk ten będzie wyrzucony w przestworza międzyplanetarne przy pomocy potwornych sił, jakie zostaną wyzwolone przez rozkład całej owej wysepki na elektrony“.

Należy oddać sprawiedliwość brukowej prasie warszawskiej, iż nie od razu poszła na lep niesprawdzonych, a sensacyjnych pogłosek. Dopiero bowiem 20 i następnym dniom października wszystkie niemal dzienniki warszawskie olśniły swych czytelników mniej więcej podobnymi do powyższych nowinami.

Na szczególną uwagę zasługuje publikacja dziennika „Echo ze świata“, który w numerze z dnia 25 października ogłasza pod tytułem: „Pierwsza podróż w rakiecie międzyplanetarnej. Jednym z uczestników

podróży jest nasz rodak Jan Orkisz“, co następuje: „Już od pewnego czasu prasa amerykańska i zachodnio-europejska publikuje wieści o podróży międzyplanetarnej, zamierzonej w najbliższych dniach przez trzech uczonych amerykańskich. Wśród uczestników tego przedsięwzięcia znajduje się również Polak, profesor Jan Orkisz, znakomity fizyk, który rzekomo dokonał epokowych odkryć w dziedzinie telewizji. W celu zasięgnięcia dokładnych informacji wysłaliśmy specjalnego korespondenta do Ameryki. Nasz wysłanik uznał jednak za właściwe zawrócić w połowie drogi, gdyż według najświeższych, chociaż niepotwierdzonych jeszcze radjogramów, wyspa Oldisland zniknęła z powierzchni oceanu, rozsadzona przez wyzwolone olbrzymie siły atomowe, które uniosły w przestrzeń międzyplanetarną raketę i trzech śmiałych podróżników“.

Oto próbki sensacyjnych wieści, które przez parę tygodni entuzjazmowały miliony czytelników i były źródłem zadowolenia moralnego i... materialnego wydawców i redaktorów. Tylko nasi trzej uczeni nie podzielali ogólnego entuzjazmu i bynajmniej nie mieli powodu do zadowolenia, albowiem wyspa Oldisland była przez parę tygodni celem pielgrzymki reporterów, dziennikarzy i licznej rzeszy ciekawych. Na szczęście automatyczna krata zaporowa, zamykająca dostęp do basenu portowego, była nieubłagana na zakłęcia i prośby natrętnych i otwierała się tylko rzadka dla przybyszów i to na specjalne zlecenie właściwego zarządcy wyspy, profesora Wilsona.

Oczywiście, po kilku tygodniach prasa, poszukująca ciągle nowego żeru dla zaspokojenia ciekawości

swych czytelników, zaprzestała pisywać o wyspie i jej mieszkańcach.

Faktem jest jednak, że echa publikacyj prasowych dotarły również do uszu wyjątkowo wrażliwych ludzi, którzy nietylko chwilowo zainteresowali się wyspą i jej mieszkańcami. Dowody tego szczególnego zainteresowania znajdzie czytelnik w dalszych rozdziałach niniejszego opowiadania.

Rozdział II.

Rodzina Orkiszów.

W jednej z licznych w Warszawie koszarowych kamienic w podwórzu na trzecim piętrze, skromne dwupokojowe mieszkanie zajmowała pani Józefowa Orkiszowa z synem Jurkiem i córką Hanią. Pani Orkiszowa owdowiała przed kilku laty; mąż jej, zmarły Józef Orkisz, elektrotechnik z zawodu, nie pozostawił żonie i dzieciom w spadku dostatecznych środków do utrzymania. Wdowa zmuszona była poza zwykłymi zajęciami domowymi zarobkować, udzielając lekcji języka angielskiego, aby móc kształcić syna i córkę. Pewnego dnia, w końcu października, pani Orkiszowa powróciła około godziny pierwszej po odbytych rannych lekcjach do swego skromnego mieszkanka i jak zwykle zabrała się do przyrządzania obiadu. Przyniesione produkty spożywcze zostały szybko spreparowane i powierzone małej kuchence elektrycznej, zaś pani Józefowa siadła, aby chwilkę odpocząć i przerzuciła dziennik poranny. W dziale telegramów widniała depesza z Seattle, przynosząca sensacyjną wiadomość o rzekomo odnalezionem złocie na wyspie Oldisland. W depeszy przytoczono również nazwiska trzech naszych znajomych uczonych, wśród nich zaś

nazwisko Jana Orkisz, brata męża pani Józefowej. Przeczytane wiadomości obudziły cały szereg wspomnień w pamięci wdowy. Przed jej oczami szybko przebiegły obrazy minionych przeżyć, oraz postacie krewnych i znajomych. Wspomnienia te rozjaśniły jej zmęczone życiem oblicze. Pani Józefowa uniosła wzrok z nad gazety i skierowała ku fotografii, wiszącej na ścianie — była to fotografia jej zmarłego męża. Mimowolne westchnienie spłynęło z warg kobiety: to już trzynaście lat od czasu, jakżeśmy z Józefem opuścili Amerykę. Jakże długim wydał jej się ten okres lat trzynastu, dzielący ją od radosnych i pogodnych wspomnień niefrasobliwej młodości. Dzisiaj czuje się inaczej; zawiedziona w swych nadziejach, znużoną ciężką walką o byt, obarczoną troską o przyszłość swych ukochanych dzieci. Przed laty trzynastu z mężem swym, oraz trzyletnim synkiem Jurkiem postanowiła opuścić przybraną ojczyznę w Ameryce i przenieść się na stałe do kraju ojców. Józef Orkisz, chociaż urodzony na emigracji w Stanach Zjednoczonych, nie uległ jednak wynarodowieniu i postanowił, nawet wbrew swoim interesom materialnym, powrócić na stałe do Polski, aby oddać ojczyźnie swe siły, zaś syna wychować na dzielnego Polaka. To też spieniężywszy wszelki dobytek, państwo Orkiszowie wyruszyli do Warszawy — zresztą wbrew przestrogom starszego brata, profesora Jana Orkisz, który czuł się bardziej obywatelem amerykańskim, niż Polakiem. W początkach pobytu w Warszawie wiodło się im nienajgorzej. Nieduży kapitalik, jaki przywieźli z Ameryki, pozwolił na założenie warsztatu elektrotechnicznego, który pomysłnie się rozwijał i dawał całej rodzinie dostatnie

utrzymanie. Po paru jednak latach zdrowie Józefa Orkisz zaczął niedomagać, wskutek czego nie mógł on dostatecznie sprężyć się kierować swoim przedsiębiorstwem. Nastąpiły gorsze czasy dla Orkiszów. Pani Józefowa zmuszona była nie tylko zajmować się wychowaniem syna i przybyłej na świat już w Warszawie córeczki, lecz także i interesami zawodowymi swego chorego męża. Wychowana na sposób amerykański, dzielna kobieta opierała się energicznie przeciwnościom życia i potrafiła przez kilka lat uchronić swą rodzinę od złowrogiej nędzy. Ponieważ stan zdrowia Józefa Orkisz nie dawał żadnych nadziei poprawy — zjadliwa gruźlica coraz większe czyniła спустoszenia w jego organizmie — przeto pani Józefowa ujrzała się zmuszoną do zlikwidowania przedsiębiorstwa. Uzyskane w ten sposób resztki kapitału w połączeniu z jej pracą osobistą, jako nauczycielki, stały się źródłem już znacznie skromniejszego życia rodziny.

W kilka lat po powrocie z Ameryki Józef Orkisz spoczął na wieki w tej ziemi ojczyściej, do której z tak wielkiem utęsknieniem dążył.

Na wspomnienie śmierci męża łzy zabłysły w wyblakłych oczach pani Orkiszowej i zapewne spłynęłyby obfitym strumieniem, gdyby nie dźwięk dzwonka w przedpokoju, oznajmiający powrót dzieci ze szkoły. Pani Józefowa szybko otarła łzy, twarz jej przybrała spokojny wyraz rezygnacji. Do pokoju wbiegła najpierw jedenastoletnia Hania, a za nią zjawiła się wyniosła postać szesnastoletniego Jurka. O ile Hania była na swój wiek drobną i mało rozwiniętą fizycznie dziewczynką, o tyle Jurek odznaczał się wyjątkowo silną budową ciała. Wyróżniał się wyjątkowo

dzieńca miały w sobie pewne cechy rasy anglosaskiej: pogodny wyraz oczu, uśmiech jaśniejący na twarzy oraz niefrasobliwość i zamaszystość ruchów. Widok dorodnej postaci jedynaka wywoływał zazwyczaj uśmiech radości na bladym obliczu matki.

— Przyniosłem matce miłą nowinę — oznajmił zaraz po powitaniu Jurek. — Andrzej Skalski, mój przyjaciel, pokazywał mi w dzisiejszym dzienniku depeszę z Seattle, z której wnoszę, że zapewne nasz stryjek został milionerem, wskutek odnalezienia złota na wyspie, którą zamieszkuje. Wiem, że mamusia zawsze mile wspomina stryja Jana, zatem wiadomość ta sprawi jej niewątpliwie przyjemność.

— Właśnie przed waszym przyjściem odczytałam w gazecie depeszę, o której mówisz. Rzeczywiście cieszy mnie ta wiadomość, przypuszczam, że nawet więcej, niż ucieszyła ona waszego stryja. Stryj Jan jest bowiem człowiekiem oddanym wyłącznie nauce, mającym małe osobiste potrzeby i wątpię, aby bogactwo, które przypadkowo nań spłynęło, mogło być dlań źródłem wielkiej radości. Już za czasów naszego pobytu w Ameryce stryj Jan był znanym wynalazcą i wtedy już mógł być zrobić wielką karierę finansową w przemyśle; jednakże przekładał zawsze ponad bogactwo i życie wielkoświatowe, zadowolenie, jakie daje praca naukowa.

— Ja też, moja mamusiu, pomimo, żeśmy biedni, nie pożądam zdobycia majątku. Coprawda, pragnąłbym już wkrótce zarabiać tyle, aby mama nie potrzebowała męczyć się temi lekcjami. Ale co innego zrobić swoją pracą, a co innego zdobyć majątek przypadkiem. Gdyby mnie tak kiedykolwiek udało się od-

należć złoto, to pozostawiłbym tylko część niezbędną na utrzymanie mamy i Hani, a resztę oddałbym do skarbu państwa!

— Bardzo się cieszę, Jurku, że masz takie zapastrywania — odparła matka — bogactwo nie jest i nie powinno być wszyskiem dla człowieka. Samo przez się ono szczęścia nie daje, a wielokrotnie bywa zgubą dla tych, co je bez pracy osiągają. Największem szczęściem dla człowieka jest, gdy posiada zdrowie i siły po temu, aby pracować w imię pewnej wzniosłej idei! Wasz zmarły ojciec mawiał zwykle, że zwłaszcza obowiązkiem dobrego Polaka jest oddać swą wiedzę i pracę dla utrwalenia bytu narodu i państwa!

— Zgadzam się z tem, kochana mamó, dodałbym jednak, że należy pracować i dla szczęścia całej ludzkości.

— Niewątpliwie, mój synu, nie należy zacieśniać swych ideałów. Nie dziwię się, że jako młody chciałbyś zużyć swoje siły dla jak najwznioślejszych celów. Życiowo jednak rzecz biorąc, my Polacy powinniśmy być więcej egoistami, myśleć raczej o szczęściu swoich najbliższych współrodaków. Wyjątkowe bowiem jest położenie Polski w Europie: od wschodu grozi nam ciągle zalew Eurazji, dyszącej żądzą pożogi rewolucyjnej; zaś od zachodu groźna Mitropa, spragniona odwetu, zazdrosnem okiem patrzy na rozkwit i potęgę Polski.

Dalsza rozmowa pomiędzy matką a dziećmi toczyła się już podczas spożywania skromnego obiadu. Jurek oczywiście wypytywał o różne szczegóły, dotyczące osoby i życia stryja Jana.

Niejednokrotnie i dawniej matka rozmawiała z nim

o stryju, o jego wielkiej uczoności i zaletach charakteru. Nic też dziwnego, że chłopak wyidealizował w swej wyobraźni postać genialnego uczonego. Mile przytem łechtało jego dumę, że oto jeden z Orkiszów jest przedmiotem ogólnego podziwu, że gazety rozpisują się o jego genialnych odkryciach i wynalazkach.

Ach! Jakżeby pragnął poznać tego stryja osobiście, rozmawiać z nim o wynalazkach, a może i współpracować... Niedościągłe marzenia! — Gdzież jemu, uczniowi szóstej zaledwie klasy, sięgać na takie wyżyny wiedzy! — Zapewne stryj nie mógłby z nim nawet rozmawiać o swych pracach naukowych. Wprawdzie Jurek ma zdolności do matematyki i fizyki, jednak nie umie jeszcze tyle, aby móc porozumiewać się językiem naukowym z tak wielkim uczonym, jak stryj Jan Orkisz. No, ale w przyszłości... Zapewne... lecz przedtem wypadnie dużo i długo się uczyć, skończyć gimnazjum, a potem politechnikę!

— Dlaczegożbym nie miał skończyć politechniki?!— wyrwało się Jurkowi półgłosem.

— Prawda, mamó, że chciałabyś mieć syna uczonego wynalazcę. Skończę gimnazjum, potem politechnikę — wydział lotniczy, bo ten najciekawszy — a następnie pojedę do stryja, aby z nim współpracować...

Pani Józefowa z miłością patrzyła na rozplamione oblicze i roziskrzzone oczy chłopaka.

— Ucz się, synu, jak najwięcej ucz się — wiedza to największy skarb!

Cień smutku przemknął przez czoło matki. Czy starczy jej sił do pracy, aby zapewnić swemu synowi możliwość pobierania długoletniej nauki?

Pani Józefowa zdawała sobie dokładnie sprawę

z tego, że siły jej są na wyczerpaniu. Kilka lat bo-
rykania się z życiem i walki o kęs chleba wyssały
z jej silnego ongi organizmu niemal wszystkie soki
żywotne; jej zdrowie z każdym dniem się pogarszało.

Trwogą przejmowało panią Orkiszową złowróżbne
przecucie, że oto bliski jest dzień, w którym zbraknie
jej sił do dalszej walki. Cóż się stanie wówczas z Jur-
kiem — z jego dalszą nauką? Kto zaopiekuje się
wątlą córeczką Hanią?

Pani Józefowa nie miała nikogo z bliższej rodziny,
komuby mogła powierzyć troskę o sieroty w razie jej
zgonu. Jedynym bliskim krewnym był Jan Orkisz, lecz
jakże od nich daleki ciałem i duszą; mieszkający na
drugim końcu świata, a przytem niemal obcy. Nie-
jednokrotnie myśląc o swej, być może, niedalekiej
śmierci, pani Józefowa już decydowała się na napi-
sanie do profesora Jana z błagalną prośbą, aby w ra-
zie, gdy jej nie stanie, zaopiekował się sierotami. Po
namyśle porzuciła jednak ten zamiar: pocóż ma nie-
pokoić szwagra; wszak nie porzuci on swej wyspy
i ulubionych studjów poto, aby wychowywać cudze
dzieci.

Trudno, niech się dzieje wola Boża — myślała
stroskana kobieta, ufając w Opatrzność, czuwającą
nad każdą istotą.

* * *

Kwietniowe słońce, osiągnąwszy najwyższy punkt
swej codziennej drogi, słało ku ziemi złociste strzały
ożywczych promieni.

Zbliżało się południe.

Niewidzialne skowronki hen, pod stropem błękitnej

kopuły, wydzwaniały srebrzystym świergotem swą pieśń wiosenną.

Blask i ciepło wiosennego słońca stopniowo budziły ziemię ze snu zimowego.

Figlarne złociste promienie wślizgiwały się natrętnie w szczeliny i brózdy, zdzierając z budzącej się ziemi resztki całunu śnieżnego.

Ziemia powstawała z twardego snu zimowego, który był należnym jej spoczynkiem po znojnym trudach lata i jesieni.

Budziła się po to, by wypoczęta i radosna ze wznowioną energją podjąć swą odwieczną twórczą pracę.

W takie wiosenne roześmiane południe wszystko, zda się, tchnie radością i szczęściem — niemasz smutku, ni zgryzoty.

Czar budzącej się do nowego życia natury przenika do ciała i duszy — goi rany i wygładza czoła, zorane brózdami trosk.

A jednak w to piękne wiosenne południe radosne słońce musiało również patrzeć na łzy i smutek dwojga młodych istot, klęczących w ciszy i skupieniu przy świeżo usypanej mogile na cmentarzu.

Pod skromnym krzyżem u wezglowia mogiły widniała tablica z napisem:

Ś. † p.

Marja Józefowa Orkiszowa

zmarła dnia 20 marca 194* roku.

Jurek i Hania spędzali ów ranek wiosenny, pierwszy dzień Wielkiej Nocy, przy świeżej jeszcze mogile swej matki.

Pusto było wokół. Wiekuistą ciszę samotni cmentarnej przerywały tylko dyskretne odgłosy budzącej

się ze snu natury: cichy poszept pączków roślinnych, szmery wód, przenikających przez odmarzłą ziemię, srebrzyste dzwonki skowronków, szybujących w przestworzach, i nieśmiały jeszcze świergot ptasząt przyziemnych.

— Nie klęcz, Haniu, tak długo na wilgotnej ziemi, możesz się przeziębic — cicho zatroskał się Jurek, podnosząc dziewczynkę.

Cmentarny spokój zakłócił odgłos zbliżających się kroków. Do zasłuchanych w ciszę sierot zbliżył się zwolna Andrzej Skalski, przyjaciel i kolega Jurka, i milcząco uścisnął ich dłonie.

Z miasta dochodziły poważne odgłosy dzwonów wielkanocnych, oznajmiających ludziom radosną nowinę Zmartwychwstania.

Rozkołysane tony spiżowych serc nawoływały do nowego życia, obiecując wiosenne dni radości i szczęścia.

— Hania może się przeziębic — ozwał się cicho Andrzej — pójdźmy do domu.

Jurek objął troskliwie wejrzeniem wąż figurkę siostry i, wsparłszy ją swem silnym ramieniem, ruszył w kierunku bramy cmentarnej.

Rozdział III.

Tajemniczy list.

Jurek Orkisz już od dwóch lat mieszkał w bursie dla uczniów szkół zawodowych, gdzie pełnił funkcje pomocnika wychowawcy. Obowiązki stąd wynikające zajmowały mu tylko parę godzin czasu dziennie i pozwalały gorliwie oddawać się nauce w średniej zawodowej szkole na wydziale mechaniczno-lotniczym. Jurek był już słuchaczem trzeciego kursu i spodziewał się w ciągu roku uzyskać dyplom. Śmierć matki oraz szlachetna troska o wychowanie siostry spowodowały, że chłopak postanowił opuścić gimnazjum po ukończeniu sześciu klas i wstąpić do szkoły technicznej, gdyż w ten sposób spodziewał się szybciej osiągnąć możliwość zarobkowania i ulżenia sieroczej doli siostry. Jurek oddawał się z całym zapałem nauce, zaś w czasie wakacji odbywał praktykę w warsztatach fabrycznych. Profesorowie, widząc pilność młodzieńca i piękne rysy jego charakteru, przyszli mu z pomocą, umieszczając w bursie, gdzie wzamian za parogodzinną pracę otrzymywał całkowite utrzymanie.

Czerwiec miał się ku końcowi, zbliżały się wakacje; ucząca się młodzież oczekiwała z upragnieniem letniego wypoczynku. Jurek, podobnie jak w roku ubie-

głym, zamierzał spędzić nadchodzące wakacje na jakiejś praktyce w zakładach mechanicznych, bądź lotniczych.

Tego dnia powrócił około godziny pierwszej z wykładów do domu. W pokoju, w którym zamieszkiwał wspólnie ze starszym wychowawcą bursy, Stefanem Grottem, który był jednocześnie akademikiem czwartego kursu politechniki — zastał już swego współlokatora.

— Mam ciekawe wiadomości dla was, kolego Jurku — temi słowy powitał wchodzącego pan Stefan. — Przeglądając dzisiaj w czytelni najnowsze czasopisma techniczne amerykańskie, znalazłem dosyć tajemniczą i niezmiernie ciekawą wzmiankę o wynalazkach profesora Jana Orkisz. Jest to zapewne pański stryj, o którym kiedyś kolega mi mówił. Otóż w tej wzmiance piszą, jakoby profesor Orkisz wynalazł radjooptyczny telewizor, za pomocą którego może dostrzegać najbardziej odległe przedmioty, a nawet ciała niebieskie w dowolnym niemal powiększeniu. Wprawdzie, jak twierdzi sprawozdawca, profesor Orkisz nie opublikował jeszcze swego wynalazku, lecz zato jego przyjaciel i współpracownik, astronom Vincent podał w „Astronomical Review“ wprost rewelacyjne szczegóły, dotyczące powierzchni Marsa, przyczem oświadcza, że swe odkrycia zawdzięcza lunecie radjooptycznej pomysłu profesora Orkisz.

Jurek z zapartym oddechem słuchał tych niezwykłych nowin i, gdy Stefan skończył, nadmienił:

— Tak, to zgadza się z tem, co słyszałem o moim stryju; podobno już od kilku lat zamieszkał on ze swymi przyjaciółmi na samotnej wysepce w pobliżu

Seattle, gdzie wybudowali sobie specjalne laboratorja i obserwatorja dla celów naukowych. Jakżebym pragnął pojechać kiedyś do Ameryki i poznać osobiście mojego stryja, który pracuje nad tak ciekawymi wynalazkami!

— Jak kolega wie, jestem prawie ukończonym inżynierem radjotechnikiem — dorzucił Stefan — i zwłaszcza dziedzina radjooptyki bardzo mnie interesuje, znam się również trochę na telewizji. Wynalazek profesora Orkiszka, jeżeli jest rzeczywistością, może spowodować wprost przewrót w ludzkim życiu. Przy jego pomocy człowiek będzie mógł wysyłać wzrok dokąd tylko zechce, choćby na krańce świata. — Będzie mógł przejrzeć tajemnice planet, słońca, ba, nawet o miljardy kilometrów odległych gwiazd i mgławic. Jakżebym pragnął chociażby raz spojrzeć przez telewizor Orkiszka! Niestety, z końcowej wzmianki, którą podała redakcja pisma, można wnosić, że wynalazca wzbrania się stanowczo udzielać jakichkolwiek bliższych szczegółów o swoim telewizorze. Najwidoczniej chce go przynajmniej do czasu utrzymać w tajemnicy.

Entuzjam Stefana udzielił się również i Jurkowi, w którego bujnej wyobraźni poczęły się rysować marzenia przyszłości. Już widział siebie na sterowcu transatlantyckim, pędzącym w kierunku Ameryki. Wnet dojrzał oczami duszy tajemniczą wyspę z dziwaczniemi budynkami i jej genialnego gospodarza, stryja Jana...

Te fantastyczne marzenia przerwał odgłos dzwonka, wzywającego na obiad. Stefan i Jurek skierowali swe kroki ku jadalni, skąd dochodził już hałaśliwy rozgwar oczekujących wychowañców bursy.

*

*

*

Pewnego dnia, gdy Jurek powrócił jak zwykle po zajęciach do domu, pan Stefan oznajmił mu, że był tu niejaki pan Skatyński, pragnący widzieć się z nim i, nie zastawszy go, zostawił list. Jurek przebiegł pismo oczami i ze zdziwieniem oznajmił:

— Zupełnie nie znam owego pana Skatyńskiego i nie wiem, w jakiej sprawie mógł mnie poszukiwać. W tym oto liście pisze, że ma do mnie interes i że zgłosi się ponownie dzisiaj o godzinie ósmej wieczorem. Czy panu nie mówił, panie Stefanie, czego sobie ode mnie życzy? A jak wyglądał ten jegomość?

— Nie oznajmił mi celu swej wizyty; wyglądał ów pan na człowieka inteligentnego i, sądząc z powierchowności, zamożnego.

Jurek spojrzął na zegarek, właśnie zbliżała się godzina ósma. Wkrótce dały się słyszeć w korytarzu zbliżające się kroki; zapukano do drzwi. Obydwaj koledzy powstali, aby powitać nieznanego.

— Jestem Skatyński i chciałbym pomówić z panem Jerzym Orkiszem — oświadczył przybyły wytworny pan i z temi słowy zwrócił się bez wahania do Jurka jakby go już dobrze znał z widzenia.

— Jestem Jerzym Orkiszem, a to mój starszy kolega, Stefan Grot. Niechże pan raczy spocząć; czem mogę Panu służyć?

Pan Stefan skierował się ku drzwiom, pragnąc widocznie zostawić swobodę rozmawiającym, lecz Jurek powstrzymał go, mówiąc:

— Wszak obecność mojego kolegi nie przeszkodzi panu w wyłuszczeniu spraw, które są celem jego przybycia?

Pan Skatyński obrzucił bystrem, przenikliwym wej-

rzeniem postać Stefana i z pewnym wymuszonym uśmiechem niedbale odrzekł:

— Bynajmniej, sprawa moja jest tak jasna i wyraźna, że nie wymaga żadnej dyskrecji. Przed kilku dniami zwróciłem się do profesora Kordonia, który wszak jest pańskim nauczycielem, panie Orkisz, z prośbą, aby mi wskazał kogoś ze swoich starszych uczniów, któregooby mógł polecić do objęcia stanowiska montera lotniczego. Pomiędzy innymi profesor wskazał mi również osobę pana, jako zdolnego i pracowitego młodzieńca.

— Ależ, szanowny panie, ja dopiero za rok mam zamiar ukończyć technikę i dopiero wtedy będę mógł przyjąć stałą posadę odpowiedzialnego pracownika.

W oczach pana Skatyńskiego zabłysło pewne zniecierpliwienie, opanował je szybko i, uśmiechnąwszy się pobłaźliwie, dorzucił:

— Nie myślałem wcale o ofiarowaniu panu stałej posady. Przyjaciel mój, mieszkający w Wilnie, człowiek bardzo zamożny i zapalony sportowiec lotnik, posiadający kilka awionetek i samolot, jest w poszukiwaniu montera, któryby w ciągu letnich miesięcy zastąpił jego mechanika. Chodzi przytem o człowieka młodego i inteligentnego, któryby był zarazem towarzyszem wycieczek. Pragnąc zadowolnić życzenie mego przyjaciela, zdecydowałem się poszukać odpowiedniego kandydata wśród studentów techniki. A przytem muszę panu szczerze powiedzieć — w tem miejscu pan Skatyński skromnie spuścił oczy — że słyszałem o pańskich kłopotach materialnych i pragnąłbym poniekąd ułatwić mu ukończenie studjów. Mój przyjaciel jest człowiekiem zamożnym i zamierza sownie

wynagrodzić swego pracownika. Warunki pańskie byłyby, sędzę, korzystne, gdyż poza pełnem utrzymaniem dostałby pan za dwa letnie miesiące wynagrodzenie w wysokości 1000 złotych.

Propozycja pana Skatyńskiego wydała się Jurkowi wprost olśniewająca. Zdawało się, że niema przeszkód do jej przyjęcia. Jurek posiadał jednak ważną zaletę gruntownego rozważenia swych postanowień, to też w odpowiedzi panu Skatyńskiemu zaznaczył, że musi się zastañowić i swą decyzję zakomunikuje mu nazajutrz. Po wyjściu gościa Jurek począł rozważać wszelkie za i przeciw. Płaca znakomita, praktyka przy reperacji samolotów bardzo mi potrzebna — myślał chłopak — a przytem co za szczęśliwy zbieg okoliczności: będę mógł wakacje spędzić w Wilnie, w pobliżu ukochanej siostry, która na lato wyjeżdża z obozem harcerskim do Druskienik. Zdaje mi się, że nic nie stoi na przeszkodzie do przyjęcia tej propozycji.

Nazajutrz o umówionej godzinie Jurek zgłosił się do mieszkania pana Skatyńskiego, który go przyjął w elegancko urządzonej gabinecie. Już od pierwszej chwili pan Skatyński oczarował młodzieńca swem uprzedzająco grzecznem obejściem i dyskretne mi komplementami. Czynił to z taką szczerością, że chłopak, wciągnięty w przyjacielską wprost pogawędkę, wbrew przyzwyczajeniu wtajemniczył pana Skatyńskiego niemal we wszystkie swoje sprawy rodzinne. W krótkich słowach zwierzył mu się ze swoich trosk i kłopotów, opowiedział o śmierci matki, o wychowaniu swej siostry, wspomniął również o stryju Janie Orkiszu. Pan Skatyński pilnie słuchał młodzieńca,

a szczególnie zainteresował się wspomnianą osobą stryja Jana. Rozpytywał zatem Jurka, czy zna osobiście stryja, czy nie pragnąłby do niego pojechać, czy nie wie nic bliższego o jego wynalazkach, czy nie są mu wiadome jakieś bliższe szczegóły o telewizorze Orkisz, o którym pan Skatyński już czytał w jakimś czasopiśmie naukowym. Wizyta przeciągała się nazbyt długo; wreszcie pan Skatyński wręczył Jurkowi 400 złotych zadatku na koszty podróży i dał mu adres przysłego pracodawcy, ustalając termin wyjazdu do Wilna.

Wyszedłszy od pana Skatyńskiego, Jurek udał się niezwłocznie do swej siostry Hani, która była uczennicą pierwszego kursu seminarjum nauczycielskiego i mieszkała w internacie szkolnym.

Oczywiście po drodze Jurek nie zapomniał kupić kilku drobnych prezentów i smakołyków, aby tem dobitniej przekonać Hanię, że jej brat jest mężczyzną, który już potrafi zarobkować i to nie byle jak.

Radość z powodu otrzymanej posady udzieliła się również i Hani, zwłaszcza gdy brat obiecał co parę tygodni odwiedzać ją w Druskienikach. Po wyjściu od Hani zdążył Jurek zamaszystym krokiem w kierunku domu.

— Wszystko układa mi się pomyślnie — szeptał do siebie chłopak, idąc ulicami miasta — będę miał praktykę, zarobię dużo pieniędzy, nareszcie będę w stanie osłodzić nieco sierocą dolę drogiej siostrzyczki.

Wesoło i rażno było Jurkowi na duszy; a przytem zapadający letni zmierzch usposabiał do marzeń i snucia złotej przędzy projektów. Przechodząc obok domu, gdzie mieszkał Andrzej Skalski, Jurek postanowił doń wstąpić, aby się podzielić radosną nowiną. Andrzej,

który właśnie ukończył ostatnie kolokwja maturalne z pomyślnym wynikiem, przyjął Jurka, jak zawsze, z otwartymi rękami. Obaj młodzieńcy byli w radosnem usposobieniu, obaj zakomunikowali sobie pomyślnie wieści. Dla uczczenia szczęśliwego dla obu dnia postanowili udać się na przechadzkę, aby pogawędzić po przyjacielsku i poczynić wzajemne zwierzenia co do swych planów na przyszłość.

— Cieszę się, Jurku, żeś dostał tak korzystną i pożyteczną pracę; a nawet ci zazdroszczę — rzekł Andrzej — zazdroszczę ci, że już jesteś zawodowcem i to niebylejakim, jesteś mechanikiem lotniczym, łatwo możesz zostać pilotem. A ja cóż... zaledwie ukończyłem gimnazjum; nie wcześniej, jak za cztery lata ukończę politechnikę i stanę na własnych nogach...

— Lecz będziesz zato więcej umiał ode mnie — wtrącił Jurek z pewnem westchnieniem — będziesz miał przed sobą daleko szerszy horyzont wiedzy i działania.

— Zapewne, lecz chciałbym już prędzej zostać tą istotą działającą i pożyteczną, pracującą i twórczą... A nawet wątpię, czy za cztery lata już będę inżynierem, gdyż ojciec pragnie, abym przed rozpoczęciem studjów technicznych odbył służbę wojskową. Ojciec mówi, że to jest z wielu względów wskazane, zwłaszcza dzisiaj, gdy ojczyzna nasza może być zagrożona...

— Jako — przerwał Jurek — czyżby istniała obawa wojny?

— Mój kochany, Polska wskutek swego położenia geograficznego jest stale zagrożona; na zachodzie mamy żądne odwetu państwo Mitropy, zaś na wscho-

dzie komunistyczną Eurazję, która dąży do rewolucji światowej. Eurazja czyni stałe postępy w uzbrojeniu, a Mitropa skrycie jej w tem dopomaga. Podobno jakiś inżynier mitropski wynalazł „telekinezor“, aparat umożliwiający kierowanie samolotami na odległość zapomocą fal elektromagnetycznych.

— No to jeszcze nic nadzwyczajnego — wtrącił Jurek — nie jest to już dzisiaj zupełną nowością...

— Tak, ale to nie koniec, zarazem podobno inni uczeni znaleźli sposób przesyłania na odległość siły pędnej również zapomocą fal. Ponieważ nie wypada im na terytorjum Mitropy czynić prób na wielką skalę, gdyż łatwo mogliby się zdradzić i wywołać interwencję Ligi Narodów, przeto ich inżynierowie i mechanicy udali się do Eurazji, gdzie w sekretnej porozumieniu z rządem budują wielką flotyllę bojowych samolotów.

Widocznie słowa Andrzeja wywarły na Jurku głęboke wrażenie, gdyż przez dłuższą chwilę milczał frasobliwie, poczem poważnie oznajmił:

— Jeżeli tak było istotnie, w takim razie nasi sąsiedzi posiadają ogromną przewagę. Wyobraź sobie, zamiast wojska wypuszczają flotyllę napowietrzną, którą zaopatrują na odległość w siłę pędną oraz z odległości nią kierują. Nie potrzeba lotników, nie potrzeba benzyny, ani innego paliwa — motory samolotu działają same niezawodnie, jak automaty.

W wyobraźni Jurka mimowoli zarysował się obraz potwornych samolotów, nie dających się żadną siłą powstrzymać w swym zwycięskim locie, obrzucających bombami cały kraj, równających z ziemią wieś i miasto, zatruwających gazowemi bombami atmosferę do tego stopnia, iż wszelkie życie organiczne momental-

nie obumiera. Jurek aż wzdrygnął się z przerażenia. Chwyił kurczowo ramię Andrzeja i niemal krzyknął:

— Andrzeju, przebóg, jeżeliby tak było, jak mówisz, to uratować Polskę mogą tylko nasi wynalazcy, nasi uczeni fizycy i inżynierowie. Należy co rychlej odkryć tajemnicę nieprzyjacielskich wynalazków, albo też... obmyślić jakiś system, zapewne też telekinetyczny, któryby paraliżował działanie wrogich stacyj nadawczych.

— Podobno już o tem myślą nietylko nasi wojskowi i uczeni, lecz również i francuscy i angielscy, tak mi mówił ojciec — odparł Andrzej.

Radosne usposobienie młodzieńców stłumiła poważna troska, troska o umiłowaną Ojczyznę.

— Ach, żeby mój stryj Jan wiedział o tem, możeby co zaradził — z westchnieniem wyrzekł Jurek. — Podobno poczynił jakieś wprost epokowe odkrycia i wynalazki w dziedzinie radiooptyki; możeby do niego napisać?... Eh, cóż to pomoże... Czyż taki poważny uczoney weźmie na serjo młodzieńcze domysły i obawy?...

— Tembardziej nie można pisać — odparł Andrzej — że właściwie nie wiemy nic konkretnego. Takiemu uczonemu, jak twój stryj, należy przedłożyć sprawę rzeczowo i umieć nią zainteresować.

Jurek kroczył, milcząc; w rysach jego twarzy widać było skupienie myśli. Po dłuższej przerwie ścisnął ramię Andrzeja i jakby w sekrecie wyszeptał:

— Trzeba działać trzeźwo, bez uniesień, spokojnie! Ty, Andrzeju, postaraj się zdobyć dokładne wiadomości... tak wiesz... po harcersku, ja tymczasem pojedę na swoją posadę do Wilna. Z końcem wakacyj

będę w posiadaniu tysiąca złotych i wówczas, mając dokładne informacje i pieniądze, pojedę sterowcem transatlantyckim do Seattle, do stryja...

— Wiesz, Jurku, że to dobrze obmyśliłeś! Czy ci jednak wystarczy owe tysiąc złotych na podróż? No, a przytem wydasz ciężko zapracowany grosz, a potem co?

— Andrzej, jak możesz tak mówić! Czyż ty i ja i my wszyscy nie powinniśmy nie tylko mienie, lecz i ciało i ducha poświęcić dla Ojczyzny!

— Ach tak! tak, wybacz... wyrwało mi się to jakoś, lecz tylko z ust... nie z duszy, wierzaj — wyrzekł Andrzej zapłoniony wstydem.

Chłopcy byli tak zajęci rozmową, że nie spostrzegli nawet, dokąd zaszli. Oto stanęli przed balustradą pięknego pomnika, wystawionego na jednym z placów dzielnicy akademickiej w Warszawie, pomnika ku czci młodzieży szkolnej i akademickiej, poległej w walkach z najeźdźcami w pamiętnym roku 1920.

Światło księżycy łagodnie spowijało granitowe kształty Orłąt, zrywających się do lotu.

Zakłęty w kamieniu Duch orlego lotu zdawał się promieniować wokół swą przemożną potęgą.

W milczeniu prawice młodzieńców splótł uścisk braterski. Troska i zwątpienie ustąpiły z ich serc. Podniesieni na duchu, wzmocnieni siłą swych postanowień, ufni w osiągnięcie zamierzonych celów — w milczeniu skierowali swe kroki ku domowi.

* * *

W końcu czerwca, w kilka dni po ukończeniu zajęć szkolnych, Jurek podążył samolotem do Wilna.

Wprost z dworca lotniczego udał się pod wskazanym przez pana Skatyńskiego adresem do domu swego pracodawcy pana Mikołaja Zarowskiego. Pan Mikołaj mieszkał w dzielnicy Antokolu w ładnym dworku, otoczonym ogrodem. Tuż za ogrodem na przyległym błoni widniały hangary lotnicze,

Pan Zarowski oczekiwał przybycia Jurka, wyszedł na jego spotkanie i podobnie, jak Skatyński, zdołał od razu podbić serce młodzieńca swoim taktownym i ujmującym obejściem. Pan Mikołaj był człowiekiem młodym, może parę lat starszym od Jurka, sympatycznej powierzchowności o zdrowym wyglądzie sportowca. Ucho Jurka raził nieco akcent jego mowy, który brzmiał obco i nasuwał przypuszczenie, że pan Zarowski często używa języka rosyjskiego, co zresztą się zdarza na wschodnich rubieżach Polski. Pan Mikołaj pokazał Jurkowi swoje warsztaty i hangary, w których stały dwie sportowe awionetki i jeden większy samolot. Nazajutrz po przybyciu Jurek stanął do pracy, która, jak się okazało, nie była zbyt trudna, ani też nie wymagała dłuższego czasu. Chodziło bowiem o naprawienie drobnych uszkodzeń motoru jednej z awionetek. Nawet samemu panu Zarowskiemu widocznie nie zależało na pośpiechu, gdyż często przesiadywał z Jurkiem w warsztatach, odrywał go od pracy, aby pogawędzić bądź o lotnictwie, bądź też o projektach swoich wycieczek. Jurek wkrótce nabrał zaufania do swego pracodawcy. Chętnie z nim rozmawiał, a nawet po kilku dniach pobytu, podczas wieczorów wspólnie spędzanych, wtajemniczył pana Zarowskiego w swoje sprawy rodzinne. Często rozmawiali o nowych wynalazkach, gdyż pan Mikołaj, jak

się okazało, był nie tylko sportowcem, lecz również wykształconym technikiem. W sposób zresztą bardzo ostrożny i niemogący wzbudzić podejrzeń, Jurek wypytywał Mikołaja, czy nie słyszał czegoś o wynalazku przesyłania siły pędnej zapomocą fal elektromagnetycznych. Okazało się, że pan Mikołaj cośniccoś słyszał o tem, lecz nie posiada bliższych wiadomości. Zato pan Mikołaj słyszał o wynalazkach profesora Jana Orkiszsa i dowiedziawszy się, że Jurek jest jego bratankiem, prosił, aby mu opowiedział o genialnym wynalazcy. Wypytywał Jurka, czy zna go osobiście, jakie węzły rodzinne łączą go z profesorem Janem, czy korespondują ze sobą itp. Zresztą rozmowa o profesorze Janie Orkiszsu była krótka, gdyż Jurek nie miał wiele do powiedzenia o swoim stryju, którego nawet osobiście nie znał i z którym nie korespondował.

* * *

Po paru tygodniach pracy naprawa awionetki była prawie ukończona i Jurek z panem Mikołajem zamierzali za kilka dni odbyć próbną wycieczkę napowietrzną.

W najbliższą sobotę postanowił Jurek skorzystać z wolnego czasu i udać się do Druskienik w odwiedziny do Hani. W przeddzień swego wyjazdu otrzymał wiadomość od Andrzeja, który donosił, że nazajutrz przybędzie do Wilna, aby mu zakomunikować ważne nowiny. By nie robić Haneczce zawodu i nie pozbawiać siebie radości ujrzenia kochanej siostry, Jurek wysłał niezwłocznie terminową depezę do Andrzeja, aby przybył nazajutrz zamiast do Wilna — do Druskienik, gdzie go zastanie.

Pan Zarowski okazał się nad wyraz uprzejmym

i wyrozumiałym pracodawcą, gdyż nietylko zgodził się udzielić Jurkowi urlopu, lecz nawet ofiarował do jego dyspozycji własny samochód.

* * *

Odgłos samochodu, zajeżdżającego przed wartownię obozu harcerskiego, wywołał wśród druchen niezwykle poruszenie. Po wylegitymowaniu się przed naczelniczką obozu, Jurek został wpuszczony do wnętrza i niebawem rączęta ukochanej siostry oploty jego szyję. Wśród uścisków i pocałunków posypały się z obu stron pytania; zwłaszcza Hania zasypywała Jurka pytaniami o warunki pracy i życia w Wilnie. Gawędzili tak ze sobą dobrą godzinę, gdy nowy przybysz zameldował się również jako gość Hani. Był to Andrzej Skalski. Hania знаła już dawno i lubiła Andrzeja, jako przyjaciela swego brata, i, chociaż zdziwiona nieoczekiwaną wizytą, rada była jego przybyciu. Po sprezentowaniu swoich gości koleżankom druchnom, Hania pobiegła do baraków, aby w porozumieniu z szafarką przygotować gościom posiłek. Korzystając z tego, Jurek pociągnął Andrzeja ku swojemu samochodowi, gdzie, niby to krzątając się przy motorze, pragnął corychlej usłyszeć od niego upragnione nowiny. Aby urywki rozmowy nie mogły dojść uszu ciekawych druchen, Jurek puścił w ruch motor.

— Andrzeju, mów, opowiadaj, prędko i zwięźle — czegoś się dowiedział, coś zdziałał? — szeptał gorączkowo Jurek.

— Sprawa przedstawia się poważniej, niż przypuszczałem. Zdołałem dowiedzieć się, że istotnie mitropscy wynalazcy wraz z całym sztabem inżynierów wy-

jechali już oddawna do Eurazji, gdzie prowadzą gorączkowe przygotowania do masowej produkcji powietrznych torpedowców automatycznych. Nasz wywiad wojskowy pracuje usilnie, aby zdobyć tajemnicę owych wynalazków, lecz podobno dotychczas bezskutecznie. Mitropcy są bajecznie zakonspirowani; dopuszczają do warsztatów wyłącznie rzemieślników, mających zaświadczenia partji komunistycznej w Eurazji.

— No, a cóż nasi inżynierowie, wojskowi, cóż uczeni fizycy, czy nie czynią sami poszukiwań naukowych w tym kierunku? Czy nie usiłują wynaleźć sposobu obrony przed potwornymi ptakami? — niecierpliwie pytał Jurek.

— Ależ napewno o tem myślą, kto wie, może już nawet coś wymyśliłi. Udałem się do mojego dobrego znajomego fizyka i docenta Wykowskiego, wprost powiedziałem mu, że słyszałem o wynalazkach mitropskich, które napełniają mnie trwogą o losy Polski. Po pewnem wahaniu, w tajemnicy, zwierzył mi się pan Wykowski, że i on o tem wie, a nawet współpracuje wraz z innymi nad kwestją obrony. Ze smutkiem jednak przyznał, że dotychczas ani nasi uczeni, ani uczeni naszych sojuszników nic konkretnego nie wynaleźli.

— Ha, jeżeli tak się sprawa przedstawia — przerwał Jurek w podnieceniu — to nie można zwlekać ani chwili, muszę co rychlej udać się do Ameryki do stryja Jana. On jedyny potrafi bądź przejrzeć tajemnicę wynalazków mitropskich, bądź też odnajdzie sposób skutecznej obrony. Wprawdzie nie mam jeszcze pieniędzy na podróż, lecz czyż pieniądze mogą być w takich razach przeszkodą?... Zainteresuję tą sprawą

mojego zacnego pracodawcę pana Zarowskiego i razem z nim na jego dużym samolocie przedsięwzięmiemy podróż do Seattle...

Andrzej badawczo spojrzął w oczy Jurka. Położył rękę na jego ramieniu i spokojnie rzekł:

— Jurku, mówisz niedorzecznie. Po pierwsze nie wolno nam nikogo, a zwłaszcza obcego wtajemniczać w nasze plany, bo to mogłoby przekreślić nie tylko nasze zamiary, lecz również uniemożliwić działania wywiadowcom wojskowym. Po drugie, podróż twoja do Ameryki powinna się odbyć w warunkach normalnych, to znaczy polecisz na sterowcu tak, jak to czyni obecnie każdy podróżujący. Po trzecie, zbyt ni pośpiech również nie jest wskazany, gdyż powinniśmy jeszcze uzyskać lepsze i wiarogodniejsze dowody na poparcie naszej sprawy wobec profesora Orkisz. No, chyba przytoczone argumenty już wystarczają ci, zapalona głowo, i chyba cię przekonałem, że przedewszystkiem rozważa i zimna krew, a potem dopiero decyzja czynu!

— Tak jest, Andrzeju, masz słusność, pragnienie czynu mnie poniosło, i oto palnąłem głupstwo...

Z obozu rozległy się głosy Hani i innych druchen: „Fe, panowie, zaledwie przywitani się i już mają dosyć naszego towarzystwa! — trzeba się poprawić, a za karę zjeść harcercie śniadanie!“ Nawoływania panienek poskutkowały. Zatrzymali warczący motor i udali się do obozu, gdzie Hania wraz z koleżankami czekała na swych gości przy obficie zastawionym stole.

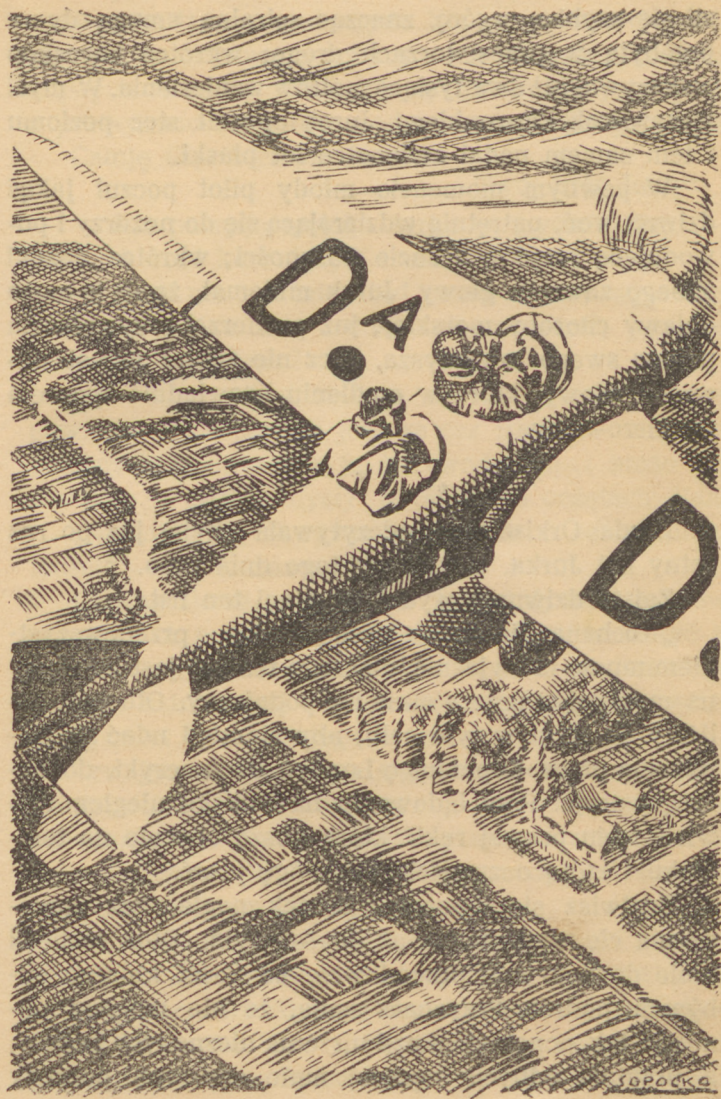
* * *

W kilka dni później pan Zarowski zaproponował Jurkowi odbycie wspólnej przejażdżki na świeżo na-

prawionej awionetce. Jurek przyjął propozycję pana Mikołaja dość obojętnie; wogóle można było dostrzec pewną zmianę w zachowaniu się chłopca po jego powrocie z Druskiенок. Istotnie Jurek czuł się przygnębiany; widmo mogących niebawem zawisnąć nad Polską nieszczęść i poczucie własnej bezsilności — pozbaWiły chłopca jego zwykłego beztroskiego humoru i optymizmu. Wprawdzie trwał on ciągle w swem mocnem postanowieniu udania się o pomoc do stryja Jana, lecz tymczasowa zwłoka w wykonaniu tego zamiaru wpływała ujemnie na stan jego ducha, budząc wątpliwości i osłabiając wiarę w powodzenie. Pan Mikołaj począł widocznie się obawiać, aby młodzieniec nie zechciał podziękować mu za pracę i opuścić Wilno. Aby rozweselić swego towarzysza i zainteresować go, zaproponował pan Mikołaj podczas próbnych lotów naukę pilotowania. Istotnie, po kilku udanych lotach, Jurek znów się ożywił i nabrał dawnej pewności siebie.

Któregoś dnia pan Zarowski zaproponował odbycie dalszej wycieczki powietrznej w kierunku Rygi, gdzie zamierzał wylądować. Obydwaj piloci poczynili niezbędne przygotowania do dalszej podróży, zaopatrzyli samolot w potrzebne ilości paliwa i smarów, ubrali się w ciepłe kostjумы lotnicze, a nawet pan Mikołaj wziął swoje i Jurka dokumenty osobiste, jak to się mówi, na wszelki wypadek. Podczas tej wycieczki Jurek miał kierować awionetką, jak żartobliwie wyraził się pan Mikołaj — miał zdać egzamin na pilota.

Start z lotniska udał się znakomicie i awionetka lekko, bez wstrząsów, uniosła się w powietrze. Pan Mikołaj umieścił się z tyłu za Jurkiem i udzielał mu wskazówek co do kierunku lotu. Sprawny aparat wzno-



Телевизор Оркисза.

sił się szybko w górę, znacząc spiralną smugą dymu przebytą w przestworzach drogę; wkrótce baroskop wskazywał już dwa tysiące metrów wzniesienia. W myśl wskazówek Zarowskiego Jurek opuścił ster poziomu i tem samem nadał awionetce lot płaski.

W pewnym momencie młody pilot poczuł jakąś dziwną woń, natrętnie wdzierającą się do nozdrzy i powodującą przykre uczucie duszności; wkrótce doznał silnego zawrotu głowy. Jurek mniemał, że są to może objawy choroby morskiej; już zamierzał przywołać na pomoc swego towarzysza, lecz nie zdołał nawet odwrócić głowy, która w omdleniu bezwładnie spoczęła na kierownicy.

* * *

Hania Orkiszówna odczytywała chyba już po raz setny list Jurka, otrzymany tego dnia rano.

Zaiste dziwnym wydał się Hani ten list.

„Kochana Haniu — pisał Jurek — przedewszystkiem muszę ci wyjaśnić, dlaczego ten list jest napisany na maszynie i przeze mnie nie podpisany. Oto poleciliśmy do Rygi w tym celu, aby stamtąd udać się sterowcem przez Kopenhagę-Londyn do Ameryki, do naszego stryja. Przy lądowaniu na lotnisku uległem wychnięciu prawej ręki, którą noszę obecnie na temblaku i którą oczywiście nie mogę pisać.

Zdziwisz się zapewne, że tak nagle, bez uprzedzenia cię wyjechałem aż do Ameryki. Otóż zachęcił mnie do tego mój pracodawca, na koszt którego odbywam podróż. Przyznasz sama, że nie mogłem pominąć tak ponętnej okazji ujrzenia nieznanych krajów, a przytem odbycia nęcącej mnie oddawna podróży

sterowcem transoceanicznym. Nie mogę ci dokładnie określić terminu mego powrotu; nie obiecuję ci również częstych o sobie wiadomości; natomiast proszę cię o przesyłanie mi listów pod adresem naszego stryja.

Całuję Cię, kochana siostró,

Twój brat Jerzy“.

— Nie poznaję mojego Jurka — myślała Hania — czyż tak robi kochający i troskliwy brat?

— Czyż nie powinien był przed swoim wyjazdem pożegnać się ze mną i dokładnie wyjaśnić, podojdzie do stryja Jana?

„Nie mogę ci dokładnie określić terminu mego powrotu“ — odczytała jeszcze raz Hania — więc kochający brat opuszcza ją bezterminowo... może nawzajem! — Łzy zabłyśły w pięknych oczętach Hani.

„Nie obiecuję ci również częstych o sobie wiadomości“ — co to znaczy?

Dziwne słowa listu wprost przerażały biedne dziewczętko. A przytem nie miała się komu zwierzyć ze swego zmartwienia; nie chciała bowiem wtajemniczać w treść listu żadnej z koleżanek, gdyż poprostu wstydy ją ogarniał... za swojego brata.

Trwając w bezradnym niepokoju, długo rozważała Hania, co z tym listem uczynić; wreszcie, jak deski zbawienia, chwyciła się myśli wtajemniczenia w treść listu Andrzeja Skalskiego, który przecie jest serdecznym przyjacielem Jurka.

Niezwłocznie wysłała Hania do Andrzeja depeszę z prośbą, aby możliwie zaraz przybył do Druskienuk.

Nazajutrz rano Andrzej Skalski zjawił się w Druskienukach. Depesza Hani zaniepokoiła go: przeczuwał, że jakieś nieszczęście dotknęło bądź Hanię, bądź też Jurka.

Hania była tak zdenerwowana ponuremi rozmyślaniami i nieprzespaną nocą, że ujrawszy Andrzeja, nie zdołała opanować swego rozdrażnienia i wybuchnęła głośnym płaczem. Nie była w stanie wydobyć głosu, to też zamiast wyjaśnień podała Andrzejowi list Jurka z gestem rozpaczy.

Andrzej po kilkakroć szybko przebiegł oczami ten tajemniczy maszynopis; było dlań wprost nie do wiary, aby dziwny ten list był napisany przez jego przyjaciela.

— Co to wszystko znaczy, panie Andrzeju? — poprzez dławiące głos łyzy wyszeptwała Hania — niech mi pan to wyjaśni... niech pan powie, czy Jurek żyje! A może jest ciężko chory?

Andrzej sam był w zupełnej rozterce ducha; widząc jednak rozpacz dziewczęcia, postanowił przede wszystkim uspokoić Hanię.

— Panno Haniu, — zaczął przemawiać — Jurek żyje, jest zdrow, co najwyżej prawa ręka go boli. Mówił mi przed trzema tygodniami podczas bytności tu u pani, że o ileby jego pracodawca się zgodził, to zamierza przedsięwziąć wspólnie z nim podróż do Ameryki. Widocznie tak się stało, i oto Jurek skorzystał z nadarzającej się okazji, aby odbyć daleką i ciekawą podróż.

Hania obrzuciła mówiącego trochę niedowierzającym wejrzeniem, jednakże jego wyjaśnienia uspokoiły dziewczynkę. Bolało ją wprawdzie serduszko, że brat nie okazał zbyt troskliwości i uległ pokusie ciekawej podróży, jednakże wolała to, niż przypuszczenie, że Jurka spotkało jakieś nieszczęście. Otarła przeto łzy i uspokojona rzekła:

— Ha, trudno, nie mam żalu do Jurka zato, że uległ chęci podróży; smutno mi jednak, że uczynił to tak nagle bez uprzedzenia i bez pożegnania.

— Tak jest, to wydaje mi się niezrozumiałe — wyrwało się Andrzejowi; wnet jednak się poprawił:

— Widocznie zaszyły takie okoliczności, które nie pozwoliły Jurkowi ani uprzedzić nas o zamierzonej podróży, ani też pożegnać się z panią, panną Haniu. Przypuszczam, że w najbliższym liście, już pisanym ręką, nie na maszynie, Jurek sam wyjaśni powody swego niezwyklego postępowania.

— A jak pan sądzi — zagadnęła Hania — czy powinienam napisać do Jurka pod adresem stryja Jana?

— Oczywiście, że tak — odparł Andrzej — niech pani napisze; ja również napiszę do niego.

Aby do reszty uspokoić Hanię, Andrzej skierował rozmowę na inne tematy: wypytywał o jej zajęcia, o zabawy, zatroskał się o jej potrzeby i t. p. Wobec wyjazdu Jurka i nieokreślonego terminu jego powrotu poczuwał się Andrzej do prawa i obowiązku opiekuna biednej sieroty.

Po kilkogodzinnym pobycie Andrzej pożegnał Hanię, prosząc, aby mu pozwoliła odwiedzić się w niedługim czasie i aby w razie jakiegokolwiek potrzeby zwracała się doń o poradę, lub pomoc.

W rozmowie z Hanią Andrzej silił się na spokój, a nawet wesołość, jednakże w głębi jego duszy nurtowały najdziwaczniejsze przypuszczenia co do losów przyjaciela. Rozstawszy się z Hanią, Andrzej dał ujście nurtującym go myślom i począł rozważać prawdopodobieństwa wszelkich możliwych hipotez co do niezwykłego nagłego wyjazdu Jurka. Podczas powrotnej

podróży do Warszawy myśl Andrzeja niemal bez przerwy usiłowała rozwiązać to zagadnienie; — niestety bezowocnie, gdyż wszelkie domniemane przyczyny po głębszym namyśle jednak nie wytrzymały krytyki.

Z dworca w Druskienikach zatelefonował Andrzej do Wilna do pana Zarowskiego. Zaufany służący zakomunikował mu, że pan Mikołaj wraz z panem Orkiszem wyjechali już pięć dni temu na awionetce do Rygi. Sądząc zaś z pozostawionych dyspozycji, nieobecność ich może potrwać dłuższy okres czasu.

Po powrocie do Warszawy Andrzej zwierzył się swemu ojcu ze zmartwienia, jakie go spotkało. Uradzili obaj, aby zasięgnąć informacji jeszcze u pana Skatyńskiego, o którym słyszeli od Jurka. Jakież było jednak ich zdumienie, gdy służba oznajmiła, że pan Skatyński wyjechał też przed pięciu dniami na dłuższy pobyt zagranicę.

Rozdział IV.

Telewizor działa.

Na wysepce Oldisland od czasu, gdyśmy ją opuścili, to znaczy od lat trzech zgórą, zaszły duże zmiany. Budynki były już całkowicie ukończone. Widać było wokół ład i porządek, a nawet pewną dbałość o estetykę.

Główny budynek w kształcie podkowy był tworem trochę dziwnym, gdyż każde z trzech skrzydeł stanowiło jakby niezależną całość. Skrzydło środkowe przypominało zwykły budynek fabryczny, usiany na dachu kominami i wentylatorami. Lewe skrzydło było typowym budynkiem obserwatorium astronomicznego, o czym świadczyła wymownie kopuła z ruchomym dachem i taras, na którym widniały mniejsze kopułki, kryjące zapewne aparaty astronomiczne.

Najdziwniejsze było jednak prawe skrzydło, które składało się z parterowego budynku o płaskim dachu, nad nim zaś wznosiła się ogromna wieża w kształcie walca. Wieża była kilkopiętrowa; dwa górne piętra zaopatrzone w ruchome zasuwę, które po odpowiednim ustawieniu mogły tworzyć podłużne szczeliny, jakby okna morskiej latarni. Na szczycie tej wieży widniała olbrzymia antena w kształcie bębna,

podróży do Warszawy myśl Andrzeja niemal bez przerwy usiłowała rozwiązać to zagadnienie; — niestety bezowocnie, gdyż wszelkie domniemane przyuczyny po głębszym namyśle jednak nie wytrzymały krytyki.

Z dworca w Druskienikach zatelefonował Andrzej do Wilna do pana Zarowskiego. Zaufany służący zakomunikował mu, że pan Mikołaj wraz z panem Orkiszem wyjechali już pięć dni temu na awionetce do Rygi. Sądząc zaś z pozostawionych dyspozycji, nieobecność ich może potrwać dłuższy okres czasu.

Po powrocie do Warszawy Andrzej zwierzył się swemu ojcu ze zmartwienia, jakie go spotkało. Uradzili obaj, aby zasięgnąć informacji jeszcze u pana Skatyńskiego, o którym słyszeli od Jurka. Jakież było jednak ich zdumienie, gdy służba oznajmiła, że pan Skatyński wyjechał też przed pięciu dniami na dłuższy pobyt zagranicę.

Rozdział IV.

Telewizor działa.

Na wysepce Oldisland od czasu, gdyśmy ją opuścili, to znaczy od lat trzech zgórá, zaszły duże zmiany. Budynek były już całkowicie ukończone. Widać było wokół ład i porządek, a nawet pewną dbałość o estetykę.

Główny budynek w kształcie podkowy był tworem trochę dziwnym, gdyż każde z trzech skrzydeł stanowiło jakby niezależną całość. Skrzydło środkowe przypominało zwykły budynek fabryczny, usiany na dachu kominami i wentylatorami. Lewe skrzydło było typowym budynkiem obserwatorium astronomicznego, o czym świadczyła wymownie kopuła z ruchomym dachem i taras, na którym widniały mniejsze kopułki, kryjące zapewne aparaty astronomiczne.

Najdziwniejsze było jednak prawe skrzydło, które składało się z parterowego budynku o płaskim dachu, nad nim zaś wznosiła się ogromna wieża w kształcie walca. Wieża była kilkopiętrowa; dwa górne piętra zaopatrzone w ruchome zasuwę, które po odpowiednim ustawieniu mogły tworzyć podłużne szczeliny, jakby okna morskiej latarni. Na szczycie tej wieży widniała olbrzymia antena w kształcie bębna,

którego krzywą powierzchnię spowijały zwoje błyszczących miedzianych drutów. Nad bębniem wznosiło się kilka masztów, zaopatrzonych w izolatory, do których były przytwierdzone pęki grubszych i cieńszych przewodników.

Opisany budynek był otoczony niedużym, lecz starannie utrzymanym ogródkiem kwiatowym.

Woddali widniały inne budynki, niewielkich rozmiarów, mieszczące motory, dynamomaszyny, pompy tłoczące wodę, magazyny oraz mieszkania mechaników, obsługujących maszyny.

Od głównego budynku szerokie stopnie schodów prowadziły do zatoczki morskiej, przekształconej w betonowy basen i zamykanej zaporową kratą.

Pozostała część wysepki znajdowała się jeszcze w dziewiczym stanie; skalisty zresztą grunt nie nadawał się do żadnej uprawy; nie było tam drzew ani roślin, zato tu i ówdzie widniały niewielkie maszty antenowe, przytwierdzone stalowymi drutami do skał.

W ogródku, okalającym główny budynek, przechadzali się panowie Jan Orkisz i Paweł Vincent. Zapadał ciepły wieczór lipcowy; niebo na zachodzie spowijały jeszcze pomarańczowo-żółte promienie ukrytego już za horyzontem słońca. Morze zdawało się być ciemno-szafirowym tłem, na którym tu i ówdzie wykwiwały pojedyncze gwiazdki, zapalających się latarni okrętowych, oraz liczniejsze skupiny światła z nadbrzeżnych miast i portów.

Panowie Orkisz i Vincent żywo rozprawiali.

— Wybacz, Pawle, że pozwalam sobie robić ci wymówki — mówił Orkisz — lecz zupełnie niepotrzebnie popełniłeś, zresztą już po raz drugi ten sam

błąd, zamieszczając w „Astronomical Review“ wzmiankę o tem, że swoje odkrycia, dotyczące powierzchni Wenus, zawdzięczasz obserwacjom przy pomocy telewizora Orkisz.

— Rozumiem, że poprostu wrodzona etyka i umiłowanie prawdy nakazały ci to uczynić, zapomniałeś jednak, że prosiłem o zachowanie w tajemnicy, przynajmniej do czasu, moich odkryć — zakończył profesor Orkisz.

— Przecież nie karygodnego nie uczyniłem — odparł pan Paweł — wszak nie zdradziłem tajemnic wynalazku, gdyż, prawdę mówiąc, sam dokładnie nie zdaję sobie sprawy z tego, na czym polega istota twego cudownego telewizora.

— Nie o to chodzi, mój drogi — mówił dalej Orkisz — kiedyś sam opublikuję szczegółowo wyniki moich prac. Podając ową wzmiankę przedwcześnie do wiadomości ogółu, zwróciłeś uwagę na naszą samotnię, i oto od kilku dni otrzymuję od fizyków i nie-fizyków z całego świata dziesiątki listów z zapytaniami lub naiwnymi propozycjami. Rychło patrzeć, jak do naszej pustelni zaczną ściągać reporterzy i dziennikarze. Pamiętasz przed trzema laty, ile mieliśmy z nimi kłopotów; znów zakłócają nasz spokój i wiele czasu i trudu zużyjemy, aby się opędzić od natrętów.

Dalszą rozmowę przerwał dźwięk syreny, oznajmiający powrót Wilsona z Seattle, dokąd udał się, jak zwykle za interesami.

Na skutek odgłosu syreny krata zaporowa w przystani otworzyła się, latarnie na wybrzeżu zajaśniały światłem i wkrótce pan Wilson wstąpił na stopnie schodów, wiodących do ogrodu.

Ściskając ręce przyjaciół, Wilson począł narzekać:

— Jakie to szczęście, że mieszkamy na naszej mało dostępnej wysepce. Powiadam wam, że reporterzy i dziennikarze nie pozwolili mi nawet zjeść spokojnie obiadu. Zewsząd zarzucano mnie pytaniami, co to za nowy wynalazek ów telewizor Orkisz. Nawet nie zdołałem dokładnie załatwić wszystkich interesów; uciekłem czem prędzej z miasta i chyba nie rychło zdecyduję się na nową wyprawę.

— A co! Dopiero co o tem mówiłem Pawłowi — wtrącił Orkisz z pobłażliwą ironją.

Astronom skonfundowany potulnie wyszeptał:

— A to nabroiłem. Wybaczcie, drodzy przyjaciele! Na przyszłość obiecuję solennie poprawę.

— No, nie bierz tego zbyt poważnie — dodał Jan — nie będziemy odpowiadali na naiwne listy, a nieproszonym gościom zamkniemy dostęp do naszego portu. Tymczasem chodźmy do mojego laboratorium, gdyż dzisiaj o godzinie 10-ej wieczorem jeneralna próba telewizora! Może ujrzymy, co się dzieje o tej porze w Europie, wszak tam już nastaje dzień!

— Jakto? — rzekł mocno zaciekawiony Wilson — Czyżby udało ci się pokonać te przeszkody, o których niedawno wspominałeś, a które nie pozwalały ci dotychczas stosować telewizora do dostrzegania poszczególnych miejscowości na kuli ziemskiej.

— Tak jest — odparł Orkisz — zdaje mi się, że przynajmniej w dużym stopniu rozwiązałem zagadnienie wysyłania zmysłu wzroku i słuchu do dowolnego punktu ziemi. Sami się wreszcie o tem przekonacie; w tym celu udajemy się właśnie do laboratorium.



ГОРЬКО
Johannes Vogel zeigt Lichtstrahl

Laboratorium fizyczne Orkisz mieściło się w owym dziwnym skrzydle budynku, zaopatrzonym w potężną wieżę, zakończoną olbrzymią anteną.

Trzej przyjaciele przeszli przez kilka pokoi, zastawionych najrozmaitszymi aparatami i przyrządami fizycznymi, poczem weszli do kabiny windy elektrycznej, która uniosła ich na czwarte piętro wieży, do dużej sali kształtu wydrążonego walca.

Pośrodku sali stał okrągły wielki stół, mogący się obracać wokół osi; na stole zaś na ruchomych, również obracających się, podstawach umieszczone były trzy skrzynki, przypominające duże aparaty fotograficzne; jedna z tych skrzynek wyróżniała się większymi rozmiarami. Na górnej pokrywie skrzynek widniało po kilkanaście lamp elektronowych, podobnie, jak w radjoodbiornikach. Z lewej strony obok środkowego aparatu, na wysokim statywie był umieszczony okazały rozmiarów przyrząd, przypominający projektor świetlny. Pęki najróżnorodniejszych przewodników łączyły ów projektor z rozdzielczą tablicą prądów elektrycznych. Z prawej strony aparatu była przytwierdzona do stołu marmurowa płyta, na której widać było różne klamry i kontakty.

Po wejściu do sali profesor Orkisz usadowił swoich przyjaciół w dwu bocznych fotelach, sam zaś zajął miejsce pośrodku przed największym aparatem.

Zegar elektryczny, zwisający z sufitu, wskazywał za 15 minut dziesiątą.

— Niewiele czasu pozostaje do dokładnego wyjaśnienia wam całej aparatury, gdyż o dziesiątej punktualnie mamy rozpocząć eksperyment — oznaj-

mił Orkisz — odłóżmy przeto szczegóły na później. Z temi słowy wysunął szufladkę stołu, skąd wyjął słuchawkę automatycznego telefonu. Po nastawieniu odpowiednich wzkaźników przemówił:

— Czy to pan, panie Baird?... — Proszę przygotować emisję wszystkich trzech rodzajów fal według kierunku wyspy Guam na Pacyfiku. Gdy pan przygotowuje wszystko, proszę dać sygnał.

Skończywszy rozmowę z niewidzialnym panem Bairdem, Orkisz zwrócił się do przyjaciół:

— Jak słyszeliście, poleciłem mojemu asystentowi, który zarządza pomocniczą stacją emisyjną na wyspie Pitcairn, aby nadał wiązkę wynalezionych przezemnie promieni „ultragamma“, których zdolność przenikania jest tysiące razy większa, niż promieni Millicana, odkrytych w roku 1925. Stacja pomocnicza na wyspie Pitcairn posiada trzy podobne projektory, jak ten oto obok mnie umieszczony. Jeden z projektorów wysyła płaską wiązkę promieni ultragammy, która tworzy jakby olbrzymią taflę, prostopadłą do powierzchni kuli ziemskiej, zresztą swobodnie przenikającą przez ziemię, i, jak w danym przypadku, wyznaczoną przez trzy punkty: wyspa Pitcairn — środek ziemi — wyspa Guam.

— Ten oto obok mnie stojący projektor — ciągnął dalej Orkisz — który wnet rozpocznie działać po odpowiednim włączeniu prądów, również może wysyłać podobną płaską wiązkę przenikliwych promieni. Obie wiązki, spotykając się w pewnym miejscu na kuli ziemskiej, tworzą tak nazwane przeze mnie „pole widzenia“ dla mojego telewizora.

— Lecz istota samego telewizora polega na tem,

aby udostępnić owo „pole widzenia“ naszemu wzrokowi — wtrącił Wilson.

— Tak jest, Samie, — objaśniał dalej Orkisz — i w tym celu ze stacji pomocniczej na wyspie Pitcairn wysyłamy jednocześnie inną emisję promieni „infragamma“, również niezmiernie przenikliwych, która mknie po wiązce pierwszej, jakby po specjalnym torze. Po odbiciu się od przedmiotów, objętych owym „polem widzenia“, wiązka promieni „infragamma“ wraca już tu na naszą stację odbiorczą i dostaje się do aparatów, które widzicie i które przetwarzają ją na zwykłe fale światła, dostępne dla naszego zmysłu.

Orkisz przerwał swój wykład, gdyż w szufladce pod stołem rozległ się sygnał telefonu.

— Hallo! — wszystkie trzy emisje już działają — dobrze — proszę pana nie przerywać prądów, dopóki nie dam zlecenia — rzucił profesor Jan w słuchawkę telefonu, zaś zwracając się do towarzyszków, oznajmił:

— Proszę, otwórzcie wasze fotokamery i pilnie spoglądajcie przez szkła stereoskopów.

W tym momencie sala laboratoryjna pograżyła się w ciemnościach. We wnętrzu projektora rozległy się suche trzaski, jakby spowodowane przez wyładowania elektryczne, lampy elektronowe na aparatach zajaśniały bładem, czerwonaświatłem. Orkisz manewrował nieznacznie kierownicą przy projektorze, który zwolna począł się obracać i zarazem dało się zauważyć, że ruchome ściany sali również się rozsunęły, tworząc niewielką pionową szczelinę.

Po kilku minutach ogólnego milczenia, rozległ się niemal jednoczesny okrzyk obu przyjaciół Orkisza:

— Jakiż piękny krajobraz równikowego wybrzeża

morskiego! Gdzież jesteśmy, a raczej dokąd przyniosłeś nasze oczy, wielki czarodzieju?!

— Zdaje mi się, że to powinno być północne wybrzeże jednej z wysp Guam — odparł spokojnie profesor Jan — wnet to dokładnie sprawdzę.

Powiedziawszy to, Orkisz oświetlił ręczną lampką tarczę, przytwierdzoną do podstawy projektora, na której widniały ruchome wskazówki. Po dokładnym odczytaniu kierunku wskazówek przy pomocy lupy, Orkisz sięgnął do bocznej szuflady stołu, skąd wyjął plik map podręcznych.

— Słabe światło lampki nie pozwala mi dobrze dostrzegać, lecz zdaje mi się, że wyjąłeś moje mapy — wtrącił Vincent.

— Tak jest, astronomie, właśnie odnalazłem właściwą mapę Pacyfiku... i oto mogę z całą pewnością twierdzić, że obraz, który macie przed oczami, jest północnem wybrzeżem jednej z wysp Guam, wysuniętej najbardziej na południe.

Przyjaciele Orkisz rozkoszowali się pięknym krajobrazem, patrząc dłuższą chwilę przez szkła stereoskopów. Wprawdzie dawniej już parokrotnie uczestniczyli w doświadczeniach z telewizorem, jednakże poprzednie obserwacje miały charakter raczej prób. Dzisiejsze obrazy zaś, dostrzegane przez telewizor, nie tylko oddawały wszelkie szczegóły rysunku, lecz również najdokładniej — barwy i plastykę.

Zdumienie i zachwyt obserwatorów zostały jeszcze silniej spotęgowane, gdy wraz z pięknym i żywym obrazem malowniczego wybrzeża poczęły się harmonijnie kojarzyć z początku słabe, potem coraz wy-

rażniejsze odgłosy poszumu fal morskich i świergotu ptaków.

— Czy to tylko złudzenie — przerwał ciszę Wilson — lecz zdaje mi się, iż słyszę szum fal i śpiew ptaków...

— Nie, to rzeczywistość — odparł Orkisz — dźwięki, które słyszycie, są to odgłosy, pochodzące z dostrzeganego przez was wybrzeża, sprowadzone tu za pośrednictwem owej „trzeciej emisji fal“, o której mówiłem memu asystentowi przez telefon. Promienie owej trzeciej emisji, odbite w „polu widzenia“, przybywają tutaj do mego laboratorium i zostają przez specjalny aparat „teleakuston“ przetworzone na rzeczywiste dźwięki. Zauważcie, panowie, teraz przerywam połączenie — znika obraz w stereoskopie i jednocześnie milkną dźwięki.

— O tym nowym wynalazku jeszcze nie słyszeście ode mnie — dodał Orkisz — gdyż jest on owocem doświadczeń ostatnich miesięcy.

Dłuższe milczenie zapanowało w laboratorium. Wszyscy trzej przyjaciele z niezwykłym zainteresowaniem spoglądali w szkła stereoskopu i wsłuchiwali się w dźwięki, wydobywające się z głośnika teleakustonu. Dopiero po dłuższej przerwie Wilson odezwał się:

— Innemi słowy nasz wielki wynalazca umożliwił człowiekowi przenoszenie zmysłu wzroku i słuchu do dowolnego punktu kuli ziemskiej. Zatem pierwszy etap naszych wielkich planów został osiągnięty. Tem śmieiej patrzę w przyszłość i pewny jestem, że niebawem i dalsze nasze zamierzenia zostaną urzeczywistnione.

— Żeby też rychlej udało ci się, drogi Janie, ulepszyć o tyle swój telewizor, abym mógł przejrzeć tajniki dalszych planet i gwiazd — z westchnieniem oznajmił astronom — a potem... potem jazda na księżyc i na planety!

— Już dzisiaj mógłbyś to poniekąd uczynić, Pawle — odparł Orkisz — gdybym mógł umieścić stację pomocniczą i mojego asystenta, zamiast na wyspie Pitcairn, w innej miejscowości, zresztą dowolnej, byle odległej od nas przynajmniej o dwadzieścia tysięcy kilometrów. Wówczas bowiem moglibyśmy przy pomocy telewizora sięgnąć okiem nawet do odległego Jowisza i Saturna. Gdyby zaś było kiedykolwiek możliwe zbudować ową stację pomocniczą w odległości trzystu tysięcy kilometrów, wtedy nie tylko planety, lecz słońce i gwiazdy udałoby się przybliżyć do naszego oka przynajmniej trzysta tysięcy razy.

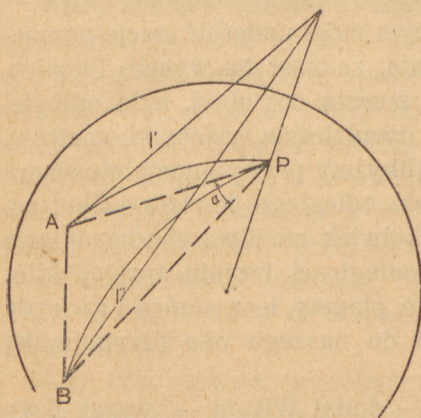
— Nic prostszego — dodał Wilson — wszak dużo jest miejscowości na ziemi odległych od naszej wysepki o dwadzieścia tysięcy kilometrów. Posiadamy przecież odpowiednie środki materialne, nie widzę więc przeszkód do zainstalowania potrzebnej nowej stacji pomocniczej.

— Mylisz się, Samie — odparł fizyk. — Nie znamy takiego miejsca na kuli ziemskiej, które byłoby odległe od naszej wysepki o dwadzieścia tysięcy kilometrów, chodzi tu bowiem o odległość w linii prostej. Wszak najbardziej oddalone od Oldisland punkty na ziemi są jednakże odległe w linii prostej zaledwie o długość średnicy ziemskiej, przekraczającej niewiele dwanaście tysięcy kilometrów.

— Czy mógłbyś objaśnić nas, Janie — zapytał

Wilson — na czem polega istota owej stacji pomocniczej i dlaczego ma ona być umieszczona w takiej, lub innej odległości od aparatu telewizyjnego.

— Owszem — odparł Orkisz — wszak przed wami, drodzy przyjaciele, nie potrzebuję ukrywać moich wy-



nalazków. Otóż, jak poprzednio mówiłem, dwie wiązki promieni, wysyłane jedna przez stację pomocniczą, druga zaś przez stację główną, przecinają się jakby dwie płaszczyzny i tworzą linię prostą, a raczej pewien czworograniasty słupek, który już nazwałem wam „polem widzenia“ —

z temi słowy Orkisz zapalił światło w sali, podszedł do tablicy, stojącej obok, i kredą narysował schemat przecinania się owych taflí promieni.

— W narysowanym trójkącie punkty A i B są to stacje nadawcze. W punkcie P tworzą promienie I' i I'' „pole widzenia“; kąt alfa jest tem mniejszy, im więcej jest oddalony od podstawy AB punkt P. Na przykład, aby umieścić „pole widzenia“ na wyspach Guam, musimy utworzyć kąt alfa mniej więcej wielkości 40°, natomiast dla Paryża kąt ten wyniesie już tylko około 18°. Dotychczas udało mi się otrzymać jako tako dokładne obrazy dla kątów alfa niemniej-

szych od 10^0 ; poniżej tego minimum obrazy zacierają się, tworząc chaotyczne plamy na matówce...

— Dziękujemy ci za objaśnienia — rzekł Wilson — już wszystko, przynajmniej tak mi się zdaje, rozumiem, chociaż jako chemik nie jestem zbyt mocny w miernictwie i matematyce.

— Drogi astronomie — temi słowy zwrócił się Wilson do pana Pawła — nie martw się, niedługo przeniesiesz swój wzrok na powierzchnię choćby gwiazdy polarnej, gdyż mam pewien nowy pomysł... Oto w naszej projektowanej rakiecie międzyplanetarnej umieścimy telewizyjną stację pomocniczą. Rakietę tę będziemy wysyłali tam, gdzie zajdzie tego potrzeba. Wówczas w myśl wymagań Jana, odległość stacji pomocniczej będzie mogła być dowolnie wielka.

— No, no, zwolna, moi panowie — nadmienił spokojnie Orkisz — zdaje mi się, żeście się nieco zagalopowali...

— Słusznie — rzekł Wilson — lepiej wróćmy oto do naszych stereoskopów. Pokaż nam, Janie, nowe cuda; a możebyśmy tak zajrzeli do jakiego miasta na drugiej półkuli, na przykład gdzieś w Europie. Czy to możliwe?

— Owszem — odpowiedział Orkisz — wolałbym jednak nie zmieniać kierunku wiązki, wysłanej z wyspy Pitcairn. W tej chwili zobaczę na mapie, przez jakie miasta europejskie przechodzi wysłana wiązka. Wystarczy w tym celu przeciągnąć na mapie świata linię prostą przez punkty Pitcairn-Guam. Zaczekajcie chwilę — z temi słowy Orkisz rozłożył na stole wielką mapę świata w projekcji Merkatora i przyłożył długą drewnianą linijkę do punkcików, oznaczających wyspy Pitcairn i Guam.

— Doskonale — zawołał — nasza wiązka, wysłana z Pitcairn w kierunku Guam, przechodzi akurat przez stolicę Eurazji. Chwila cierpliwości! Zmienię tylko kierunek promieni z tutejszego projektora i zobaczymy... co z tego wyniknie?

Orkisz dłuższy czas poruszał kierownicą i manewrował różnemi wyłącznikami, klamkami oporników i kondensatorów.

Na matówkach ukazywały się kolejno najdziwaczniejsze chaotyczne barwne plamy, zaś z głośnika teleakustonu dobywały się szmery i odgłosy zmieszanych dźwięków.

— Nie dziwcie się, że tak długo trwa nastawianie „pola widzenia“ — rzekł Orkisz, w dalszym ciągu krzątając się przy aparatach — lecz, jak już o tem wspominałem, im bardziej oddalone są miejsca, które chcemy dostrzec, tem kąt α jest mniejszy i tem trudniej otrzymać jasny obraz na matówce... — W tym momencie przerwał raptownie, gdyż z głośnika teleakustonu jęły wydobywać się dosyć wyraźne odgłosy rozmowy, prowadzonej w jakimś obcym języku.

Chociaż już dawno Orkisz nie miał w użyciu swego języka ojczystego, łatwo jednak dostrzegł pewne pokrewieństwo pomiędzy dźwiękami dobywającemi się z głośnika i mową polską.

Zaciekawiony, postanowił dokładniej przysłuchać się słyszanej rozmowie, tem bardziej, że jednocześnie na matówce zjawił się wyraźny obraz wnętrza jakiejś komnaty, w pośrodku której przy dużym stole zasiadało kilku mężczyzn, jakby przy naradzie.

Na stole leżały stopy papierów, stały modele aparatów lotniczych, rakiet, torped i t. p. Na ścianach

komnaty były rozwieszane mapy, plany, przeróżne szkice i rysunki, przypominające części dziwacznych maszyn.

Vincent i Wilson również z dużym zainteresowaniem obserwowali obraz na matówce. Zwłaszcza Wilson, który przed laty służył w oddziałach inżynierskich armji Stanów Zjednoczonych, zainteresował się owym widokiem obradujących mężczyzn.

— Mam wrażenie — przemówił — że przypadkowo jesteście nieproszonymi gośćmi na posiedzeniu sztabu armji eurazjatyckiej.

Jako były wojskowy, Wilson wnet ocenił olbrzymią doniosłość telewizora i teleakustonu dla celów wojennych, zwłaszcza w dziedzinie wywiadu wojskowego. Zwrócił się przeto do Orkisz z zapytaniem:

— Janie, czy nie dałoby się, nie przerywając obserwacji, poczynić zdjęcia fotograficzne, jak również utrwalić słyszane dźwięki rozmowy...

— Cicho... cicho... — przerwał Orkisz — najwyraźniej usłyszałem kilka razy powtórzone swoje nazwisko podczas przemówienia tego tam... szczupłego młodego człowieka, który przedtem stał, a właśnie w tej chwili usiadł...

Trzej przyjaciele w skupieniu śledzili pilnie gesty i głosy uczestników tajemniczego posiedzenia.

Wilson, który w młodości z amatorstwa zajmował się również sztuką wywiadu wojskowego, wprost pochłaniał oczami dostrzegane postaci i ich ruchy, jakby pragnąc w ten sposób domyślić się treści przemówień, których, niestety, nie rozumiał.

Orkisz na chwilę powstał ze swego krzesła i przy świetle ręcznej lampki począł coś manipulować przy

mikrofonie teleakustonu, poczem powrócił do swego aparatu telewizyjnego i wsunął na miejsce matówki kasetę z płytą fotograficzną.

Zegar wskazywał już północ, a nasi uczeni ciągle jeszcze byli zapatrzeni w stereoskopy.

Około godziny 12^{1/2} po północy, według czasu Seattle, umilkły dźwięki rozmowy w głośniku i zniknęły z matówki obrazy osób — uczestnicy narady opuścili salę.

Orkisz podszedł do fonografu, który zapisywał niczem stenograf całą dyskusję eurazjatów.

— Żałuję bardzo, że nie znam języka eurazjatyckiego — wyrzekł — moglibyśmy już teraz zdać sobie sprawę z treści i znaczenia tajemniczej narady. Ogarnia mnie nieprzeparta ciekawość, zwłaszcza, że najwyraźniej słyszałem wielokrotnie wspomniane moje nazwisko.

— Tak jest — dodał Wilson — wprawdzie nie rozumiałem treści słów, które słyszeliśmy, lecz kilka razy odróżniłem wśród powodzi dźwięków najwyraźniej brzmienie twego nazwiska. Kto wie — może dzięki przypadkowi, no i oczywiście twemu genialnemu wynalazkowi — uda się nam przeniknąć jakieś tajemnice o doniosłym znaczeniu... Mało interesujecie się polityką, drodzy koledzy, ja jednak jeszcze nie wyzbyłem się nałogu słuchania dziennika radiofonicznego — nawet w mojej sypialni mam mały głośnik, który co rano przynosi mi nowiny z całego świata. Otóż wiedzcie o tem, że wulkan eurazjatycki poczyna znów dymić, groźne pomruki ze wschodu starego świata doszły już nawet do uszu pobłażliwych dyplomatów z Ligi Narodów. Głośno już mówi się

o tajemnym współdziałaniu zakonspirowanego i potężnego związku monarchistów mitropolskich z wojowniczą kliką, rządzącą w Eurazji.

— Kto wie?!... kto wie... może trzej samotnicy z wyspy Oldisland będą zmuszeni do wzięcia udziału w polityce światowej — dodał żartobliwie.

— Jeżeli pozwolisz, Janie, to jutro rano pojedę z fonogramem do miasta do znajomego detektywa, władającego językiem eurazjatyckim, i uzyskam dokładny przekład.

— Ależ oczywiście — odparł Orkisz — jedź możliwie najwcześniej, gdyż i mnie pali ciekawość.

Astronom prawie nie słuchał rozmowy swoich towarzyszy, gdyż z zajęciem kreślił coś w swoim notatniku. Jak to później oznajmił, obliczał właśnie zasięg telewizora Orkisz na wypadek, gdyby stacja pomocnicza została urządzona na księżycu. Widocznie obliczenia pana Pawła dały pomyślne wyniki, gdyż ukończywszy notatki, uśmiechnął się zadowolony i, jakby nawiązując do własnych myśli, szeptał półgłosem:

— Ponieważ odległość księżycyca od ziemi wynosi średnio 384.750 kilometrów, przeto po urządzeniu tam stacji pomocniczej będę mógł widzieć przy pomocy telewizora planety Mars i Wenus w powiększeniu...

— Tylko nie należy zwlekać z tą podróżą międzyplanetarną... Trzeba co rychlej wyekspedjować pana Bairda na księżyc!

Orkisz i Wilson nie mogli powstrzymać się od śmiechu, widząc zadowoloną minę perorującego do siebie astronoma.

— Hola, przyjacielu — rzekł Sam — nie mamy

jeszcze odpowiedniego wehikułu, w którym Baird mógłby pojechać na księżyc, a przytem nie wiemy, czy tak łatwo zgodzi się na tę niedaleką wycieczkę!

— Zapewne, trochę przedwczesne są nadzieje naszego kolegi — dodał Orkisz — lecz nie widzę zasadniczych niemożliwości w projekcie podróży na księżyc, nawet trochę zajmuję się tym problemem i pewne, aczkolwiek drobne postępy już poczyniłem...

— No, ale zagadaliśmy się, patrzcie, oto już godzina druga po północy.

— Co, już druga? — Jak to prędko czas leci, gdy się ma takie rozrywki, jak telewizor i teleakuston Orkisz.

— Ale... ale... — przypomniał sobie Wilson — o której też godzinie zaobserwowaliśmy owo tajemnicze posiedzenie Eurazjatów, rozumie się, według ich czasu?

Astronom wnet sięgnął do swego notatnika i zadowolony, że i jego wiedza na coś się przydaje, poważnie wygłosił:

— Gdy w Seattle mamy godzinę drugą, wówczas w stolicy Eurazji jest już dwunasta minut trzydzieści po południu, zaś w Paryżu jest kilka minut po dziesiątej rano. Obrady, których świadkami byliśmy, miały miejsce o godzinie 23-ej według czasu Seattle w dniu 6 sierpnia, zaś według czasu słonecznego stolicy Eurazji odbywały się one w dniu 7 sierpnia o godzinie 9 m. 30 rano.

— Cóż za cudowny aparat ów telewizor Orkisz — żartował Wilson — nietylko pozwala widzieć i słyszeć, co się dzieje na kuli ziemskiej, lecz nawet daje możność dostrzec już w dniu 6 sierpnia to, co dzieć się będzie nazajutrz.

Astronom, najwidoczniej zgorszony ignorancją ko-

legi w dziedzinie astronomji, spojrział na Wilsona z pogardliwą pobłażliwością i widać było, że zamierza wygłosić popularny wykład o tak zw. „południku zmiany daty“, lecz zapędy jego przerwał Wilson, mówiąc:

— Astronomie, pohamuj swoje zgorzenie z powodu mojej niewiedzy w dziedzinie chronometriji; żartowałem sobie tylko; toć nawet w szkole średniej uczyłem się tego i wiem, na czym polega owa zmiana daty; nie trudź się przeto, kolego Pawle, tem bardziej, że i na mnie już czas spać. Wszak jutro możliwie najwcześniej mam jechać do miasta, aby odcyfrować eurazjatycki fonogram.

Rozdział V.

Katastrofa na wyspie Pitcairn.

Nazajutrz, po odbytych w laboratorium doświadczeniach z telewizorem, Wilson udał się wczesnym rankiem do Seattle, zabierając ze sobą nagrany walek fonogramu. Po przybyciu do miasta, profesor skierował się do znajomego detektywa w celu odczytania i przetłumaczenia podsłuchanych tajemniczych rozmów.

Wbrew przewidywaniom okazało się, że odcyfrowanie fonogramu nie jest łatwe. Widocznie aparat, zapisujący dźwięki, nie był dokładnie dostrojony, gdyż bardzo wiele pojedynczych wyrazów, a nawet zdań zostało bądź pominiętych, bądź też zniekształconych.

Cały dzień pracował detektyw nad fonogramem, tak, iż Wilson dopiero późnym wieczorem powrócił do domu na wyspę, gdzie oczekiwali go niecierpliwie przyjaciele.

Niezwłocznie udali się trzej uczeni do znanej nam sali obrad.

Wilson wyjął notatnik i nie zwlekając, przystąpił do rzeczy:

— Przedewszystkiem muszę was uprzedzić — oznaj-

mił — że fonograf niedokładnie zapisał naradę Eurazjatów...

— To bardzo możliwe — przerwał Orkisz — nie przewidziałem, że aparat fonograficzny będzie potrzebny i nie doстроiłem go odpowiednio do głośnika teleakustonu.

— Wiele zdań, a nawet całych ustępów — ciągnął Wilson — nie dało się zupełnie odcyfrować. Oto zaczyna się fonogram takimi słowy:

... .. wynalazków, mających... związek... wojenną... należy... Orkisz... którym wspomina Astronomical...

— Odczytuję umyślnie literalny przekład — objaśnił Wilson — ze zrozumiałych bowiem względów prosiłem tłumacza, aby nic nie opuszczał i nie dodawał żadnych własnych domysłów; czytam dalej:

... .. Orkisz brak... szczegółów... wywiad... informacji..... Orkisz może... odkrycia... miejsca nadawczej... pędnej..... zdobyć... szczegóły... tym celu... plan..... tyńskiemu...

— Proszę, Samie, odczytaj jeszcze raz ostatnie zdania — przerwał Orkisz — gdyż zupełnie nie rozumiem ich sensu.

Wilson powtórzył parokrotnie wymienione, przerywane zdania i dodał własne wyjaśnienia:

— Zdaje mi się, że ustęp dotychczas odczytany jest częścią sprawozdania, które wygłasza zapewne sekretarz jakiegoś kolegum Eurazjatów. Widać z tego, że ich wywiad wojskowy dokładnie śledzi wszelkie zdobycze techniki, nowe odkrycia i wynalazki, które są choćby w najluźniejszym związku ze sztuką wojenną. Z dalszych zdań wynika, według mnie, że Eura-

zjaci pragnęliby posiąść tajemnicę twego wynalazku, kolego Janie, gdyż obawiają się, aby przy jego pomocy nie odnaleziono... jakichś stacji nadawczych.

— Co to może być za „nadawczej... pędnej...“ — zadał pytanie Orkisz, przerywając Wilsonowi. Czyżby wynaleźli sposób przesyłania siły pędnej, zapomocą fal elektromagnetycznych?! — domyślał się Orkisz. — Dziwne to wszystko i tajemnicze.

— Posłuchajmy dalszego ustępu, który zdaje mi się jest wyjątkiem z przemówienia owego jakiegoś tam pana „.....tyńskiego“ — rzekł Wilson i odczytywał dalej:

... .. proponuję... zar... na miejscu zbadał..... charakterze... Orkisz... .. Eurawiacie... szanse powodzenia.

— Tego ustępu już zgola nie rozumiem — wtrącił profesor Jan.

— I ja też — dodał Wilson — dlatego budzi on we mnie wielką ciekawość i pozwala snuć najróżniejsze domysły, na przykład to, że ów pan „...tyński“ proponuje, aby wysłać jakiegoś tam innego jegomościa, któryby na miejscu starał się zdobyć bliższe szczegóły o telewizorze. Nie rozumiem tylko ostatniego zdania, gdzie jest mowa o jakiejś „Eurawiacie“! W każdym razie musimy się mieć na baczności; należy przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności, aby nikt obcy i niepowołany nie przedostał się do naszej samotni. Uważam za konieczne poczynienie pewnych ochronnych urządzeń, któreby uniemożliwiły intruzom wtargnąć przemocą na naszą wyspę.

— A któżby się odważył?! — wtrącił astronom.

— Nie znasz, przyjacielu, szpiegów wojskowych —

odparł Wilson. — Powtarzam i nastaję na to, aby nasz kolega fizyk wykombinował, co zresztą dla niego jest drobnostką, takie urządzenia, któreby zdołały ochronić nie tylko tajemnice naszego laboratorium, lecz również zapewniały nam osobiste bezpieczeństwo na wypadek napadu.

— Tak jest, przychyliam się do zdania Sama — dodał Orkisz — niezwłocznie zabiorę się do pracy, a wszak „potrzeba jest matką wynalazków“ — oto nawet w tej chwili przyszły mi do głowy pewne nowe pomysły. Bądźcie spokojni, nie dopuścimy do tego, aby jacyś wywiadowcy śmieli zakłócać nasz spokój i utrudniać pracę. Czytaj, Samie, dalej.

— Ba — odparł Wilson — w tem sęk, że dalsze zapisy fonogramu są zupełnie niezrozumiałe, składają się bowiem z oddzielnych wyrazów, bądź głosek; posłuchajcie:

... Polsce... Francji... prasa publikuje.....
 głosy... Eurazji..... mitrop..... monarchistami.....
 francuski fizyk..... ak.... vil..... pochłania..... emi-
 sję... energetycznych.... .. telewizora..... zniszczyć
 nadawczej..... wywiad..... zdobyć.....
 wynalazek... vil..... Paryż..... wysłać..... cowa
 przyspiesz..., rawiacie..... późno.....

— Potem już następuje taki zgiełk dźwięków, że pomimo wielokrotnego reprodukowania fonogramu, nie udało nam się odcyfrować ani jednej sylaby — zakończył Wilson, zamykając swój notes.

„Francuski fizyk.... ak... vil... pochłania.... emi-
 sję.... energetycznych...“ — wyszeptał do siebie Orkisz — zastanawiające... Już dawno chodzą mi po głowie pomysły neutralizowania i pochłaniania pewnych

Przebrałem sobie wypracowania

emisji fal... Któż to taki ów francuski fizyk „... ak... vil“, czyżby mój kolega z czasów studenckich — Jacques Neuvil?! Najwidoczniej Eurazjaci będą usiłovali zdobyć również tajemnicę wynalazków Neuvil'a; w tym celu zamierzają wysłać zapewne do Paryża jakiegoś tam szpiega — domyślał się w dalszym ciągu Orkisz.

Niezwłocznie jutro napiszę do kolegi Neuvil'a, ostrzegając go o grożącym niebezpieczeństwie...

„Pochłaniać emisję fal, przenoszących siłę pędną“ — tak, tak, już głośniej perorował profesor Jan — niewątpliwie o to chodzi Eurazjatom! Widocznie już udało im się zbudować stacje nadawcze do przenoszenia siły zapomocą fal elektromagnetycznych.

Już dawno północ wybiła na zegarze, a Orkisz i Wilson nawet tego nie spostrzegli. Astronom, który dosyć obojętnie przysłuchiwał się wszystkiemu, przypomniał towarzyszom, że czas udać się na spoczynek. Przed pożegnaniem Orkisz nieco podnieconym głosem oznajmił, że w najbliższych dniach co wieczór zamierza robić dalsze doświadczenia z telewizorem..., gdyż nie ulega dłań wątpliwości, że Eurazjaci zbudowali, lub zamierzają budować stacje nadawcze fal, przenoszących energię.

— Musimy cierpliwie przy pomocy telewizora — mówił Orkisz — zająć się odnalezieniem owych stacji... Może to mieć olbrzymie znaczenie... Wprawdzie poszukiwania będą niezmiernie uciążliwe i żmudne, lecz należy je przedsięwziąć i przeprowadzić do skutku — dodał w zamyśleniu.

— Dlaczegoż mają być tak uciążliwe — zapytał Wilson — wszak w ciągu paru sekund możemy przynieść nasz wzrok o setki i tysiące kilometrów.

— Przeceniasz, kolego, znaczenie mojego wynalazku — odrzekł Orkisz. — Wprawdzie w ciągu sekundy można za jego pomocą przerzucić wzrok o tysiące kilometrów, jak dotychczas, nie potrafię jednak dokładnie sprecyzować, powiedzmy przynajmniej z dokładnością do 1 km^2 miejsca, które dostrzegam. Naprzykład to, żeśmy wczoraj zaobserwowali szczegółowo postaci uczestników obrad, było wyłącznie dziełem przypadku. Gdybym dzisiaj nastawił projektory według tych samych wskaźników, nie mam żadnej pewności, że znów udałoby się zobaczyć to samo miejsce. Jeszcze nie miałem czasu poświęcić się zbadaniu dokładności moich projektorów, przypuszczam, że przy najdokładniejszym nastawieniu mogę chybić mniej więcej o kilometr kwadratowy. Dlatego też, aby zamierzone odnalezienie stacji nadawczej mogło dać pomyślne wyniki, musimy uprzednio wspólnie z kolegą Pawłem poczynić próby dokładności telewizora. Przypuszczam, że zajmie to nam parę dni czasu. Potem dopiero podzielimy sobie teren Eurazji, narazie pewną jej część, naprzykład zachodnią, na kwadraty, które kolejno i dokładnie będziemy przeszukiwali.

— Tak jest, będzie to uciążliwa praca.

— Nie zapomnij jednak, Janie, że przedewszystkiem powinienes się zająć urządzeniami ochronnymi na wyspie i w budynkach. Kto wie... może już za kilka dni będziemy mieli nieproszonych gości! — dodał Wilson.

— Martwi mnie to wszystko, co słyszałem — sennym głosem wyrzekł astronom. — Zanadto zajmujemy się sprawami ziemskimi, a zamało myślimy o przestworzach międzyplanetarnych. Czyż nie lepiej byłoby po-

rzucić ten glob, omotany siecią intryg i zbrodni, i udać się w rakiecie na inne światy. Niestety, z tego, co sły-
 szałem, wnoszę, że zamierzacie jednak odłożyć naszą
 podróż na dalszy plan... Tymczasem zabrnijemy tak
 głęboko w trzęsawisko nikczemnych, a zarazem znikomych
 spraw mieszkańców tej ziemi, że nie starczy
 nam ani czasu, ani sił na dokonanie tamtych wielkich
 zamiarów.

— Dużo w tem racji, co mówisz — odrzekł po-
 ważnie Wilson — lecz przedewszystkiem musimy pa-
 miętać, że nasza wiedza i praca ma wszak służyć nie
 komu innemu, tylko właśnie naszym współbraciom,
 mieszkańcom ziemi — ludzkości! Czyż mamy obojęt-
 nie patrzeć na zbrodnicze zamysły ludzkie, jak w da-
 nym razie — mitropskich szaleńców i eurazjatyckich
 zdrajców, którzy wbrew woli spokojnej ludności swych
 krajów, dążą do nowej wojny! Nie, przyjacielu, ani
 na chwilę nie zapominam o naszych celach. Nie za-
 waham się jednak odroczyć podróży międzyplanetar-
 nej potę, aby, o ile to będzie w naszej mocy, prze-
 szkodzić rozlewowi krwi ludzkiej tu na ziemskim globie!

* * *

Nazajutrz na wyspie zawrzała gorączkowa praca.
 Według planów Orkisz zaufani laboranci wykonywali
 instalacje ochronne, zakładali urządzenia sygnalizacyjne
 i alarmowe. Ogólny nadzór nad ściśmę wykonaniem
 planów objął Wilson, który zazwyczaj troszczył się
 o potrzeby życiowe swoje i swoich kolegów.

Po kilku dniach wyspa Oldisland była omotana sie-
 cią naziemnych i podziemnych przewodników; krata
 zaporowa w porcie została połączona z aparatem alar-

mowym; na zewnętrznym moście portu zainstalowano specjalne rezonatory, wrażliwe na fale, spowodowane przez śruby statków i łodzi motorowych. Budynki, a zwłaszcza laboratorja, zaopatrzone w specjalne zamki; szczególnie dokładnie zabezpieczono laboratorium fizyczne na wieży, gdzie był umieszczony telewizor.

Pomimo nawału pracy, Orkisz nie zapomniał napisać listu do Paryża, do swego kolegi prof. Neuville'a. W liście oznajmiał dawnemu przyjacielowi, że podczas doświadczeń z telewizorem przypadkowo doszły do jego wiadomości domniemane zamiary eurazjatyckich wywiadowców, a dotyczące właśnie osoby Jacques'a; zaleca przeto przedsięwzięcie zapobiegawczych środków ostrożności. Przy okazji wspominał również Orkisz o rzekomym odkryciu sposobu pochłaniania emisji fal, przypisywanem Neuville'owi; o ile to możliwe, prosił o pewne wyjaśnienia tej niezmiernie dla niego ciekawej kwestji.

Stan wyjątkowej emocji, jaki kilka dni temu ogarnął naszych przyjaciół, uległ stopniowemu złagodzeniu. Nawet Wilson, który pesymistycznie przewidywał możliwość zbrojnego napadu na wyspę, począł spokojniej patrzeć na całą sprawę, zwłaszcza, że wykonane urządzenia ochronne działały niezawodnie i dawały rękojmię zupełnego bezpieczeństwa.

Po kilku dniach życie uczonych na wyspie wróciło znów do normalnego trybu. Wprawdzie od czasu do czasu sygnały alarmowe obwieszczały zbliżanie się motorówek, wiozących ciekawych dziennikarzy, jednakże po kilku nieudanych próbach i odczytaniu napisu, widniejącego na moście portowym, a oznajmiającego, że: „osobom obcym, dziennikarzom i repor-

terom wstęp wzbroniony“ — ciekawscy zaniechali wycieczek na niegościnną wyspę.

Nasi uczeni powrócili do swych ulubionych zajęć. Orkisz łącznie z astronomem wzięli się do systematycznych badań dokładności i zasięgu telewizora, zaś Wilson powrócił do przerwanych studjów chemicznych.

Trzej przyjaciele mieli zwyczaj po całodzienniej pracy w laboratorjach spędzać wieczory wspólnie. Tylko astronom, często nawet wieczorami, zwłaszcza podczas pogody, zamykał się w obserwatorjum, aby dokonywać obserwacji księżyca. Trzeba bowiem wiedzieć, że pan Paweł, zresztą w tajemnicy przed przyjaciółmi, obmyślił sobie kompletny plan urządzenia telewizyjnej stacji pomocniczej na księżycu; określił nawet dokładnie na powierzchni ziemskiego satelity miejsce, które nadawałoby się najlepiej na urządzenie stacji i pobyt asystenta pana Bairda.

Po wspólnie spożytej wieszery, koło godziny dziesiątej wieczorem, Wilson i Orkisz, a czasami również i astronom udawali się do laboratorjum na wieży, aby zasiąść przy stereoskopach i przeszukiwać terytorja zachodniej Eurazji.

Niestety, dotychczasowe obserwacje nie dały pożądaných wyników. Zasiąg telewizora był wprowadzie bardzo wielki, jednakże jego dokładność pozostawiała wiele do życzenia, tak przynajmniej mniemał sam wynalazca. Przy najdokładniejszym bowiem nastawieniu wskaźników, można było z całą pewnością twierdzić tylko tyle, że dostrzegany obraz jest jakąś cząstką odcinka powierzchni ziemi o rozmiarach mniej więcej kilometra kwadratowego. Taki stan rzeczy oczywiście nie zadawalniał wynalazcy, dlatego też profesor Or-

kisz nie ustawał w dalszej pracy, aby udoskonalić swój aparat.

Pewną dywersję w normalnym biegu życia naszych przyjaciół wywołało nadejście dwóch listów z Polski, zaadresowanych do Jerzego Orkisz.

Profesor Jan otworzył oba listy, sądząc, że są dlań przeznaczone i że nadawca pomylił się tylko co do imienia. Z treści listów, z których jeden był pisany przez Hanię Orkiszównę, drugi zaś przez Andrzeja Skalskiego, domyślił się profesor, że są one przeznaczone dla jego bratanka, Jerzego Orkisz, który najwidoczniej wyjechał już z Polski i jest w drodze do Seattle. Przewidywał zatem profesor, zresztą bez specjalnego zadowolenia, że wkrótce należy się spodziewać przybycia bratanka na wyspę Oldisland. Profesor Jan widział przed laty parokrotnie Jurka, jako dwuletniego chłopczyka, wówczas, gdy jeszcze rodzice jego mieszkali w Ameryce; jednakże od czasu wyjazdu swego brata wraz z rodziną do Polski, stosunki pomiędzy nimi ograniczały się do wymiany zresztą niezbyt obfitej korespondencji.

Nie można powiedzieć, aby profesor Jan był człowiekiem o kamiennem sercu, aby w jego duszy nie gościły uczucia przywiązania do swej najbliższej rodziny, niemniej jednak, oddany wyłącznie pracy naukowej, poprostu nie miał czasu na kultywowanie uczuć familijnych. Nic też dziwnego, że domniemana wiadomość o odwiedzinach bratanka bynajmniej go nie ucieszyła.

Przedewszystkiem nie zdawał sobie sprawy, co zacz jest ów nieznany bratanek, w jakim celu zamierza go odwiedzić, jak długo chce gościć; czy należy

go zaprosić tu na wyspę; jakie mu dać zajęcie w razie, gdyby pragnął zabawić dłuższy czas. Te i tym podobne wątpliwości zaprzętały głowę naszego uczonego. Aby się ich pozbyć, powiadomił profesor Jan o wszystkim praktycznego Wilsona i prosił go, w razie przyjazdu bratanka, o zaopiekowanie się nim i o wyznaczenie młodzieńcowi miejsca zamieszkania i rodzaju zajęcia. Wilson chętnie przystał, gdyż naogół, pomimo swej uczoneści, był człowiekiem towarzyskim, lubiącym od czasu do czasu oddawać się rozrywkom i sportowi. Obiecywał sobie Wilson, że razem z młodym Orkiszem niejednokrotnie odbędą wycieczki na jachcie żaglowym, który już od dłuższego czasu beczynnie kołysał się na wodach basenu portowego; — że od czasu do czasu udadzą się wspólnie do Seattle, do teatru, cyrku, lub na match sportowy.

Nadesłane listy okazały się nieomylnymi zwiastunami: w tydzień po ich nadejściu sygnał alarmowy oznajmił zbliżanie się do wyspy jakiejś obcej motorówki. Niebawem dozorca portowy zameldował panu Wilsonowi, że przybyły na motorówce pasażer nazywa się Jerzy Orkisz i pragnie ujrzeć profesora Orkisz.

Nienazbyt chętnie oderwał się profesor Jan od swego zajęcia i wyszedł na spotkanie bratanka, który tymczasem w towarzystwie Wilsona wstępował po stopniach, wiodących z przystani do budynku. Przybysz władał jako tako językiem angielskim, co też mu umożliwiło zaprezentowanie się Wilsonowi i nawiązanie z nim rozmowy.

— Otóż właśnie idzie pański stryj, Mr. Georg, — rzekł Wilson, wskazując zbliżającą się postać profesora Jana.

Młodzieniec podszedł z uszanowaniem do stryja i zwrócił się doń już po polsku:

— Witam drogiego stryja i przepraszam za nieoczekiwane przybycie.

Profesor Jan, który już od kilku lat nie miał w użyciu swego rodzinnego języka, wprawdzie rozumiał słowa bratanka, lecz nie mógł się zdobyć tak odrazu na wypowiedzenie powitania po polsku, przeto milcząco uściśnął młodzieńcowi rękę i pozwolił mu dalej mówić.

— Przed kilku miesiącami — ciągnął dalej Jerzy — ukończyłem średnią szkołę techniczną w Warszawie i zarobiwszy sobie nieco grosza podczas praktyki, postanowiłem odwiedzić drogiego stryja. Słyszałem od zmarłej matki wiele dobrego o stryju profesorze, o jego wielkiej uczoności i dobroci; dlatego też ośmieliłem się przyjechać tu, aby prosić o przyjęcie mnie do laboratorium w charakterze pomocnika. Znam dobrze rzemiosło ślusarskie, znam elektrotechnikę, trochę również radjotechnikę i sądzę, że przy dobrych chęciach i wytrwałości potrafię być istotnie pomocnym kochanemu stryjowi w jego pracy laboratoryjnej.

Profesor Jan pilnie słuchał gładkich słów bratanka, które nawet wywarły nań korzystne wrażenie. Nie mogąc w dalszym ciągu zdobyć się na dostatecznie uprzejmą odpowiedź po polsku, a przytem ze względu na osobę obecnego kolegi Wilsona, profesor Jan zaproponował dalsze prowadzenie rozmowy w języku angielskim.

Trzej mężczyźni udali się do wnętrza domu, aby swobodnie porozmawiać, zasiadłszy w gościnnym pokoju na parterze obok hallu. Uradzono, a właściwie zarządził tak Wilson, aby Jerzy zamieszkał tymcza-

sem w tym właśnie gościnnym pokoju; co zaś dotyczy jego zajęcia, to póki profesor Orkisz nie zdecyduje inaczej, będzie on pomagał laborantowi Wilsona przy zakładaniu nowej instalacji do pieców elektrycznych.

Młodzieniec już po kilku dniach współzycia z uczonymi zdołał zaskarbić sobie ich łaski.

Powierzoną sobie pracę w laboratorium chemicznym wykonał tak dokładnie i inteligentnie, że wprawił w podziw Wilsona.

Prof. Orkisz zamierzał zmienić zegarowy mechanizm projektora, w celu powiększenia dokładności i zasięgu telewizora; zachęcony do tego przez Wilsona, zdecydował się, chociaż nie bez pewnych wahań, również tę pracę powierzyć Jerzemu. I w tym wypadku młodzieniec okazał się zdolnym mechanikiem, a przytem tak gorliwym w pracy, że wykonał całą robotę znacznie szybciej, niż to uczyniłby stary zaufany mechanik Know, który już od szeregu lat był najbliższym współpracownikiem Orkisz.

Oczywiście nie mógł profesor Jan odmówić prośbie swego bratanka asystowania podczas próbnej obserwacji przez ulepszony telewizor. Młodzieniec z nabożnym skupieniem przyglądał się czynnościom wstępnym przed uruchomieniem aparatu. Na jego obliczu odmalowało się niezwykle zdumienie i zaciekawienie, gdy usłyszał telefonicznie nadane przez profesora Jana zlecenia niewidzialnemu asystentowi Bairdowi. Powstrzymał się jednak od niedyskretnych pytań, zadawałnając się narazie temi, zresztą skąpemi, wyjaśnieniami, których stryj sam łaskawie mu udzielił.

Również i astronom, zachęcony dotychczasowemi pomyślnemi wynikami pracy młodego człowieka, udał

się do Jerzego z propozycją pomocy przy montowaniu nowej lunety, przeznaczonej specjalnie do badania księżyca.

Podczas długich godzin, spędzanych wspólnie z astronomem, Jerzy nawiązywał rozmowę na różne tematy, dotyczące głównie wynalazków i zamierzeń uczonych. Najwięcej zaciekaiała młodzieńca owa tajemnicza stacja pomocnicza, którą zarządza p. Baird, starał się przeto dowiedzieć od astronoma bliższych o niej szczegółów.

— Co to za genialny wynalazek ów telewizor — odezwał się kiedyś Jerzy do astronoma. — Jakież olbrzymie perspektywy otwiera on uczonym, zwłaszcza astronomom, których wzrok przeniesie na powierzchnię planet i gwiazd.

— Ba! ba! — odparł pan Paweł — żeby to dało się stosować telewizor do przestrzeni międzyplanetarnej w tej mierze, co na kuli ziemskiej. Niestety, jest to jeszcze nieco przedwczesne.

— Czy nie mógłby mi pan profesor wyjaśnić, dlaczego tak jest? Dlaczego powiedział pan, że „jest to jeszcze nieco przedwczesne“?

— A no tak — odparł astronom. — Wszystko bowiem polega na owej stacji pomocniczej, mieszczącej się obecnie na wyspie Pitcairn, w odległości około 8.000 kilometrów od nas. Gdyby udało się stację pomocniczą umieścić o 50.000 kilometrów, albo i więcej — ho, ho!... wówczas... wówczas mógłbym panu powiedzieć, co jadają na obiad mieszkańcy Marsa.

— Stacja pomocnicza na wyspie Pitcairn — powtórzył Jerzy — ach, tak, to gdzieś na południowej półkuli, na Oceanie Spokojnym — to rzekłszy, gorączkowo

podbiegł do wiszącej na ścianie wielkiej mapy, aby naocznie stwierdzić istnienie wyspy.

— Cóż pana tak szczególnie zainteresowała owa wyspa — zagadnął podejrzliwie astronom, który poniewczasie spostrzegł, iż nierozważnie zdradził jedną z najważniejszych tajemnic Orkiszka.

O istnieniu stacji pomocniczej, poza trzema uczonymi i oczywiście panem Bairdem, nikt na świecie nie wiedział.

— Sądzę, że pan potrafi być dyskretny i nie zrobi żadnego użytku z informacji, których niebaczenie mu udzieliłem — zwrócił się do Jerzego tonem opryskliwym astronom i, zły na siebie za swe gadulstwo, zagłębił się w studjowaniu jakiejś mapy.

— Mogę pana zapewnić, panie profesorze, że umiem być dyskretnym — odrzekł poważnie młodzieniec.

— Niepoprawny ze mnie gaduła — łajał samego siebie w myśli stroskany pan Paweł. — A toć tyle razy była mowa o tem, aby broń Boże nie zdradzić komu tajemnicy wyspy Pitcairn. Wszak z tego właśnie powodu mieliśmy rok temu tyle kłopotów.

Rzeczywiście, przed rokiem, gdy zaszła potrzeba urządzenia stacji pomocniczej, mieli nasi uczeni poważne trudności z wyborem dobrze ukrytego miejsca, a także zaufanej osoby, mogącej zarządzać stacją. Szczęśliwy zbieg okoliczności wybawił ich z kłopotu. Oto Wilson podczas bytności w San-Francisco spotkał się przypadkowo ze swoim dawnym serdecznym druhem, Anglikiem Bairdem, komandorem marynarki, który, jak się okazało z rozmowy, był gubernatorem wyspy Pitcairn i zarazem kapitanem angielskiego krążownika strażniczego, stacjonującego stale na owej

wyspie. Z dalszej rozmowy z komandorem dowiedział się Wilson, że syn Bairda świeżo ukończył elektrotechnikę i zamierza objąć jakąś posadę. Ponieważ jednak młody człowiek odznacza się słabowitem zdrowiem, przeto ojciec pragnąłby dlań znaleźć jakieś niezbyt uciążliwe zajęcie, gdzieś w ciepłym klimacie, a przytem w miejscowości niebardzo odległej od stałego miejsca pobytu rodziców.

Wilson wnet spostrzegł, że nadarza się znakomita sposobność do pomyślnego załatwienia kłopotliwej sprawy.

Po naradzie z kolegami i po rozmowie z komandorem i jego synem, stanęło wreszcie na tem, że młody inżynier został współpracownikiem i asystentem profesora Jana. Młody pan Baird urządził swoje laboratorium według ścisłych wskazówek profesora Orkiszsa w budynku gubernatorskim, co oczywiście umożliwiałoby zachowanie całej sprawy w sekrecie przed ludzką ciekawością, a zarazem ułatwiałoby używanie stacji o każdej porze dnia i nocy.

* * *

Spokojnie i równo płynęło życie na wyspie Oldisland. Orkisz po dokonaniu ulepszeń w aparatach prowadził wytrwale poszukiwania na terytorjum Eurazji. Wprawdzie dotychczas nie zdołał odkryć domniemanych stacyj, jednakże zdobył duże doświadczenie w manewrowaniu projektorem, a nawet zaobserwował kilka miejscowości, leżących w pobliżu zachodnich granic Eurazji, w których widniały tajemnicze budowle, mogące właśnie mieścić stacje nadawcze.

Wilson oddawał się w dalszym ciągu swoim bada-

niom w dziedzinie budowy materji i zapewniał przyjaciół, w szczególności astronoma, że poniekąd udało mu się otrzymać tak zwane „strumienie wyzwolonych atomów“, które zdolne są wytwarzać olbrzymie ilości energii.

— Mając możność wyzwalań wielkich zasobów energii — mówił Wilson — możemy już śmiało przystąpić do urzeczywistnienia naszych projektów podróżniczych. No! Cobyś na to powiedział, kochany astronomie, gdybyśmy tak, niedalej jak za rok frunęli sobie na księżyc?!

Wbrew oczekiwaniu obietnice rychłej podróży międzyplanetarnej nie wywarły na astronomie należytego wrażenia. Pan Paweł od paru dni był czemś przygnębiony, często znikał w swojej pracowni, był zgryźliwy, niechętnie obcował z towarzyszami, wieczory zaś spędzał przeważnie na tarasie swego obserwatorium, bądź też... bądź też w budce strażniczej na molo portowem.

Bo też miał pan Paweł ciągłe wyrzuty sumienia, że tak nierozważnie zdradził wobec młodzieńca tajemnicę wyspy Pitcairn. Astronom, który dotychczas nawet lubił Jerzego, obecnie czuł do niego niechęć; będąc z natury imaginacyjnym, pan Paweł wyobrażał sobie, że Jerzy robi użytek z posiadanej tajemnicy; posunął się nawet tak daleko, iż potajemnie udawał się do budki strażniczej na molo, skąd przez silną lornetę podglądał Jerzego w jego pokoju.

Zdawałoby się, że niepokój astronoma nie miał żadnych racjonalnych podstaw, a jednak... a jednak, co oznaczają te dziwne migocące światełka, które od paru dni regularnie około 10-ej godziny wieczorem, to jest wtedy, gdy Orkisz i Wilson siedzą przy stereosko-

pach, ukazują się nad horyzontem naprzeciw okien pokoju Jerzego?!

A przytem, co za dziwny zbieg okoliczności: około dziesiątej Jerzy udaje się do swego pokoju, zasiada przy otwartem oknie i... najwyraźniej to widział pan Paweł przez lornetę — wyjmuje jakąś długą metalową cygarniczkę, a raczej rurkę, i zapala papierosa. Pali papierosa... tak to wygląda zdaleka... lecz pilnie obserwując przez lornetę, pan Paweł dostrzega, że nie jest to zwykłe palenie, gdyż Jerzy często wyjmuje z cygarniczki papierosa i przez nią z całej siły dmucha, potem znów wkłada papieros do cygarniczki i niby to pali, i tak wkołko... W kilkanaście sekund potem ukazują się owe migotliwe światełka... Jerzy znów dmucha... i znów światełka... trwa to przez cały kwadrans.

Światełka pochodzą zapewne od lamp, umieszczonych na maszcie jakiejś łodzi, pływającej w odległości paru kilometrów od wyspy.

Najwięcej zmartwienia przyczynia panu Pawłowi owo „dmuchanie“ Jerzego przez tajemniczą rurkę. Gdzieś, kiedyś czytał, czy też słyszał astronom o gwizdkach alarmowych, wydających ciche dźwięki, to jest dźwięki, których nie słycać w najbliższem otoczeniu, które zato mogą być chwywane przez specjalne mikrofony, umieszczone w pewnej odległości.

Oto przyczyny posępnego i zgryźliwego nastroju pana Pawła.

Wprawdzie tylko przez dwa wieczory widać było tajemnicze światełka, ukazujące się wtedy, gdy Jerzy palił i dmuchał przez cygarniczkę. Pan Paweł również i następnych wieczorów udawał się ze swą lornetą na

zwiady, lecz już nic szczególnego nie dostrzegł. Od czasu do czasu ukazywały się na morzu światelka, widoczne jednak było, że pochodzą one ze statków, kursujących często po zatoce. Również Jerzy, siedząc przy oknie, palił papierosa przez cygarniczkę, lecz już nie dmuchał tajemniczo.

Biedny pan Paweł stracił poprostu poczucie rzeczywistości; w swym nerwowym nastroju niejednokrotnie nawet w ciągu dnia ulegał złudnym przywidzeniom; zaś wieczory i noce wzmagaly jego chorobliwą wyobraźnię — ponure koszmary i halucynacje nie pozwalały mu zmrużyć oka nieraz przez całą noc.

Zmizerniał pan Paweł, co przy jego i tak szczupłej i zgarbionej figurze nadawało całej postaci wygląd chorobliwy.

Zaniepokojeni złym wyglądem przyjaciela, towarzysze zapytywali pana Pawła o powody takiego stanu, a nawet zalecali mu udanie się do lekarza o poradę; astronom wymijająco odpowiadał na ich pytania i rady, poddyktowane koleżeńską troskliwością.

Po kilku dniach istotnie pan Paweł uspokoił się, sypiał lepiej, apetyt mu wrócił. Wszak wzięwszy na rozum, nie miał dostatecznych podstaw do podejrzenia Jerzego Orkisz o chęć zdradzenia komuś obcemu tajemnicy wyspy Pitcairn. Toć Jerzy jest bratanikiem wynalazcy — rozumował pan Paweł — jakżeby śmiał okazać się niewdzięcznym w stosunku do stryja, u którego mieszka i z którym pragnie współpracować.

Mogę być spokojny — przekonywał siebie astronom — Jerzy nie zdradzi powierzonej mu tajemnicy. Co zaś dotyczy owych tajemniczych światelek i dmuchania

przez cygarniczkę — to chyba... uległem przywidzieniom, będąc silnie rozstrojonym.

Uspokojony astronom począł nawet uczestniczyć w doświadczeniach telewizyjnych, prowadzonych systematycznie przez Orkisz i Wilsona.

Kilka następnych dni minęło w niezamąconym niczem spokoju; uczeni oddawali się gorliwie swym zajęciom.

Pewnego atoli wieczoru, a było to w połowie września, trzech przyjaciele zasiedli przy stereoskopach. Jak zwykle Orkisz połączył się telefonicznie z panem Bairdem i podał mu liczby orientacyjne kierunku emisji falowej. Niebawem na matówkach ukazał się krajobraz równin i mokradeł, gdzieś z okolic Białorusi. Orkisz z wolna poruszał kierownicą projektora tak, iż patrzącym zdawało się, jakoby spoglądali przez okna wolno posuwającego się pociągu.

W pewnym momencie obrazy na matówkach nagle zniknęły. Trzech przyjaciele jednocześnie niemal dali wyraz swemu zdziwieniu.

Przeczekawszy dłuższą chwilę, Orkisz, zaniepokojony nieoczekiwaną przerwą, sięgnął do tuby telefonicznej.

Jakież było jego zdziwienie, gdy na głośnie nawoływania i sygnały nie otrzymał żadnej odpowiedzi.

Konsternacja ogarnęła uczonych!

Wilson pierwszy ocknął się z chwilowej bezradności i zrozumiał, że nie pozostaje nic innego, jak tylko niezwłocznie nadać radjodepeszę do państwa Bairdów z zapytaniem i prośbą o natychmiastową odpowiedź.

Oczywiście depeszę należy tak zredegować, aby nie zdradzić tajemnicy wyspy Pitcairn.

Wkrótce depesza była przez telefon przekazana urzędowi telegraficznemu w Seattle.

Ciężkie chwile niepokoju przeżywali trzej przyjaciele w ciągu godzinnego oczekiwania na odpowiedź.

Wreszcie zadzwieczał telefon i oto jaką smutną nowinę oznajmił: „Karola Bairda znaleziono w omdleniu. Laboratorium zdemolowane. Trzy projektory zniknęły. Złoczyńcy umknęli z łupem zapewne na hydroplanie“.

* * *

Złowroga wieść o napadzie tajemniczych złoczyńców na pana Bairda i o uwięzieniu projektorów ze stacji pomocniczej na wyspie Pitcairn wywarła przynębiające wrażenie na naszych przyjaciół.

Zapewne wieść o nagłym trzęsieniu ziemi, lub zapadnięciu się w morze wyspy Pitcairn, nie wydawałaby się profesorowi Orkiszowi mniej niespodziewaną od owego napadu rabunkowego.

Któż bowiem mógł być tak dokładnie poinformowany o istnieniu stacji pomocniczej? Wszak tylko czterej ludzie na świecie posiadali tę tajemnicę, a przysięgą co za zuchwałość złoczyńców, żeby napadać na wyspę, strzeżoną przez okręty wojenne!

Wprost nie do wiary wydała się profesorowi Orkiszowi cała ta historia.

Jakież cel mogli mieć napastnicy w tem, aby zabierać projektory, które same przez się i tak nie odkryją tajemnicy telewizora, gdyż nawet najzdolniejszy fizyk nie potrafiłby ich celowo użyć. Sekret fal „ultragamma“ polega bowiem na skomplikowanej kombinacji prądów indukcyjnych.

Niemniej ogromną krzywdę wyrządzili złoczyńcy

profesorowi Orkiszowi! Trzeba będzie kilku tygodni czasu na sporządzenie nowych projektorów, a następnie należy już w innem miejscu zainstalować samą stację, w obawie, aby napad nie został powtórzony.

Profesor Jan uczuł się tak boleśnie dotknięty napadem, że przez parę dni nie miał wprost możliwości myśleć o jakiegokolwiek pozytywnej pracy. Myśli jego uporczywie błędziły w sferze możliwych przypuszczeń co do sprawców napadu; zdawało się niewątpliwem, że był on dziełem agentów eurazjatyckich; wszak fonogram, przejęty przy pomocy teleakustonu, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że wywiadowcom eurazjatyckim chodzi o zgłębienie tajemnicy telewizora.

W jaki sposób jednak mogli się dowiedzieć Eurazjaci o istnieniu stacji pomocniczej? Raczej można było spodziewać się napadu tutaj, na wyspę Oldisland. Widocznie złoczyńcy zdobyli dokładne informacje, wiedzieli o tem, że wyspa i jej mieszkańcy są dobrze zabezpieczeni przez ochronne urządzenia.

Takie i tym podobne przypuszczenia i domysły zaprzętały umysł profesora Jana i wbrew jego woli odbierały mu spokój i pogodę ducha, tak niezbędne przy pracy naukowej.

Ten stan bierności, w jaki popadł Orkisz, ustąpił nieco dopiero po kilku dniach pod wpływem perswazji zawsze pogodnego i dzielnego Wilsona, a szczególnie po odbyciu dłuższej konferencji z panem Karolem Bairdem, który osobiście przybył na wyspę Oldisland, aby omówić kwestję odbudowy zniszczonego laboratorium.

Karol Baird okazał się prawdziwym Anglosasem,

Wkrótce depesza była przez telefon przekazana urzędowi telegraficznemu w Seattle.

Ciężkie chwile niepokoju przeżywali trzej przyjaciele w ciągu godzinnego oczekiwania na odpowiedź.

Wreszcie zadzwieczał telefon i oto jaką smutną nowinę oznajmił: „Karola Bairda znaleziono w omdleniu. Laboratorium zdemolowane. Trzy projektory zniknęły. Złoczyńcy umknęli z łupem zapewne na hydroplanie“.

* * *

Złowroga wieść o napadzie tajemniczych złoczyńców na pana Bairda i o uwięzieniu projektorów ze stacji pomocniczej na wyspie Pitcairn wywarła przygnębiające wrażenie na naszych przyjaciół.

Zapewne wieść o nagłym trzęsieniu ziemi, lub zapadnięciu się w morze wyspy Pitcairn, nie wydawałaby się profesorowi Orkiszowi mniej niespodziewaną od owego napadu rabunkowego.

Któż bowiem mógł być tak dokładnie poinformowany o istnieniu stacji pomocniczej? Wszak tylko czterej ludzie na świecie posiadali tę tajemnicę, a przytem co za zuchwałość złoczyńców, żeby napadać na wyspę, strzeżoną przez okręty wojenne!

Wprost nie do wiary wydała się profesorowi Orkiszowi cała ta historia.

Jakiż cel mogli mieć napastnicy w tem, aby zabrać projektory, które same przez się i tak nie odkrywają tajemnicy telewizora, gdyż nawet najzdolniejszy fizyk nie potrafiłby ich celowo użyć. Sekret fal „ultragamma“ polega bowiem na skomplikowanej kombinacji prądów indukcyjnych.

Niemniej ogromną krzywdę wyrządzili złoczyńcy

profesorowi Orkiszowi! Trzeba będzie kilku tygodni czasu na sporządzenie nowych projektorów, a następnie należy już w innym miejscu zainstalować samą stację, w obawie, aby napad nie został powtórzony.

Profesor Jan uczuł się tak boleśnie dotknięty napadem, że przez parę dni nie miał wprost możliwości myśleć o jakiegokolwiek pozytywnej pracy. Myśli jego uporczywie błędziły w sferze możliwych przypuszczeń co do sprawców napadu; zdawało się niewątpliwem, że był on dziełem agentów eurazjatyckich; wszak fonogram, przejęty przy pomocy teleakustonu, niedwuznacznie dawał do zrozumienia, że wywiadowcom eurazjatyckim chodzi o zgłębienie tajemnicy telewizora.

W jaki sposób jednak mogli się dowiedzieć Eurazjaci o istnieniu stacji pomocniczej? Raczej można było spodziewać się napadu tutaj, na wyspę Oldisland. Widocznie złoczyńcy zdobyli dokładne informacje, wiedzieli o tem, że wyspa i jej mieszkańcy są dobrze zabezpieczeni przez ochronne urządzenia.

Takie i tym podobne przypuszczenia i domysły zaprzętały umysł profesora Jana i wbrew jego woli odbierały mu spokój i pogodę ducha, tak niezbędne przy pracy naukowej.

Ten stan bierności, w jaki popadł Orkisz, ustąpił nieco dopiero po kilku dniach pod wpływem perswazji zawsze pogodnego i dzielnego Wilsona, a szczególnie po odbyciu dłuższej konferencji z panem Karolem Bairdem, który osobiście przybył na wyspę Oldisland, aby omówić kwestję odbudowy zniszczonego laboratorium.

Karol Baird okazał się prawdziwym Anglosasem,

niezłomnym w swych postanowieniach. Nie zraziła go brutalna napaść barbarzyńców, przeciwnie, raczej podnieciła go do tem gorliwszego zajęcia się odbudową stacji. Oczywiście zamierzał już w innem miejscu założyć nową stację — gdzie nie zdołaliby powtórnie dotrzeć złoczyńcy. Przywiózł nawet gotowe propozycje w tej sprawie. Zapał młodego asystenta i optymizm Wilsona sprawiły, że Orkisz przewyciężył wreszcie swą bierność i ochoczo wziął się do pracy. Postanowiono umieścić stację pomocniczą na jednej z wysepek archipelagu Tuamotu, która na mocy dobrowolnego układu pomiędzy Francją i Anglią pozostawała od paru lat pod opieką gubernatora Bairda.

Urządzenie nowego laboratorium wymagało nietylko wiele pracy, lecz również i dużych środków pieniężnych. Wilson wielokrotnie musiał udawać się do Seattle po pieniądze na zakupy nowych motorów, transformatorów elektrycznych i innych potrzebnych urządzeń. Orkisz i Wilson byli wprost zapracowani. Przy załatwianiu interesów w mieście Wilson niejednokrotnie wyręczał się Jerzym Orkiszem, który chętnie i sprawnie spełniał powierzone mu zlecenia.

Tylko zacny astronom nie był w stanie współdziałać z przyjaciółmi w ich pracy.

Wieść o katastrofie na wyspie Pitcairn wywarła na panu Pawle tak silne wrażenie, że popadł on w stan chorobliwego rozdrażnienia nerwów, które groziło poważnemi komplikacjami.

Po paru dniach stan zdrowia pana Pawła uległ dalszemu pogorszeniu do tego stopnia, że nie opuszczał on łóżka. Wilson zaniepokojony o swego przyjaciela wezwał lekarza, który po zbadaniu chorego orzekł, że

jego stan jest poważny i że należy przewidywać możliwość przewlekłej choroby umysłowej.

Wobec takiego obrotu rzeczy, przyjaciele postanowili niezwłocznie przewieźć pana Pawła do miasta, aby umieścić go w jednej z lecznic, gdzie miałby należytą opiekę i pomoc lekarską. Z bólem serca rozstawali się przyjaciele ze swoim chorym kolegą; również i chory niezbyt chętnie opuszczał wyspę, na której od szeregu lat mieszkał i pracował.

Pragnąc osłodzić gorzkie osamotnienie zacnego astronoma, Wilson wyraził życzenie, aby Jerzy Orkisz zamieszkał chwilowo w Seattle, w celu częstego doglądania pana Pawła.

Chory, pomimo pozornej obojętności na wszystko, co się wokół niego działo, widocznie jednak usłyszał jakieś urywki rozmowy pomiędzy Wilsonem i Jerzym w tej właśnie kwestji, gdyż, wnet po wyjściu Jerzego z pokoju, zerwał się z łóżka i z roziskrzonymi oczami, chwając się na nogach, podbiegł niczem furjat do przerażonego Sama.

— Mógłbyś, kolego Samie, oszczędzić mi tej przykrości — głosem chrapliwym krzyczał pan Paweł — nie znoszę Jerzego... tego... tego... to on... on... a właściwie ja... tak, tak tylko ja, nieszczęsny, stałem się powodem... napadu...

Oczywiście Wilson, widząc nienormalne zachowanie się przyjaciela, nie usiłował nawet zastanawiać się nad znaczeniem owych dziwnych słów, tem bardziej, że biedny astronom po tym nagłym wybuchu znów popadł w zwykły stan apatii i wyczerpany osunął się bezwładnie na łóżko.

— Nieszczęśliwy kolego — myślał w duszy Wil-

son — padłeś najwidoczniej ofiarą swej bujnej wyobraźni; należy poddać twój umysł i nerwy gruntownej kuracji, gdyż niewątpliwie grozi ci pomieszanie zmysłów.

Nie bacząc na nawał zajęć, Wilson osobiście zajął się leczeniem pana Pawła; przewiózł go do lecznicy, powierzył opiece najzdolniejszych psychiatrów i otoczył chorego największymi wygodami.

Profesor Jan i Wilson nie byli oczywiście w możności sami podołać wszystkim czynnościom, związanym z pośpieszną odbudową laboratorium. Lwią część pracy wziął na siebie pan Baird, który okazał się nieocenionym asystentem; jeździł po różnych miastach w celu możliwie szybkiego nabycia potrzebnych maszyn.

Przy wyczerpanej pracy wszystkich, włączając i Jerzego Orkisz, odbudowa, a właściwie przygotowania do niej szybko postępowały naprzód.

Wszelkie precyzyjne aparaty, jako to projektory, rury katodowe, induktory, reostaty i t. p. wypadało przeważnie zamawiać u elektrotechników i mechaników. Była to uciążliwa i żmudna robota, gdyż każdy najdrobniejszy szczegół należało dokładnie odrysować, a nawet często wymodelować w plastelinie.

Wielce pomocnym okazał się Jerzy Orkisz, który nie tylko chętnie spełniał polecenia profesorów, lecz nawet sam z własnej inicjatywy jeździł do miasta, aby dopilnować dokładnego wykonania zamówionych przyrządów.

Około połowy września, mniej więcej w parę tygodni po napadzie, przybył niespodziewanie na wyspę Oldisland nowy gość — był nim Jacques Neuville,

profesor Sorbony paryskiej, wielki uczony i słynny wynalazca.

Profesor Jan był niezmiernie rad gościowi, z którym łączyły go kiedyś węzły przyjaźni w czasie wspólnych studjów w Paryżu i Londynie.

— Jakże się cieszę, drogi przyjacielu — przywitał Orkisz swego gościa — że mogę cię ugościć u siebie na tej wysepce, która stała mi się najdroższą sercu ojczyzną, kryjącą skarby mego ducha. Cieszę się, iż będę mógł tu na miejscu wtajemniczyć cię, drogi kolego, w swe studja nad przenoszeniem zmysłów do odległych miejsc — właściwie jak dotychczas zmysłu wzroku i słuchu.

— I ja jestem niezmiernie rad, że mogę osobiście ujrzeć nietylko osobę przyjaciela z lat młodzieńczych — odparł serdecznie Jacques — lecz zarazem podziwiać te cudowne wynalazki, o których już głośno na świecie, chociaż nikt jeszcze nie przeniknął ich treści.

— Niestety — ciągnął dalej Neuville — przybywam do ciebie, kolego Janie, nietylko w charakterze ciekawego gościa i przyjaciela, przywiodły mnie tu sprawy daleko ważniejsze, sprawy, dotyczące przedewszystkiem zagrożonego istnienia twojej i mojej ojczyzny, naszych współbraci; ba, nawet więcej powiem — chodzi tu o byt całego świata cywilizowanego, całej kultury, która może być zachwiana przez złowrogie zamysły wojowniczych wielkorządców Eurazji i ich sojuszników — monarchistów mitropolskich.

Orkisz słuchał z uwagą słów przyjaciela; kryły one w sobie potwierdzenie złowróźbnych wieści, obiegających już od pewnego czasu cały niemal cywilizowany świat. Czyżby istotnie wulkan eurazjatycki — jak się

ongiś wyraził Wilson — zamierzał zionąć ogniem i lawą, aby zniszczyć znieawidzoną zachodnio-europejską kulturę? Czyżby zasłyszane przez teleakuston urywkowe wieści były rzeczywiście zapowiedzią nowej zawieruchy wojennej?

— Powiedziałeś, kolego, o zagrożonem istnieniu mojej Ojczyzny — odezwał się profesor Jan — czyżby Eurazja była tak wielką potęgą, aby mogła zagrażać nie tylko Europie, lecz nawet Stanom Zjednoczonym?

— Kto wie — odparł Jacques — może w dalszej konsekwencji nawet Stany Zjednoczone byłyby zachwiane w swej potędze. Przedewszystkiem jednak grozi bezpośrednio niebezpieczeństwo Polsce i Francji. Wiem, że jesteś Polakiem, kolego Janie i mówiąc o twej Ojczyźnie, miałem na myśli Polskę, która może już za kilka miesięcy paść ofiarą najazdu wrogów cywilizacji.

Orkisz zadumał się i lekki rumieniec wstydu okraślił jego oblicze. Wszak jest Polakiem, z krwi i kości — jakże mógł zapomnieć o swem pochodzeniu z ziemi sarmackiej? — zapomnieć o tych ojcach, dziadach i pradziadach, którym zawdzięcza swe istnienie, którzy wywalczali swe prawo do życia orężem, bądź znojną pracą poto, aby zapewnić przyszłość następcom — poto, aby on, Jan Orkisz z Orkiszów, mógł swym umysłem przenikać tajniki przyrody, aby mógł dokonać odkryć, które ułatwią i utrwalą byt ludzkości we wszechświecie...

Profesor Neuville przejrzał oczyma duszy myśli kolegi. Tak jest, ten kapłan nauki — dumiał Neuville — hołdując wyłącznie wiedzy, odsunął się nazbyt od świata

rzeczywistego, aby w jego sercu mogły gościć uczucia patriotyczne. Nic w tem dziwnego, jest to objaw często spotykany wśród różnojęzycznych obywateli Stanów Zjednoczonych, gdzie emigranci ulegają szybkiemu wy-narodowieniu.

Długą chwilę zadumy przerwał Orkisz z pewnem westchnieniem :

— Dzięki ci, przyjacielu, żeś poruszył w mej duszy uśpione struny uczuć patriotycznych. Jestem Polakiem, jestem potomkiem tych kmieci i wojaków, którzy od lat tysiąca trwają na straży, broniąc zachodniej kultury przed zalewem wschodniego barbarzyństwa. Dzi-siaj, gdy Polska, Ojczyzna mych przodków, jest istotnie w potrzebie — oddam należną jej daninę! Może nie serce i zapał młodzieńca patrioty, lecz rozum, roz-wagę i wytrwałość dojrzałego obywatela. Jeżeli tylko moja wiedza, moje odkrycia i wynalazki mogą się przydać do obrony przeciwko najeźdźcom, albo też do udaremnienia ich złych zamiarów — ani chwili nie zawaham się i stanę do apelu!

Przed paru miesiącami, czyniąc obserwacje przy pomocy telewizora, przypadkowo stałem się uczestni-kiem tajemniczej narady Eurazjatów. Z fonogramu, jaki udało mi się zrobić, domyśliliśmy się razem z przyja-ciółmi, że Eurazjaci prawdopodobnie knują jakoweś złe zamiary. Z tegoż fonogramu można było wywnio-skować, że w urzeczywistnieniu swych knowań zechcą zniszczyć moje i twoje, drogi przyjacielu, wynalazki. Dlatego też niezwłocznie napisałem do ciebie list z ostrzeżeniem.

— Właśnie — wtrącił Neuville — dzięki twemu ostrze-żeniu zostało ocalone moje laboratorium paryskie.

Przed dwoma tygodniami nieznani złooczyńcy usiłowali wysadzić w powietrze tę część gmachu laboratoryjnego, w której mieści się moja pracownia, gdzie od szeregu lat czyniłem doświadczenia i próby mych aparatów, pochłaniających fale elektromagnetyczne. Na szczęście zamach został udaremniony...

— A więc moje domysły zdają się być prawdziwe — dodał porywczo Orkisz — najwidoczniej Eurazjaci wynaleźli sposób przesyłania na odległość energii przy pomocy fal elektromagnetycznych i obawiają się, aby działanie ich stacyj nadawczych nie zostało zneutralizowane przez twoje „pochłaniacze fal“. Prawie pewny byłem tego i nawet czyniliśmy przez telewizor poszukiwania owych stacyj nadawczych na terenie zachodniej Eurazji. Niestety, — nasze wysiłki zostały udaremnione, gdyż, przed trzema tygodniami, również nieznani złooczyńcy zniszczyli moje laboratorium pomocnicze...

— Co mówisz?! — zawołał Jacques — więc i twoje laboratorium było przedmiotem napaści?! Zatem sprawa jest zupełnie jasna... Tak... to wszystko, co słyszę, zgadza się doskonale z informacjami naszych wywiadowców. Więc istotnie niebezpieczeństwo jest groźne... i bliskie... Czy aby zdążymy i zdołamy je odwrócić?!... Wybacz, kolego Janie, że mówię tak podniecony, lecz wiadomości dopiero co zasłyszane rzucają nowe światło na całą sprawę. Muszę chwilę spokojnie pomyśleć, aby zebrać i ułożyć wszelkie domysły i fakty w porządku logicznym.

— Czy nie uważałbyś za wskazane — nadmienić Jan — abyśmy przerwali chwilowo naszą debatę, zwłaszcza, że tu w gabinecie, przylegającym do sali laboratoryjnej, moglibyśmy być podsłuchani.

— Masz zupełną rację — odrzekł Neuvil — chociaż pośpiech jest pożądany, niemniej należy przed poważną i decydującą naradą uporządkować swe myśli. Czekaj nas, przyjacielu, ciężka i odpowiedzialna praca. Być może w naszych rękach, a raczej w naszych mózgach, leży moc udaremnienia zamachu Eurazjatów. W moich ostatnich doświadczeniach osiągnąłem takie udoskonalenie „pochłaniacza fal“, iż potrafię przy jego pomocy obezwładniać stacje nadawcze z odległości stu kilometrów. Ach! gdyby udało mi się powiększyć zasięg „pochłaniaczy“, wówczas nie byłyby groźne wrogie stacje, przesyłające energję.

— Coś niecoś słyszałem o twoich promieniach „ultragamma“. Mam pewne dane do przypuszczeń, że przy pomocy tych promieni uda nam się wspólnie udoskonalить działanie „pochłaniacza fal“. W tym właśnie celu tu przybyłem.

— Z jakąż rozkoszą będę z tobą współpracował — odrzekł Orkisz. — Będziemy znów wspólnie przeżywać radosne chwile, jakie daje twórcza praca naukowa; wskresimy miłe wspomnienia z czasów akademickich. Zdaje się, że obydwaj hołdujemy tej niezłomnej prawdzie, iż rzeczywiste szczęście i zadowolenie można znaleźć tylko w twórczej pracy naukowej!

W tym momencie ktoś zapukał do drzwi.

— Otóż i Wilson — oznajmił Jan na widok wchodzącego — mój najserdeczniejszy druh i współpracownik.

Wilson zawarł znajomość z Neuvilem i po krótkiej rozmowie uczeni postanowili zejść się ponownie za jakąś godzinę w znanej czytelnikom „ślepej sali obrad“, aby naradzić się i ułożyć plan dalszego działania.

Rozdział VI.

Niewola.

— Panie Jurku, proszę się obudzić, proszę przyjąć to lekarstwo — były to pierwsze słowa, które dotarły do świadomości zemdłego. Ktoś podtrzymał mu głowę, wlał do ust jakiegoś płynu — Jurek otworzył oczy. Leżał na tapczanie w nieznanym mu pokoju, obok siedział pan Mikołaj i patrzył nań frasobliwie.

— Chwała Bogu, już panu lepiej — odezwał się pan Mikołaj. Ładnie się pan spisał... Niema co mówić! Taki wytrawny pilot — żartował dalej pan Mikołaj — i uległ zawrotowi głowy. A przytem jakiego pilot narobił kłopotu! Szczęśliwie, że w ostatniej chwili zdążyłem chwycić stery i wyrwać aparat z karkołomnego korkociągu. Gdyby nie przychylny los, przyjaciele nie potrzebowaliby nam nawet urządzać pogrzebu, gdyż siłą spadku wbilibyśmy się w błotnisty grunt przynajmniej na parę metrów.

Jurek stopniowo przychodził do siebie; wypił szklankę mleka i, przysiadłszy na tapczanie, rozejrzał się bacznie po pokoju, poczem zwrócił się do pana Mikołaja z zapytaniem:

— Gdzie znajdujemy się obecnie? Czy spadliśmy?

— Nie spadliśmy — odparł pan Mikołaj — tylko

nas zniewolono do lądowania. Znajdujemy się na terytorjum Eurazji w dość znacznej odległości od granicy.

Jakby na potwierdzenie tych słów uszu Jurka doszły odgłosy głośnych rozmów w obcym języku.

— Słyszysz pan — nadmienił pan Mikołaj — te głosy, to żołnierze eurazjatyccy granicznego posterunku lotniczego, którzy wzięli nas do niewoli.

— No, chyba nie do niewoli, przecież niema wojny pomiędzy Polską i Eurazją — zaniepokoił się Jurek.

— Ależ oczywiście — odparł pan Mikołaj — zażartowałem sobie.

Oslabienie jakoś dziwnie szybko ustąpiło, wkrótce Jurek poczuł się w możności wstać i przejść się po pokoju.

Pan Mikołaj był widocznie zadowolony ze swego pacjenta, gdyż uśmiechnąwszy się doń po przyjacielsku, rzekł:

— Widzę, że zuch z pana, kochany panie Jurku. Skoro już pan nie potrzebuje pielęgniarsza, będę mógł pana opuścić, aby udać się do stolicy Eurazji i wyjednać prawo powrotu na naszej awjonetce do domu. W tym celu zabiorę również pana dokumenty osobiste ze sobą. Sądzę, że uda mi się powrócić za kilka dni; tymczasem będzie pan musiał zadowolnić się towarzystwem komendanta posterunku, z którym zresztą porozumie się pan łatwo, gdyż władza on nieco językiem polskim.

Tego samego dnia pan Mikołaj udał się w podróż do stolicy Eurazji.

Jurek zapoznał się z komendantem posterunku. Był to młody oficer, zawołany służbista, małomówny i podejrzliwie obserwujący młodzieńca. W pierwszych

dniach znajomości rozmowa jakoś im się nie kleiła, chociaż dwukrotnie w ciągu dnia mieli po temu okazję podczas wspólnie spożywanym posiłków.

Jurek postanowił skorzystać z przymusowego pobytu w Eurazji i w miarę możliwości zasięgnąć języka w wiadomych sprawach, nadewszystko go obchodzących. Usiłował przeto skierować rozmowę na temat lotnictwa i nowych ulepszeń w tej dziedzinie. Mrukliwy komendant niechętnie odpowiadał na zadawane pytania; natomiast ciekawość Jurka widocznie wzbudziła w nim podejrzenia, gdyż od tej chwili pilnowano młodzieńca, jakgdyby naprawdę był jeńcem wojennym. Nawet nie pozwolono mu wychodzić poza obręb posterunku.

Oczywiście taki stan rzeczy zaniepokoił naszego bohatera; niepokój jego wzrastał się tem więcej, że nie tylko zapowiedziane przez pana Mikołaja kilka, lecz nawet kilkanaście dni już minęło od jego wyjazdu, a Jurek nie otrzymał dotychczas żadnej wiadomości w sprawie powrotu.

Atoli pewnego dnia, mniej więcej dziesiątego po wyjeździe pana Mikołaja, komendant wezwał Jurka do kancelarji i oznajmił mu, że jego pobyt na posterunku lotniczym Nr. 25 (tak zwał się posterunek) kończy się dzisiaj, gdyż nazajutrz rano w myśl otrzymanego rozkazu „jeniec Nr. 107 m.“ ma być odtransportowany do okręgowej ekspozytury dowództwa.

Jurek zupełnie nie rozumiał, o co chodzi komendantowi i co oznacza wyrażenie „jeniec Nr. 107 m.“.

Służbisty oficer w krótkich słowach, wypowiedzianych urzędowym tonem, wyjaśnił:

— Internowany na posterunku Nr. 25 obywatel

polski, Jerzy Orkisz, został na mocy niniejszego rozkazu przemianowany na „jeńca Nr. 107 m.“ i w myśl tegoż rozkazu ma być jutro odesłany pod konwojem do ekspozytury okręgowej.

— Ależ, panie komendancie — zachnął się Jurek — co to wszystko znaczy?! Z jakiej racji mam być jeńcem? Wszak niema wojny! Co się stało z moim przyjacielem, panem Zarowskim?

Oficer z początku nasrożył brew i było widoczne, że nie uważa za potrzebne udzielać śmiałkowi odpowiedzi na tego rodzaju pytania, jednakże przemógł w sobie urzędowe oburzenie i z pewnym odcieniem ironji oświadczył:

— Wojny jeszcze niema, lecz może być w bliskiej przyszłości — oto racja, dla której pan został jeńcem. Co zaś dotyczy pana Zarowskiego, pańskiego przyjaciela — te ostatnie słowa z naciskiem wypowiedział komendant — to jest on oczywiście w zupełnem bezpieczeństwie i wolności jego nic nie grozi na terenie Eurazji. Więcej nie mam panu nic do zakomunikowania; o dalszych pana losach zadecyduje władza wyższa. Obecnie proszę się udać wraz z konwojującym żołnierzem do swego pokoju i poczynić przygotowania do jutrzejszej podróży. Żegnam pana, nie sądzę, abyśmy się jeszcze kiedy mogli spotkać.

Jurek zrozumiał swoje położenie: oto został porwany przez agentów eurazjatyckich. Lecz w jakim celu?

Długo w noc, leżąc na tapczanie, Jurek rozważał niespodziewany dlań obrót rzeczy. Nie uległo wątpliwości, że został wciągnięty w zasadzkę i podstępnie porwany. Lecz w jakim celu? Jakież znacze-

nie dla Eurazji może mieć jego skromna osoba? — za-
ledwie początkującego mechanika i nawet jeszcze nie
pilota?

Próżne były domysły młodzieńca. Znużony wyte-
żoną pracą ponurych myśli, zasnął, aby w sennych
marzeniach znaleźć ukojenie po zaznanych ciężkich
przeżyciach.

* * *

Jurek Orkisz, a raczej „jeniec Nr. 107 m.“, został
wcielony do brygady monterów w zakładach Eurawiaty.
Eurazjatyckie państwowe zakłady, zwane „Eurawiata“,
zajmowały wielkie tereny na wybrzeżu morza Kaspij-
skiego pomiędzy Derbentem i Baku.

Eurawiata była olbrzymią wytwórnią samolotów,
raket, torped, oraz wszelkiego rodzaju broni lotniczej
i chemicznej. Bliskie sąsiedztwo obfitych źródeł nafto-
wych sprzyjało rozwojowi tego fabrycznego osiedla,
zaś odosobnione położenie na jałowym i mało zalud-
nionem wybrzeżu morskiem umożliwiło wojowniczej
klicce, rządzącej Eurazją, wyzyskanie Eurawiaty specjal-
nie dla celów wojskowych.

W Eurawiacie inżynierowie oraz kierownicy po-
szczególnych działów, a nawet majstrowie, stojący na
czele brygad robotniczych, rekrutowali się z pośród
starszych członków organizacji komunistycznej, zresztą
bez względu na przynależność narodową. Wśród t. zw.
starszyny zakładu można było znaleźć przedstawicieli
wszelkich narodowości, jednakże przeważali obywatele
Eurazjatyccy i Mitropsy. Naczelną dyrekcją zakładów
spoczywała w rękach kolegum inżynierów, fizyków,
chemików i innych uczonych, przyczem przewodzili

w niej obywatele państwa Mitropy, należący do zakonspirowanej organizacji monarchistycznej.

Cała przestrzeń, zajmowana przez osiedle fabryczne, była otoczona łańcuchem specjalnych fortyfikacji i strzeżona przez liczne oddziały wojskowe w ten sposób, że wszelka komunikacja ze światem zewnętrznym była bardzo utrudniona.

W osiedlu, poza zabudowaniami fabrycznymi i budynkami mieszkalnymi na wzór koszar wojskowych, mieściły się również kantyny, telekinoopery, telekino-teatry i wielkie boiska do sportów i zabaw. Życie w osiedlu było zorganizowane na wzór wojskowy; wszyscy mieszkańcy, wyłącznie mężczyźni, gdyż kobiety nie miały prawa stałego pobytu w osiedlu, tworzyli plutony, kompanie i pułki i według rodzaju zajęcia i sprawowanych czynności mieli nadane szarże na wzór wojskowych. Tłum robotniczy tworzył zastępy szeregowych, których nawet pozbawiono ich własnych imion i nazwisk, a zamiast tego oznaczono numerami i literowemi odznakami według przynależności kadrowej.

Jurek Orkisz, przemianowany na szeregowca Nr. 107 m., został wcielony do brygady monterów lotniczych, której przewodził niejaki towarzysz — komunistą Dębał.

Dębał rozumiał, a nawet mówił po polsku i to zapewne spowodowało, że Jurka wcielono właśnie do jego brygady.

Już tydzień minął od czasu, gdy Jurek został zainstalowany w Eurawiacie. W pierwszych dniach swego pobytu ciężkie chwile przeżywał młodzieniec. Nietyle dotkliwą dlań była znojna praca w warsztatach, przy-

tem w niekorzystnych warunkach klimatycznych, — ile przykre samopoczucie własnej bezsilności wobec przemocy.

Umysł Jurka dręczyły ciągle najdziwaczniejsze domysły co do powodów jego porwania.

Czyżby istotnie miał niebawem nastąpić ów okrutny napad Eurazjatów na Polskę? Lecz cóż za związek istniałby pomiędzy projektowanym napadem, a porwaniem jego skromnej, nic nieznaczącej osoby?!

Przez parę pierwszych dni swego pobytu w Eura-wiacie Jurek, poza przymusową pracą, oddawał się podobnie ponurym i bezowocnym rozmyśleniom. Widząc jednak bezcelowość swych jałowych przypuszczeń, postanowił przełamać napór dręczących go myśli i raczej skierować swą energję fizyczną i duchową na inne tory. Oto postanowił wyzyskać czas niewoli w ten sposób, aby zapoznać się bliżej z organizacją i celami pracy Eurazjatów. Rozumował słusznie, że aby wroga skutecznie móc zwalczać, należy go przedtem dokładnie poznać i przejrzeć jego plany.

To też stopniowo począł Jurek zbliżać się do swoich towarzyszy pracy i próbował nawiązać bliższe stosunki, nie tylko z robotnikami, lecz i z bezpośrednim przełożonym, komunistą Dębalem.

Dębał, naogół łagodny i sprawiedliwy przełożony w stosunku do swoich podwładnych, widząc sumienną i ze znajomością rzeczy wykonywaną pracę młodego montera, począł spoglądać na Jurka coraz łaskawiej, a nawet wkrótce jął okazywać mu wyraźnie przychylność w postaci pochwał za dobrze wykonane zlecenia.

Jurek postanowił wyzyskać chwilowy sentyment swego przełożonego. Dyskretnie, pod pozorem wielkiej



gorliwości w pracy warsztatowej począł nagabywać Dębala o te, lub inne szczegóły zawodu monterskiego; ośmielił się również prosić o pomoc w nauczaniu się języka eurazjatyckiego, aby mógł studjować fachowe książki z biblioteki zakładowej.

Stopniowo stosunki pomiędzy Jurkiem i Dębalem zacieśniły się mocniej; małomówny i sztywny przełożony komunista pozwalał sobie na dłuższe pogawędki z szeregowcem już nie tylko w sprawach czysto zawodowych, lecz nawet i osobistych.

Praca w zakładach Eurawiaty trwała ciągle bez przerwy, nie było ogólnego wycieczki niedzielnej, lub świątecznego, natomiast każda brygada co dziesięć dni miała dwa dni rekreacji, w czasie których wolno było oddawać się sportom i zabawie.

Dębał zaproponował Jurkowi, aby w najbliższe dni, wolne od pracy, udał się wspólnie z nim na wycieczkę na morze.

Jurek oczywiście skwapliwie przyjął tę propozycję.

Pogoda była piękna, morze spokojne, łagodny wietrzyk muskał fale. Dębał i Jurek wyruszyli na małym jachciku żaglowym na morze. Nic tak nie wpływa kojąco na ciało i duszę człowieka, jak obcowanie z naturą, a zwłaszcza jej najpiękniejszym żywiołem — bezkresnym morzem!

Człowiek, choćby najbardziej zmaterializowany, w obliczu toni morskiej odczuwa potęgę i piękno natury, myśl jego mimowoli opuszcza wszelkie sprawy i troski ziemskiego bytu i kieruje się ku nieskończonym przestworzom, mknie w krainy niezgłębionego i nieskończonego prabytu, zwraca się ku Stwórcy.

Zwłaszcza przedziwny obraz chylącego się ku za-

chodowi słońca, podczas ciszy morskiej, pobudza w głębiach duszy ukryte moce, zniewala do cichych zwierzeń wobec samego siebie, do sprawiedliwej oceny własnych złych i dobrych myśli i poczynań.

W podobnym nastroju byli również Jurek i Dębäl.

Jurek musiał użyć całej potęgi swej młodej, lecz już zahartowanej woli, aby nie zwierzyć się Dębälowi ze swych utrapień i niepokojów, aby nie uzalić się na złowrogi los.

Dębäl, człowiek bardziej prostolinijny, a przytem trawiony licznymi wspomnieniami swej bujnej przeszłości, nie mógł się powstrzymać od zwierzeń, które przemocą cisnęły się na usta.

— Czy nie wydało się to dziwne towarzyszowi — ozwał się Dębäl — że komunista eurazjatycki rozumie i mówi po polsku?... a czasami... nawet czuje po polsku... — Te ostatnie słowa dorzucił Dębäl jakby z cichem westchnieniem. Umilkł na chwilę; wzrok jego poszybował w kierunku chylącego się ku morzu słońca... Już lat z górą dwadzieścia dziewięć, jak opuściłem Polskę... żonę... synka rocznego Henrysia...

Po dłuższej przerwie, w czasie której tłoczące się myśli, wspomnienia i obrazy przeżyć widocznie walczyły o swe prawo przyobleczenia ich w żywe ciało mowy ludzkiej, Dębäl z pewnym gestem rezygnacji rozpoczął swoją spowiedź.

— Było to w roku 1919; nazywałem się wtedy inaczej... Piotr Dębski... dopiero później towarzysze komuniści uznali, że to burżujskie nazwisko i przechrzcili mnie na Dębälą... I tak już pozostało... Pracowałem jako ślusarz w fabryce w Białymstoku. Majster Müller, Niemiec z pochodzenia, był złym człowiekiem; o byle

co przyczepiał się, zwłaszcza, gdy przychodził do fabryki podchmielony, co mu się często zdarzało. Było to w sobotę, pamiętam... Pasowałem na fabryce nowy tryb do obrabiarki. Już kończyłem robotę... przychodzi Müller czerwony na gębie, widać pijany... od razu do mnie z pretensjami, że tryb źle zmontowany... że nie mam pojęcia o robocie i t. p. Nie chcąc wywoływać awantury, nie odpowiadałem na jego zaczepki. Moje milczenie widocznie go podniecało coraz więcej, gdyż w pewnej chwili odepchnął mnie od maszyny, klnąc i przezywając haniebnie... Krew buchnęła mi do głowy... Zbliżyłem się do niego z zaciśniętymi pięściami... Müller to dostrzegł, rzucił się na mnie i wymierzył uderzenie pięścią w twarz... Wtedy już straciłem przytomność... chwyciłem pierwsze lepsze ciężkie narzędzie i z całej siły ciąłem przez łeb... Bluznęła krew, Müller padł... zbiegli się ludzie... oprzytomniałem... na podłodze leżał Müller bez życia.

Zabrali mnie. Sądy skazały na cztery lata więzienia za zabójstwo w uniesieniu. Ciężkie chwile przeżywałem w więzieniu; zwłaszcza bolesne były mi odwiedziny żony z dzieckiem na rękę; widziałem ich nędzę i nie mogłem nic na to poradzić. Wreszcie poleciłem żonie wyprzedać wszystko, co jeszcze pozostało w izbie, i wyjechać do teściów... pod Żyrardów...

— Od tego czasu nie widziałem ani żony, ani synka...

Jurek dostrzegł w oczach Dębala srebrzysty połysk łez. Jakże odmiennie wyglądał w tej chwili surowy brygadjer i towarzysz komunista, dla którego wszelkie uczucia były czczemi wymysłami burżuazji.

Litość budzi niejednokrotnie sympatję; to też i Jurek ze szczerem współczuciem w głosie odezwał się:

— Jakże ciężką musiała być dla pana samotność więzienna zdala od ukochanych istot, pozostawionych na łaskę losu! Sam jestem więźniem, oderwanym siłą od kraju i rodziny, przeto łatwiej rozumiem niedolę, jaką los panu zgotował. Niechże pan opowiada dalej — jakież to złe moce przeniosły pana z kraju rodzinnego do Eurazji?

Dębał ciągnął po przerwie dalej swoją spowiedź.

— Rok 1920, najazd bolszewicki zastał mnie w więzieniu. Podobno bolszewicy tak zniechęceni zawładnęli miastem, że Polacy nie zdążyli wywieźć więźniów. Czerwoni zdobywcy otworzyli bramy więzienne i znalazłem się na wolności. Wprost odruchowo zamierzałem natychmiast uciec z miasta i udać się choćby piechotą do żony i dziecka. Niestety, po chwili zastanowienia zrozumiałem niedorzeczność tego planu. Wszak jestem więźniem, ściganym przez prawo, nie posiadam żadnych środków na odbycie dalekiej drogi, a przytem jakże tu przejść przez podwójny kordon wojskowy. Odłożyłem narazie swój zamiar i zdecydowałem najpierw zdobyć jakieś przyzwoitsze odzienie i zarobić trochę grosza na podróż. Powlokłem się tedy wraz z tłumem innych włóczęgów w kierunku biwaków żołnierskich...

Najwidoczniej mój strój więzienny podobał się jakimś towarzysze-komunistce, których było pełno w czerwonej armji, gdyż zaopiekowała się mną...

Wyraz twarzy mówiącego Dębała, dotychczas spokojny, uległ nagłej przemianie; oczy zaświeciły złym blaskiem, usta wykrzywił grymas obrzydzenia, spokojny dotychczas głos nagle zmienił się na chrapliwe urywane dźwięki:

— Oby ją piekła pochłonęły tę wiedźmę przekłą!... przez nią i dla niej zapomniałem Boga, Ojczyznę, żonę... synka...

Głos Dębala przeszedł w chrapliwy zew rozpaczy. Po dłuższej przerwie już opanowanym głosem znów zaczął mówić.

— Przez lat 20 żyłem jakby nie według własnej woli i chęci. Łaski i zaszczyty wielmożów eurazjatyckich spływały na mnie za jej staraniem... Popełniałem największe podłości — traciłem niewinnych ludzi... bo wmawiała we mnie, że to należy czynić dla wyższych celów!... dla dobra upośledzonych ludzi! Wierzyłem, że istotnie komunizm jest wielką ideą, która prowadzi ludzkość do wiecznego szczęścia i dobra...

— Wierzyłem, bo byłem ślepy... Niestety, zapóźno przejrzałem! Wyzyskali moją młodość, mój zapał i siły, a gdy ci wielcy wtajemniczeni dostrzegli, że poczynam odgadywać ukryte motywy ich zbrodniczej roboty, wtedy bez namysłu usunęli mnie od władzy i prawie jak więźnia zesłali do Eurawiaty, gdzie przez pierwsze lata pobytu byłem dniem i nocą potajemnie szpiegowany.

Zgnębili ducha i ciało... Dzisiaj jestem automatem, wykonywającym podrzędne funkcje.

Niemasz już dla mnie ukojenia, ani przebaczenia za popełnione grzechy... chyba śmierć... — Ciche łkanie nie pozwoliło Dębalowi dokończyć złowróżbnej myśli.

— Ależ, panie Dębalu — przemówił ze szczerem współczuciem Jurek. — Pocóż myśleć o śmierci! Nie należy nigdy ulegać zwątpieniu... I mój los nie jest do pozazdroszczenia, ufam jednak Opatrzności, która

czuwa nad każdą istotą. A dlaczegożby nie pomyśleć o ucieczce z Eurawiaty? We dwóch łatwiej tego dokonać.

Dębal gorzko się uśmiechnął.

— Co? Ucieczka z Eurawiaty? Widzę, że nie znasz, młodzieńcze, organizacji zakładu, ich urzędzeń ochronnych; żaden człowiek nie zdoła niepostrzeżenie wymknąć się z Eurawiaty. Ot, choćby i w tej chwili jesteśmy obserwowani przez ich agentów; patrzą na nas z tej oto wysokiej kopulastej wieży przy pomocy specjalnych przyrządów, noktowizorów. Gdyby nasz jachcik zniknął z pola widzenia obserwatora na wieży, natychmiast sygnały alarmowe dadzą o tem znać nadbrzeżnemu posterunkowi, który wnet wyśle ku nam wodny samochód raketowy.

Nie... Jedyny sposób wydostania się z Eurawiaty to... wpakować sobie kulę w łeb. Już od dłuższego czasu noszę się z zamiarem samobójstwa, zwlekałem... czekając na zjawienie się jakiejś przyjaznej duszy... może polskiej, której mógłbym powierzyć tajemnice mego sumienia. Dzisiaj to uczyniłem przed tobą, młodzieńcze. Gdyby udało ci się kiedyś wyrwać ze szponów Eurazjatów i wrócić do Polski, postaraj się odnaleźć moją żonę, lub syna i opowiedz im o biednym ojcu... opowiedz i innym o nieszczęsnej doli zbłąkanego zdrajcy... ku przestrodze!

Dębal sięgnął do bocznej kieszeni i wyjął z niej mały rewolwer. Jurek przerażony chwycił go za rękę.

— Nie bój się — spokojnie rzekł Dębal. — W tej chwili nie będę do siebie strzelał. Popełniając samobójstwo tu na łódce w twej obecności, naraziłbym ciebie. Wyjąłem rewolwer tak oto, machinalnie, często to

czynię, zwłaszcza w chwilach, gdy myślę o swoim wyzwoleniu...

— Nie, panie Dębal — przemówił Jurek z mocą w głosie. — Nikomu nie wolno pozbawiać się życia, które zostało mu dane przez Stwórcę; tylko On ma prawo je zabrać. Niechno pan teraz wysłucha cierpliwie moich zwierzeń. Toć ja jestem chyba w gorszym położeniu od pana. Wszak zostałem podstępnie porwany przez Eurazjatów i zmuszony do ciężkiej dla nich pracy; a przytem nie pojmuję, dlaczego to uczynili.

— Porwali pana, bo im się to udało, a przytem czy to nie korzystne dla nich, że zdobyli darmo dobrego i fachowego pracownika — odrzekł Dębal z obojętną rezygnacją. — Czy to pan jest pierwszym, którego uwięzili; jednych chwytają na lep pięknych haseł, innych przemocą.

— No tak — ciągnął Jurek — lecz porwali mnie podstępnie, z premedytacją. Przez kilka tygodni przygotowywali się do tego.

W tem miejscu Jurek pokrótce opowiedział o Skatyńskim, o Zarowskim, o swoim omdleniu podczas lotu, o tem, jak go zamknięto w więzieniu i wreszcie przewieziono do Eurawiaty.

Opowiadanie Jurka przełamało widocznie obojętność Dębala, gdyż z pewnem zaciekawieniem jął wypytywać o szczegóły, poczem oznajmił:

— Wygląda mi to wszystko trochę tajemniczo. Czy nie zaszła tu jaka pomyłka, może wzięli pana za kogo innego, który był im szczególnie potrzebny. A może chcą z pana zrobić swego sprzymierzeńca — o, bo potrafią oni upodlić najszlachetniejszą duszę ludzką! Niech pana Bóg od tego zachowa, raczej

śmierć... — Ostatnie słowa wygłosił Dębał tonem groźnej przestrogi. — A możeś młodzieńcze, zupełnie przypadkowo posiadał jakąś ich tajemnicę i porwali cię w obawie, abyś ich nie zdradził — snuł domysły Dębał.

— Chyba, że jest tajemnicą to, o czym nietylko ja, lecz bardzo wielu ludzi już głośno mówi, że rządząca klika w Eurazji, wspomagana przez potężne związki monarchistów mitropskich, w tajemnicy przygotowuje okrutny napad na Polskę i na zachodnią Europę. Zapewne i pan coś słyszał o mitropskich automatycznych samolotach, które mają być kierowane z odległości i zaopatrywane w siłę pędną również na odległość.

— Ba — odparł obojętnie Dębał — nietylko słyszałem o ich zbrodniczych projektach, ale nawet widziałem już dawno modele tych potwornych żelaznych ptaków. Byłem jeszcze wtedy w łaskach u dygnitarzy rządzących. W łonie rady wojennej Eurazji jeszcze wówczas nie wszyscy byli zdrajcami idei, to też propozycje mitropskich monarchistów nie od razu znalazły posłuch. Zwolna złoto i żądza władzy skusiły największych ideowców i poszli na lep obietnic. Monarchiści mitropscy przysłali swoich uczonych inżynierów i za ich staraniem powstała Eurawiata; do dzisiaj są w niej panami; wszyscy inni, szary tłum robotniczy — to tylko bierni wykonawcy woli monarchistów mitropskich. Wówczas to przejrzałem na oczy; ocenilem należycie sprzedajne dusze dygnitarzy eurazjatyckich; usiłowałem przeciwdziałać złu — nadaremnie, uległem przemocy. Oto dzisiaj i ja i ty i tłumy innych wbrew własnej woli współdziałamy w urzeczywistnieniu zamiarów mitropskich.

— Czyż niema sprawiedliwości — zachnął się Jurek. — Czyż w całej Eurazji nie masz ludzi, którzyby nie próbowali przeciwdziałać zdradzie i podłości?!

— Niestety, już dzisiaj nie masz takich w Eurazji. Wszyscy są bądź spodleni i sprzedajni, bądź też przez lata bezowocnej walki i prześladowań wyzuci z wszelkiej energii i pozbawieni woli, tak jak ja — ponuro odrzekł Dębął.

Na łodzi zapanowało dłuższe milczenie. Zachodzące słońce rzucało ostatnie wiązki gorejących strzał płomiennych. Dębął i Jurek pograżyli się w cichej kontemplacji. Dębął z obojętną rezygnacją obserwował przepiękną symfonię barw, improwizowaną przez ślizgające się po toni morskiej promienie słoneczne.

Jurek, zapatrzone oczyma ciała i duszy w zachód, rozmyślał nad ostatnimi wynurzeniami swego towarzysza. Nie pojmował tej bierności i lenistwa ducha, jakie cechowało Dębąła i jemu podobnych. Tak myśleć, jak Dębął, mogą tylko ludzie odarci ze wszelkich świętości i idei, nie miłujący nikogo i nic, ani Boga, ani ludzkości, ani Ojczyzny. Tak jest — oto, do czego prowadzą hasła komunizmu i materializmu! Czynną i ożywioną porywami młodości natura Jurka buntowała się przeciw wszelkiej niewoli, zwłaszcza niewoli zła i podłości. Raczej zginąć, niż poddać się przemocy zdrajców i sprzedawczyków!

— Panie Dębął — gromkim i stanowczym głosem przemówił Jurek. — Jest pan człowiekiem nieszczęśliwym, zmaltretowanym przez okrutne koleje życia; dla siebie niczego już pan nie pragnie, chyba wiecznego zapomnienia. Oto ofiarowuję panu moją przyjaźń! Jako przyjaciele, pójdźmy wspólnie naprzeciw śmierci, lecz

nie tej samobójczej, tchórzliwej, bo wynikającej z niemocy ducha. Pójdźmy naprzeciw śmierci chwalebnej — na polu walki, do której prowadzi droga czynów, aktów odwagi i samozaparcia i z której płynie moc i potęga dla tych, którzy przy życiu pozostaną!

— Wszak mówił pan, że tu w Eurawiacie my wszyscy wbrew woli pomagamy Mitropcom w urzeczywistnieniu ich złych zamiarów. Poświęćmyż nasze siły, ducha i ciało, wyteżmy naszą inteligencję w tym kierunku, aby bądź odkryć tajemnicę wynalazków Mitropców, bądź też przeszkodzić im w spełnieniu zamierzonych zbrodni! Przy pańskiej znajomości stosunków miejscowych, powadze i szacunku, jakim pana obdarzają robotnicy, a także i zaufaniu niektórych wyższych urzędników, nie jest wykluczone, że uda nam się osiągnąć powodzenie.

— A może Bóg da, że zajdą jakieś sprzyjające okoliczności, które umożliwią nam całkowite spełnienie zamierzeń. Wierzę w potęgę Najwyższej Sprawiedliwości! Wierzę, iż nie dopuści do tego, aby na świecie zatriumfowała podłość, aby miliony niewinnych istot miały zginąć poto, aby zaspokoić najniższe instynkty piratów. Wierzę w Polskę i jej niezniszczalność! Czyż poto ją Stwórca odrodził przed laty, aby znów padła pastwą rozboju?!

Głos Jurka nabrał silnego brzmienia, jego oczy pałały ogniem i siłą, zniewalającą do posłuchu.

— Ojcie Dębalu, czyż nie słyszysz w swej duszy zewu ziemi rodzinnej, ziemi, w której spoczywają kości twych ojców; ziemi, na której twój syn doznaje cierpień i radości życia! Czyż nie powinienes poświęcić swego życia walce ze złoczyńcami, którzy gotują zagładę

twej Ojczyźnie, twym współbraciom, twej żonie i synowi?!... być może, potworny żelazny ptak, do budowy którego przyczyniłeś się swoją pracą, poleci het na ziemię polską poto, aby rzucić zabójczy pocisk w pierś twego syna...

Słowa Jurka, wygłoszone z tak szczerym zapałem i istotnie głęboką wiarą, przebiły pancerz obojętności, okrywający zboląłą duszę Dębała. Gorące i bezinteresowne uczucie młodzieńca budziło w jego odrętwiałem sercu trochę żywsze tętno.

Postać Jurka, pełna świeżości i bujnej kraszy młodzieńczej, wywoływała w duszy Dębała obraz nieznanego z oblicza syna, do którego jednak tęskniło jego serce ojcowskie.

Dębał uścisnął swoją prawicą dłoń Jurka, jakby na potwierdzenie milcząco zawartego przymierza.

Aby nie spłoszyć podniosłego nastroju, który chociaż trochę rozjaśnił mroki Dębałowej duszy, Jurek nie nawiązywał dalszej rozmowy, lecz zasiadł do wiosła, aby przyspieszyć bieg łodzi, gdyż noc szybko zapadała.

Dębał milczał również, siedząc przy sterze; widać było jednak w jego oczach żywsze przebłyski myśli.

Na pożegnanie Dębał uścisnął serdecznie dłoń Jurka i szepnął:

— Zachowaj wszelkie pozory; tu nawet ściany mają oczy i uszy.

Rozdział VII.

W nurtach oceanu.

W Eurawiacie panowało niezwykle ożywienie. Eskadra automatycznych samolotów bojowych była na ukończeniu i w październiku zamierzano dokonać pierwszych wielkich manewrów.

Zarząd Eurawiaty projektował z tej racji urządzenie uroczystych manifestacyj; spodziewano się przybycia licznych dygnitarzy eurazjatyckich i mitropolskich. Wśród wyższych urzędników Mitropców przebąkiwano tu i ówdzie o tem, że należy oczekiwać również przyjazdu najwybitniejszych działaczy związku monarchistów, z wielkim księciem Karolem Niedezolernem na czele.

Oczywiście, szary tłum robotniczy przyjmował dosyć obojętnie wszelkie wieści o zamierzonych uroczystościach; dla robotników zapowiadały one jeszcze większe natężenie pracy i bardziej surowe traktowanie ze strony zwierzchników.

Zwłaszcza dla brygady monterów lotniczych zapowiedź bliskich manewrów oznaczała szczególnie uciążliwą i gorączkową pracę. To też wśród robotników brygady Dębala można było usłyszeć niejednokrotnie ciche szemrania i narzekania na przeciążenie.

Tylko Jurek i sam Dębal, pomimo niezwykle wytężonej pracy, cierpliwie, Jurek nawet radośnie, znosili trudy. W oczach młodzieńca, mimo fizycznego wyczerpania, tliło zarzewie wiary i nadziei.

Dębal, który, dzięki Jurkowi, jakby powrócił do życia, wziął się z uporem i przebiegłością doświadczonego komunisty do dzieła.

Jurek nawet nie wiedział o wszystkich jego poczynaniach i taktycznych posunięciach.

Co 10 dni, podczas rekreacji, odbywali wspólnie krótkie przechadzki, bądź wycieczki na morze i wówczas Dębal informował Jurka o wynikach dotychczasowych zabiegów.

Plan ich działania polegał na tem, aby zdobyć możliwie najwięcej wiadomości o automatycznych samolotach, oraz aby skorzystać z nadarżającej się okazji do ucieczki.

W tym celu Dębal postanowił nawiązać bliższe stosunki ze znajomymi pilotami Mitropcami.

Jako brygadjer, mający wyższą szarżę, Dębal miał możność bywania w kasynie urzędniczym, gdzie spotykał się z kilku znajomymi pilotami i instruktorami mitropskimi.

— Udało mi się naszą sprawę posunąć znacznie naprzód — oznajmił Jurkowi podczas ostatniej wspólnie odbytej przechadzki. — Wczoraj w kasynie przy piwie spróbowałem znów pociągnąć za język owego Hansa Müllera, instruktora-pilota. Po kilku kufiach rozgadał się mój Hans.

— Już niedługo, towarzyszu Dębalu — mówił — pojedziemy do Polski na naszych maszynach; a zdaje

mi się, że obydwaj mamy do załatwienia różne porachunki z Polakami!

— Ano tak — mówię — będziemy się rachować; tylko jakże to będzie z tą podróżą? Wy, towarzyszu Müller, jako instruktor, polecicie na maszynie, ale mnie — to nie zabiorą.

— Towarzyszu Dębalu — mówi Hans, uśmiechając się tajemniczo — nikt z nas nie potrzebuje lecieć na maszynach. One same polecą, same zniszczą całą armję polską, a nawet wymordują całą ludność trującym gazami, jeżeli Polacy odrazu się nie poddadzą. Wojna w trzy dni będzie wygrana, ha, ha... — zaśmiał się Hans — później dopiero pojedziemy załatwiać osobiste porachunki.

Przy ostatnich słowach pijaną twarz Müllera wykrzywił grymas szatańskiej żądzы zemsty.

Aż mnie podrywało, aby zamknąć pięścią tę plugawą gębę, ale się powstrzymał.

— Chciałbym bardzo — mówię do Hansa — przyczynić się do szybszego urzeczywistnienia tych waszych zamiarów, ale cóż, kiedy nie wzywano ani mnie, ani moich monterów do pracy przy samych aparatach. Dotychczas montowaliśmy tylko motory elektryczne oddzielnie. Gdyby pan, towarzyszu Müller, potrzebował do montażu dobrych mechaników, to niech pan pamięta, że najlepiej to robi Dębal i jego brygada.

— Dobrze — powiada Hans — właśnie za kilka dni rozpocznę montaż motorów na moich samolotach; nie zapomnę o was, towarzyszu Dębalu. No, a tymczasem wypijmy za pomyślność naszych zamiarów i... na pohybel wspólnym wrogom.

Jeszcze z godzinę trwała moja rozmowa z podchmielonym Hansem... Czy wiesz, Jurku, kim jest ów Müller?... Cóż za dziwne zrządzenie losu!... Toż to młodszy brat owego... owego... Müllera... — z ciężkiem westchnieniem dodał Dębal.

— Jako — z przejęciem zapytał Jurek — ten pilot Hans Müller miałby być bratem owego nieszczęsnego Müllera, który przypłacił życiem wybuch swej nienawiści i który zburzył twe życie, ojcze Dębalu?

— Tak jest — potwierdził Dębal.

— Może Wielki Sternik nawy życia kieruje na twą ciernistą drogę, ojcze Dębalu, owego Hansa Müllera poto, aby ci ułatwić dokonanie pokuty za grzech, jakiego się dopuściłeś — rzekł Jurek w zamyśleniu. — Niezbadane są wyroki Opatrzności; za ciężki grzech zabójstwa, jakiego się dopuściłeś, ojcze Dębalu, zostałeś skazany na wieloletnie udreki — i oto nadchodzi kres... brat zabitego zjawia się na twej pokutnej ścieżce poto, aby ułatwić ci wypełnienie czynów, które będą zadośćuczynieniem za grzechy przeciwko zdradzonej Ojczyźnie.

— Oby tak było — dodał cicho Dębal — oby nam było dane unicestwić podłe zakusy Mitropców. Wyraźnie mówił Hans, że zamierzają już w niedalekiej przyszłości wysłać niszczycielską flotyllę powietrzną na Polskę.

— Niedoczekanie ich!

— W najbliższych dniach, Jurku, zapewne pójdziesz ze mną i innymi monterami na robotę do hangarów Hansa; zapoznamy się bliżej z temi potworami ptakami... a może co z tego wyniknie?...

Istotnie w kilkanaście dni później Dębał otrzymał rozkaz stawienia się wraz z monterami w hangarach, będących pod zarządem instruktora Hansa Müllera.

Eskadra, którą dowodził Müller, składała się z 10 płatowców. Same aparaty były już gotowe, pozostawało zmontować urządzenia maszynowe. Płatowce były niewielkich rozmiarów, zaopatrzone w skrzydła najnowszej konstrukcji.

Jurek, który znał się nieco na budowie samolotów, dostrzegł odrazu ich nowe i istotne cechy.

Płaszczyzny nośne nie tworzyły jednolitej powierzchni, lecz składały się właściwie z trzech ruchomych warstw, mogących tworzyć większe bądź mniejsze szczeliny. Tego rodzaju urządzenie, według domysłów Jurka, miało na celu przeciwdziałanie tworzeniu się wirów powietrznych, zwłaszcza przy starcie i przy lądowaniu.

Gdy bowiem przy jednolitej płaszczyźnie nośnej, w czasie jej pochylenia, prądy powietrzne tworzą wiry tak, jak to wskazuje poniższy rysunek, wyobrażający przekrój skrzydła, to przy otwartych warstwach tejże płaszczyzny unika się tworzenia szkodliwych wirów, o czym poucza rysunek przekroju skrzydła warstwicowego.

Ta konstrukcja przypomina skrzydła ptaków, zwłaszcza bocianów, sępów i orłów, które, dzięki ruchliwości piór i lotek, mogą, zależnie od potrzeby, dostosowywać układ



swych płaszczyzn nośnych do stanu powietrza i do rodzaju lotu.

Jurek z napiętą uwagą starał się dostrzec najdrobniejsze szczegóły budowy samolotu. Oczekując wyznaczenia mu roboty, przyglądał się uważnie stojącemu najbliżej płatowcowi.

— Dzieńdobry, towarzyszu Dębalu — przywitał się Hans — no, niechże pan dotrzyma obietnicy i wykona sprawnie i szybko montaż motorów.

— Postaram się, towarzyszu Müller, w tym celu wybrałem z mojej brygady najlepszych ludzi. Zwłaszcza jeden z nich, szeregowy Nr. 107, jest doskonałym specjalistą; polecam go uwadze pana.

— A, to doskonale — odparł Müller — niech go pan przeznaczy do montażu motoru na największym aparacie. Jest to mój płatowiec, na którym będę leciał podczas manewrów. Należy na nim zmontować, niezależnie od elektrycznego automatu, również mały motor benzynowy — oto plan montażu.

Skoro już pana i pańskich ludzi, towarzyszu Dębalu, dopuszczono do tej sekretnej roboty, to muszę was wtajemniczyć w pewne szczegóły. Mianowicie każda eskadra składa się z 10 samolotów-automatów, zaopatrzonych w transformatory, które będą otrzymywały siłę pędną ze stacji nadawczej; nie będą one posiadały własnych motorów. Natomiast samolot dowódcy eskadry, który również posiada transformator, niezależnie od tego ma motor benzynowy, aby w razie potrzeby mógł samodzielnie lecieć. Montaż urządzeń maszynowych tego aparatu jest oczywiście trudniejszy. Dlatego byłoby wskazane, aby pan, towarzyszu Dębalu, może wraz z tym zdolnym sze-

regowym, podjął się roboty przy wymienionym aparacie.

— Dziękuję panu za zaufanie, towarzyszu Müller — odparł Dębäl poważnie. — Może pan być pewny, że robota będzie wykonana starannie i szybko.

— Im prędzej zrobicie, tem prędzej pojedziemy do Polski — dorzucił Müller ze znaczącem spojrzeniem.

Wnet Dębäl wezwał Jurka, a właściwie szeregowca Nr. 107, i udali się razem z Müllerem do baraku, mieszczącego samolot dowódcy eskadry.

Poszczególne części urządzeń maszynowych były już na miejscu, przeto po dokładnem przestudjowaniu planów montażu, Jurek przystąpił niezwłocznie do pracy.

— Tęgi fachman ten pański szeregowy — zauważył Müller, przyglądając się sprawnym i inteligentnym poczynaniom Jurka przy robocie.

— Najzdolniejszy z moich monterów — odparł obojętnie Dębäl — a przytem bardzo gorliwy w pracy.

— Niech pan powie swemu monterowi, że jeżeli dobrze się sprawi przy robocie, to nie minie go nagroda. Sam się o to postaram.

* * *

Jeszcze tego samego wieczora uchwycił Jurek odpowiedni moment, aby się porozumieć z Dębalem.

— Ojcie Dębälu — szeptał gorączkowo — mam znakomity plan działania. Zapewnijcie Hansa, że wykończę jego samolot w terminie znacznie krótszym, ale zato postarajcie się go namówić, aby przed manewrami odbył próbny lot wraz z nami.

Dębäl wnet zrozumiał intencje Jurka.

— Ba! — odrzekł — postaram się namówić Hansa, przypuszczam nawet, że się na to zgodzi; lecz jeżeli sądzisz, że ucieczka będzie łatwa... to się grubo mylisz, przyjacielu.

— A właśnie, że za jakieś kilka dni będzie najbardziej po temu nadający się czas. Od innych monterów dowiedziałem się, że prawie wszystkie samoloty są bądź jeszcze nie zmontowane, bądź też rozebrane w celu naprawy i oczyszczenia przed wielkimi manewrami — przekonywał Jurek. Jeżeli tylko uda się nam zawładnąć płatowcem, to nawet nie będą mieli na czem nas ścigać.

— Może to i racja — odparł Dębał po namyśle — spróbujemy... A nuż się uda.

— Ale napewno się uda, znajdziemy się tylko na samolocie i w powietrzu... resztę pozostawcie mnie — zapewniał Jurek.

* * *

Cała następna dekada upłynęła Jurkowi na znoјnej pracy, w której pomagał mu również Dębał. Napracował się chłopak, lecz zato poznał każdy najdrobniejszy szczegół konstrukcji samolotu. Mechanizm, który montował Jurek, składał się z dwóch zasadniczych części. Jedną stanowił motorek benzynowy małych rozmiarów, lecz bardzo silny, gdyż liczący trzysta koni parowych. Motorek mógł być łatwo puszczony w ruch przy pomocy zgęszczonego powietrza.

Drugą część maszynerji, mieszczącej się w kadłubie samolotu, stanowiły aparaty odbiorcze dla energii, nadawanej zapomocą fal elektromagnetycznych ze stacji na ziemi, oraz transformatory i elektromotory,

których zadaniem było przetwarzać otrzymywaną ze stacji nadawczej energję na siłę pędną.

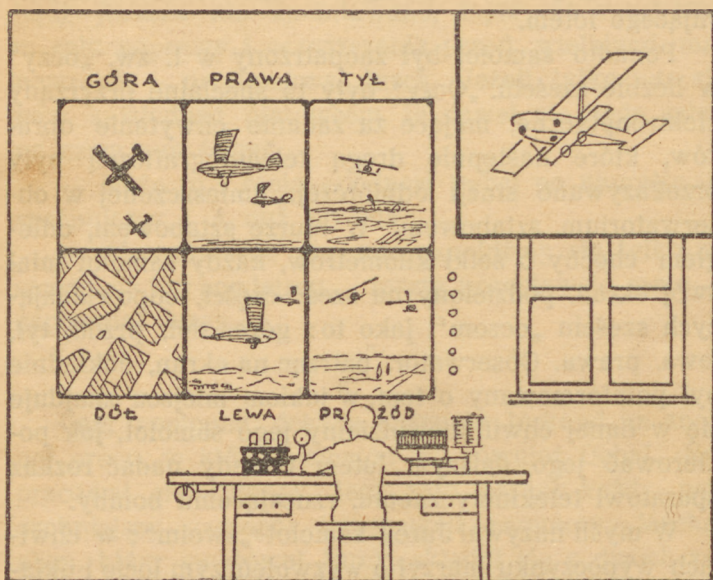
Oprócz tego mieścił się w kadłubie specjalny aparat, który mógł zastępować żywego pilota. Przyrząd ten, zwany telekinezorem, zdolny był na skutek sygnałów radjofonicznych, wysyłanych również ze stacji nadawczej, poruszać dźwignie i koła mechanizmu kierującego lotem.

Ponadto samolot był zaopatrzony w t. zw. „oczy“ w liczbie sześciu. „Oczy“ były to specjalne przyrządy elektrooptyczne, mające za zadanie chwytywanie obrazów, które następnie drogą teleautograficzną były przekazywane stacji odbiorczej, umieszczonej w obserwatorium sztabowem. W biurze sztabowem, odległym choćby o setki kilometrów, każdy samolot miał swój ekran, podzielony na sześć części, odpowiadających sześciu „oczom“, jako to: góra, dół, przód, tył, lewa, prawa. Obserwator, patrząc na ekran, dokładnie był poinformowany o tem, w jakim miejscu znajduje się w danej chwili niewidzialny jego samolot, jak pokierować jego dalszym lotem i kiedy nadać rozkaz aparatowi telekinetycznemu, rzucającemu bomby.

W myśli nazywał Jurek samolot „swoim“; w chwilach wypoczynku marzył o wyzwolenicznym locie i układał plan ucieczki, bowiem wierzył gorąco, że ucieczka się powiedzie. Ta niezłomna wiara sprawiała zapewne, że chłopak wprost miał wrażenie, jakby jakiś duch niewidzialny kierował jego poczynaniami... Oto udało mu się nawrócić Dębala; oto ów Hans Müller, właśnie brat zabitego przez Dębala, umożliwiał im zapoznanie się z tajemniczym mechanizmem samolotów. Czyżby to wszystko było tylko przypadkowym zbie-

giem okoliczności?! Nie, nie... Jurek wierzył, że to niewidzialna ręka Opatrzności otacza opieką... oczywiście nie jego, Jurka, mało znaczącą osobę, lecz... miliony niewinnych.

Ucieczka się uda niewątpliwie — zapewniał samego siebie chłopak. Lecz jak opanować samolot? Co



uczynić z Hansem Müllerem... Zabić? — fe, Jurek brzydził się nawet tem słowem. Nie, związę go... a potem, co Bóg da. Uciekać... lecz dokąd? Dokąd lecieć? Na zachód ani na północ — nie można; lecąc bowiem nad terytorjum Eurazji, naraziliby się niewątpliwie na rychłe schwytywanie. Pozostaje jedynie droga na południe, ponad morzem Kaspijskiem, potem nad

Persją ku Indjom, gdzie można będzie udać się pod opiekę władz angielskich i polskiego konsulatu.

Chłopak przez kilka nocy niemal nie sypiał, obmyślając szczegóły planowanej ucieczki, we dnie zaś gorliwie pracował, czerpiąc siły raczej z ducha, niż ze zmizerowanego i znużonego ciała.

Dębał ze swej strony starał się przekonać Hansa o potrzebie próbnego lotu.

Müller z początku niechętny, dał się jednak stopniowo namówić, zwłaszcza, gdy dostrzegł, że Dębał istotnie dotrzymuje obietnicy, wykończając pośpiesznie montaż jego eskadry.

Hans chełpił się wobec innych dowódców swoim niezwykłym powodzeniem.

Ponieważ i inni wyżsi urzędnicy ciekawi byli co rychlej ujrzeć lot automatów, przeto propozycja, skrycie poddana przez Dębala i poparta przez Hansa, została przyjęta przychylnie przez główne dowództwo Eurawiaty.

Dębał wstrzemięźliwie nie narzucał się Müllerowi; wyraził jednak skromne życzenie towarzyszenia mu podczas lotu poprostu dla ewentualnej pomocy. O Jurku narazie celowo nie wspominał.

Nadszedł wreszcie upragniony dzień próbnego lotu. Na lotnisko eskadry Müllera przybyli licznie dyrektorzy i wyżsi urzędnicy Eurawiaty.

Dębał i Jurek krzatali się około samolotu, czyniąc tu i ówdzie drobne poprawki, podciągając śruby, zakładając nowe zatyczki i t. p.

Hans, rozpromieniony, podłechtany w swej dumie pochwałami zwierzchników, zasiadł przy kole sterowem i nawet nie troszczył się o to, co się dzieje w głębi.

W pewnym momencie, gdy już zbliżała się chwila odlotu, Dębał nieznacznym ruchem ręki skierował Jurka do wnętrza samolotu; sam zaś zasiadł na miejscu, przeznaczonem dla mechanika.

Głośnie „hurra“ rozległo się wśród zebranych, zapłotały na wietrze sztandary eurazjatyckie i mitropskie monarchistyczne; samolot z wolna potoczył się kilkanaście metrów po ziemi, poczem wzbił się szybko w przestworza.

Hans postanowił lecieć z początku przy pomocy motoru benzynowego i dopiero na znaczniejszej wysokości wypróbować działania stacji nadawczej i telekinezora.

Samolot, dzięki swym warstwicowym płaszczyznom nośnym, wzbił się szybko na wysokość tysiąca metrów, znacząc smugą dymu strome spiralne skrzyte drogi. Zamknąwszy warstwice skrzydeł, Müller poszybował lotem płaskim na południe z zawrotną szybkością 100 metrów na sekundę.

Dębał siedział bez ruchu, skupiony w sobie, jakby gotując się do nagłego skoku; jego prawa ręka ścisnęła kurczowo rękojeść ukrytego w kieszeni rewolweru; od czasu do czasu krótkim wejrzeniem starał się przeniknąć mrok, panujący we wnętrzu kadłuba, gdzie ukrył się Jurek.

Jurek przywarł całym ciałem do ściany samolotu obok stoiska tablicy rozdzielczej elektromotorów.

W jego piersi łomotało serce pełne radosnego wzruszenia i zarazem niepokoju; w mózgu wirowały błyskawice myśli... Boże, Boże, daj mi moc panowania nad sobą... — modlił się Jurek — spraw, abym w uniesieniu nie popełnił zbrodni.

W dygoczących ze wzruszenia rękach trzymał Jurek dużą płachtę płócienną.

W pewnej chwili Hans zwrócił się do Dębala:

— Staraj się pan utrzymać dany kierunek, ja tymczasem pójdę do elektromotorów, aby włączyć stację nadawczą.

Dębał kiwnął głową na znak zgody. Müller skierował się do wnętrza kadłuba ku tablicy rozdzielczej...

Chrapliwy i stłumiony okrzyk „Herr Je...” doszedł uszu Dębala.

Müller leżał na podłodze z głową omotaną płócienną płachtą... Zerwał się Dębał ze swego miejsca.

— Jurku, prędej do steru! — zawołał — sam skrępuję Hansa.

Zresztą Hans nawet się nie bronił; oszołomiony niespodziewanym napadem, raczej ze strachu, niż z bólu, zemdłał.

Jurek, blady jak płótno, z zaciśniętymi zębami, gorejącymi oczyma — jednym skokiem znalazł się przy kierownicy.

Samolot nagłym ruchem pchnięty wzbił się o dalsze tysiąc metrów, poczem przy maksymalnej liczbie obrotów śmigła pomknął lotem strzały nad morzem, w kierunku wyłaniających się z mgieł szczytów Elbursu.

— Oby starczyło benzyny — szeptał do siebie Jurek — tylko na 3500 kilometrów... byle dolecieć do Bombaju...

Wkrótce zajaśniał w oddali lśniący śnieżną powłoką stożek Demawendu, świętej góry Persów. Należało wznieść się jeszcze wyżej, gdyż grzbiety Elbursu dosięgają tu wysokości pięciu tysięcy stóp.

Z południowej strony Elbursu rozciąga się olbrzymia równina, a właściwie płaskowyż, ciągnący się na południowy wschód i sięgający granic Indyj. Płaskowyż środkowo-perski, usiany tu i ówdzie niewielkimi garbami wzgórków, tworzy wielkie słone pustkowia, pozbawione niemal roślinności. Tylko zrzadka widnieją tu ubogie wioski Farsów, trudniących się przeważnie wyszukiwaniem niektórych cennych kamieni, jakie można tu napotkać w rozległych żwirowych usypiskach.

Pomiędzy Teheranem, stolicą Persji, a świętym miastem Kumem widać na szaro-bronзовem tle pustyni parę słonych jezior, których tafle wodne wyglądają, jakby odlane z niebieskiego szkła.

Jurek z ciekawością oglądał dotychczas niewidziany posępny obraz martwej krainy, ongi tętniącej bujnym życiem, a dziś zastygłej w starczym uwiądzie.

Dębal zbliżył się również do okna, aby przyjrzeć się krajobrazowi. Po chwili rozglądania się po okolicy powziął widocznie jakiś zamiar, gdyż udał się do wnętrza kamery maszynowej, skąd wkrótce powrócił, ciągnąc za sobą pękaty płócienny worek.

— Jurku, zwolnij biegu maszyny — zawołał wesoło — trzeba wysadzić na ląd naszego jeńca; niech sobie powędruje piechotą te kilkaset kilometrów do domu, zrobi mu to dobrze na schudnięcie.

— To niemożliwe — odparł Jurek — nie będę lądował, gdyż obawiam się, że zabraknie benzyny. Wszak wiecie, że przy lądowaniu i starcie motor zużywa najwięcej paliwa.

— Nie trzeba lądować — odparł Dębal — wystarczy zwolnić lotu, zaś naszego pasażera spuścimy na

ład w tym oto spadochronie — dodał, wskazując na ciągniony przez się worek.

— Znakomita myśl, tylko zrobmy to zaraz, póki mamy pod sobą równinę; nie chciałbym, aby nasz jeniec potłukł swoje zacne członki — zatroskał się Jurek.

W kilka minut później od samolotu odłączył się pękaty worek, który wnet przybrał kształt olbrzymiego parasola. Hans Müller zawisł w powietrzu, huśtając się wdzięcznie.

Na pożegnanie Dębał udzielił mu życzliwej rady:

— Przy lądowaniu uważaj, przekłety Mitropie, abyś nie połamiał nóg, bo na czembyś się dowlókł do najbliższej wioski. A gdyby ci życie zbrzydło, to możesz się utopić w tem pięknem słonem jeziorze, gdzie podobno Persowie topili ongi bandytów i złodziei!

Wkrótce spadochron z Müllerem zniknął z oczu naszych lotników.

Jurek coraz częściej zerkał niespokojnem okiem na benzynomierz.

— Boże! — wzdychał — oby starczyło paliwa; jeszcze tylko dwa tysiące pięćset kilometrów...

Po upływie dalszych paru godzin samolot znów musiał wzbić się wyżej, aby przelecieć nad szczytami wyżyny Irańskiej, poza któremi nasi lotnicy wkrótce ujrzeni na horyzoncie szaro-niebieską smugę morza Arabskiego.

— Nareszcie ocean Indyjski — zawołał radośnie Jurek — to już połowa drogi.

Wejrzenie na benzynomierz napełniło go jednak trwogą; trzeba będzie oszczędzać paliwa, wypadnie od czasu do czasu planować przy zamkniętym motorze.

Jurek był jeszcze niedoświadczonym lotnikiem i, zwłaszcza, nie znał warunków atmosferycznych, panujących na oceanie Indyjskim.

Gdy samolot, planując, znalazł się na wysokości jakichś pięciuset metrów nad morzem, został pochwycony przez silny prąd powietrzny północno-wschodni, oddalając w ten sposób naszych żeglarzy od zamierzonego celu podróży.

Jurek nie umiał skutecznie walczyć z unoszącym samolot wichrem, a zresztą obawiał się rychłego wyczerpania zapasu benzyny; to też pozwolił się nieść prądom powietrznym, rozumując, że w najgorszym razie dotrze, zamiast do Bombaju, bądź do wybrzeży południowej Arabji, bądź też do kraju Somali.

Gnany wichrem samolot pędził z zawrotną szybkością.

Jednakże początkowy wiatr północno-wschodni zmienił się niebawem na północny, potem ku rozpaczy Jurka uległ dalszej zmianie, unosząc samolot prosto na wschód i oddalając go tem samem od brzegów afrykańskich.

Ze trzy godziny trwała ta szalona jazda. Benzyna była na wyczerpaniu. Przerażony wzrok Jurka błędził daremnie po bezkresnym obszarze wodnym — ani śladu lądu... No, bo i skąd; wszak znajdują się w sercu oceanu Indyjskiego, najwidoczniej unoszeni przez wichry zachodnie, panujące nad tak zwanym wstecznym prądem morskim.

Spokojny i znów zobojętniały na wszystko Dębał, widząc przerażenie chłopca, starał się go uspokoić, tłumacząc, że w każdym razie lepiej zginąć w nurtach oceanu, niż w niewoli Eurazjatów.

Lecz Jurek uciekł z Eurawiaty nie tylko po to, aby ratować siebie, nie... jemu nie wolno zginąć.. zwłaszcza teraz, gdy jest w posiadaniu tajemnicy wrogów, gdy zdobył ten oto samolot, który jest namacalnym dowodem potwornych zamysłów piratów.

— Opatrzność prowadzi nas na wschód, poddajmy się losowi — myślał ufny w Boską opiekę młodzieniec.

Jurek puścił znów motor i całą siłą wkręcającego się w powietrze śmigła wznosił samolot na zawrotną wysokość sześciu tysięcy metrów, aby ogarnąć okiem szerszy horyzont, oraz aby mieć większe możliwości planowania.

A może uda się dolecieć do wybrzeża południowego Indostanu, albo Cejlonu?!

W pewnej chwili matowy stuk, słabnącego tętna motoru, oznajmił Jurkowi okrutną rzeczywistość — benzyna się wyczerpała.

Rozpoczęło się przymusowe planowanie samolotu. W miarę opadania, samolot wzmagał swą i tak zawrotną szybkość, pędząc w zawody z huraganowym wichrem zachodnim.

Gdzieś w kierunku północnym zamajaczyły na horyzoncie zarysy wysepek: Jurek wyteżył swą pamięć i trafnie nazwał widniejące wyspy — to Lakkadiwy. Ach, żeby mieć choć trochę paliwa do motoru, można by wylądować za pół godziny na wyspach, gdzie angielskie władze urządziły nawet lotnisko — myślał chłopak. Daremne marzenia, samolot pozbawiony swej energii żywotnej został zdany na łaskę szalejącego wichru. Coraz niżej opadał żelazny ptak; uszu naszych lotników dochodził już złowrogi ryk szarpanych wichrem zwałów wodnych.

Niebawem skrzydła samolotu zetkną się ze złowrogim żywołem, który ukryje zazdrośnie tajemniczego ptaka i wchłonie w swe przepaściste głębie śmiałych lotników.

Jurek wyczerpany fizycznie pracą i ostatniemi przeżyciami, a przytem złamany na duchu tak okrutnym epilogiem wyzwoleńczego lotu, niemal stracił przytomność; bezwiednie wypuścił z rąk kierownicę i, wsparłszy umęczoną głowę na poręczy siedzenia, zastygł w obojętnym na wszystko bezruchu.

Dębał, który po wyekspedjowaniu Hansa w spadochronie, popadł w swą zwykłą obojętność i smętną zadumę, spoglądał z rezygnacją na zbliżające się do samolotu zielone zwały wód; na jego matowem obliczu można było dostrzec nawet pewne zadowolenie.

Oto dopełnił swego zadania — wyrwał siebie i Jurka z niewoli Eurazjatów i teraz, jako wolny człowiek, znajdzie upragnione ukojenie w głębiach oceanu...

Zamierzał nawet Dębał przelać do duszy swego młodego przyjaciela własne poczucie radosnej rezygnacji; sądził, że w ten sposób osłodzi ostatnie chwile towarzysza; spojrzawszy jednak na zbolące oblicze Jurka, zamarłe w fizycznym i duchowym bezwładzie, Dębał uczuł litość dla młodzieńca, żał mu się zrobiło tego orlątka, które miało zginąć marnie, nie dokończywszy swego pierwszego podniebnego lotu.

Zerwał się Dębał ze swego miejsca, podbiegł do aparatu telegraficznego i gorliwie począł wystukiwać wielokrotne sygnały S. O. S.... S. O. S.... S. O. S....

Rozdział VIII.

Rozwiązanie zagadki.

Parotygodniowy pobyt w lecznicy i odpowiednia kurażja wpłynęły korzystnie na stan zdrowia pana Pawła.

Astronom znacznie się uspokoił, chorobliwe rozdrażnienie ustąpiło, a nawet powróciła mu chęć do ulubionych studjów astronomicznych. Odwiedzających go przyjaciół wypytywał o stan prac przy odbudowie laboratorium. Wieść o przybyciu prof. Neuville ucieszyła również pana Pawła; zapragnął co rychlej powrócić do domu na wyspę, aby poznać osobiście znane go ze słyszenia znakomitego francuskiego fizyka.

Zawsze jednak unikał pan Paweł rozmowy o Jerzym Orkisz; na samo wspomnienie jego imienia wyraz oblicza astronoma stawał się ponury i złowrogi, zdradzając uspioną wprawdzie, lecz nadal zakłócającą jego spokój ideę-fixe.

W ostatnich dniach począł pan Paweł ujawniać duże zainteresowanie polityką; gruntownie czytywał dzienniki, wsłuchiwał się w komunikaty telegraficzne, nadawane przez radio. Zwłaszcza zajmowały astronoma sensacyjne wieści polityczne, dotyczące tajemnych zamiarów Eurazjatów, o których w ostatnich tygodniach dużo pisały dzienniki.

Oczywiście wśród powodzi komunikatów i telegramów było wiele nieprawdziwych, obliczonych wyłącznie na sensację, a zapowiadających rychły wybuch krwawej wojny światowej, w której główną bronią miały być samoloty i gazy trujące i która w swych początkach miała się rozegrać na wschodnich rubieżach Polski.

Sfery rządowe okazywały duże zainteresowanie temi wojennemi alarmami; nic zatem dziwnego, że liczne rzesze czytelników przejmowały się również złowróżbnemi wieściami, co oczywiście wytwarzało pewien podniecony nastrój w społeczeństwach nie tylko europejskich, lecz także i w Stanach Zjednoczonych.

Liczne, zwłaszcza w Ameryce, organizacje pacyfistów domagały się od Ligi Narodów, aby niezwłocznie zajęła się tą sprawą, i aby nie zawahała się użyć całej swej powagi, a nawet siły zbrojnej w celu uniemożliwienia wojny.

W Seattle miały się odbyć w najbliższych dniach publiczne zgromadzenia pacyfistów w celu poparcia ogólnej akcji antywojennej.

Pan Paweł, który już od kilku dni odbywał w towarzystwie pielęgniarki parogodzinne spacerunki i wycieczki bądź do parku miejskiego, bądź też do portu w celu zażycia przejażdżki łodzią motorową, postanowił udać się na zapowiedziane zgromadzenie.

Zwrócił się przeto do lekarza z prośbą o pozwolenie opuszczenia na kilka godzin lecznicy bez zwykłej asysty pielęgniarki. Po uzyskaniu urlopu, pan Paweł opuścił około godziny trzeciej po południu gmach lecznicy i udał się do dzielnicy portowej, gdzie w wielkiej sali kasyna miało się odbyć zgromadzenie pacyfistów.

Najkrótsza droga na zgromadzenie prowadziła przez przystań łodzi motorowych, skąd wypadało przepłynąć na drugą stronę przez t. zw. stary port.

Właśnie wysiadał pan Paweł z autobusu, który go dowiózł do przystani, gdy dostrzegł o kilkanaście kroków od siebie nadjeżdżający samochód, z którego wysiadł nie kto inny, tylko Jerzy Orkisz wraz z jakimś obcym mężczyzną.

Zaledwie zdążył pan Paweł usunąć się trochę na bok, aby nie być spostrzeżonym. Zresztą Jerzy i jego towarzysz nie mieli widocznie czasu na rozglądanie się, gdyż byli zajęci wyładowywaniem z samochodu jakichś paczek i skrzynek, które sami z wielką ostrożnością przynosili do najbliższej łodzi.

— Widocznie wiozą nowe aparaty na wyspę — mruknął do siebie pan Paweł. — Jakże nieostrożnie postępują moi przyjaciele, powierzając temu młokosowi załatwianie spraw, związanych z odbudową laboratorium. — Westchnął ciężko nasz astronom, gdyż widok Jerzego obudził jak zwykle w jego myślach ponure wspomnienia.

Odwrócił się prędko pan Paweł i skierował swe kroki wzdłuż wybrzeża.

Rojno i gwarno było na wybrzeżu. Łodzie motorowe, które kursują tu, jak taksometry samochodowe, odwoziły i przywoziły licznych pasażerów. Błądził astronom wśród ciżby przechodniów, dopóki nie zniknęła mu z oczu łódź, uwożąca Jerzego i jego kompana, poczem skierował się ku mniejszym łodziom, aby jedną z nich wybrać dla siebie.

Już wstępował na pomost, gdy uszu jego doszło cudzoziemskim akcentem wypowiedziane pytanie: „Czy

stąd można dostać się na wyspę Oldisland, do profesora Orkiszsa?“

To pytanie skierował młodszy z dwóch cudzoziemców do jednego z kierowców motorówki. Mówiący młodzieniec mógł liczyć najwyżej lat dwadzieścia. Był to przystojny i smukły blondyn o cerze opalanej; jego towarzysz, znacznie starszy, był niskim i krępy mężczyzną o twarzy bladej i pooranej zmarszczkami.

Gdy pan Paweł usłyszał, że cudzoziemcy dopytują się o Oldisland i o profesora Orkiszsa, ogarnęła go nieprzeparta chęć dowiedzenia się, co zacz są i w jakim celu wybierają się na wyspę. Dlatego też wrócił pan Paweł z powrotem na wybrzeże, zbliżył się do obcych i uprzejmie przemówił:

— Panowie pragnęliby pojechać na wyspę Oldisland, wszak nie mylę się; widzę, że jesteście cudzoziemcami i trudno wam porozumiewać się z motorniczym, chętnie będę wam pomocny.

Starszy z cudzoziemców najwidoczniej nie zrozumiał przemowy astronoma, natomiast młodszy uchylił grzecznie kapelusza i odrzekł:

— Dziękuję panu za ofiarowaną pomoc; istotnie jesteśmy cudzoziemcami, jesteśmy Polakami; ja jestem bratankiem profesora Jana Orkiszsa, przybywam z... Polski i pragnąłbym dla bardzo...ważnych powodów, możliwie najprędzej, zobaczyć się z moim stryjem.

Astronomowi aż dech zaparło. Przed kwadransem najdalej jeden bratanek Jana Orkiszsa popłynął łodzią na Oldisland, a tu oto... drugi bratanek... nie do wiary...

— Zatem pan jest również panem Orkiszem — wycedził zapytanie zdumiony pan Paweł.

— Tak jest, jestem Jerzym Orkiszem, bratankiem profesora Jana, który podobno zamieszkuje stale na wyspie Oldisland.

— Czy pański stryj ma jeszcze oprócz pana innych bratanków — indagował podejrzliwie astronom.

— O ile mi wiadomo, stryj mój miał jednego brata Józefa i ja właśnie jestem jedynym synem zmarłego Józefa Orkisz — odparł poważnie młodzieniec. — Lecz proszę pana, nie mam czasu na rozmowę. Czy nie mógłby pan ułatwić nam wynajęcie motorówki, gdyż co rychlej chciałbym się dostać do stryja.

Pan Paweł słuchał ze zdumieniem słów cudzoziemca.

— Jak sobie mam tłumaczyć tę dwuosobowość bratanka Orkisz — rozmyślał.

Wreszcie po chwili namysłu powziął widocznie jakąś decyzję.

— Jestem przyjacielem profesora Jana Orkisz. Właśnie zamierzałem też doń jechać; możebyśmy pojechali razem?... A kimże jest pański towarzysz?

— To mój przyjaciel i opiekun, również Polak, pan Dębał.

Szczerze wyjaśnienie młodzieńca widocznie trafiło do przekonania podejrzliwego astronoma, gdyż nie wdając się w dalszą rozmowę, skierował się ku pierwszej lepszej łodzi i wskazał w niej miejsca obu cudzoziemcom.

W głowie pana Pawła wprost wrzał zgiełkliwy potok myśli.

Zapomniał o zgromadzeniu pacyfistów, o swym powrocie do lecznicy. Od czasu do czasu badawczo spozierał na młodzieńca, siedzącego na przeciwległej

ławce, jakby pragnął przekonać się z wyglądu o jego prawdomówności.

— Nawet trochę podobny do Jana — przemknęło w myśli pana Pawła. — Jeżeli ten właśnie młodzieniec jest istotnie bratankiem, Jerzym Orkiszem, kimże w takim razie jest tamten... Jerzy?...

W myślach pana Pawła zarysowała się postać tamtego Jerzego, siedzącego przy oknie i dmuchającego przez tajemniczą cygarniczkę.

— Pewnie zamaskowany złoczyńca... wysłany przez... w celu wysledzenia tajemnicy telewizora — myślał astronom.

Ha, więc podejrzenia jego byłyby słuszne, więc nie ulegał chorobliwym przywidzeniom; jego niepokój, rozdrażnienie i smutek, które wydały się objawami choroby, były uzasadnione...

Czyż nie miałem powodów do rozdrażnienia i smutku — dumał — wszak nie kto inny, tylko ja, wierny druh Jana, zdradziłem nieopatrnie wobec owego „bratanka“ tajemnicę wyspy Pitcairn... i przyczyniłem się do katastrofy...

Ha, trudno, teraz nie pomogą już smutki i żale, należy działać... należy zdemaskować i unieszkodliwić owego fałszywego Jerzego... lecz jak?

Łódź chyżo mknęła po falach zatoki, jeszcze kwadrans drogi i zawinie do portu na wyspie.

Oddawna już przywykł astronom, aby w razie potrzeby, w wypadku jakichś kłopotów, czy też trudności, zwracać się o radę i pomoc do energicznego Wilsona. Również i teraz, stojąc wobec tak niezwykłego zagadnienia, ba, może wobec straszego dra-

matu, postanowił w pierwszym rzędzie powiadomić o wszystkim kolegę Sama.

Oby tylko był obecny na wyspie — niepokoił się pan Paweł.

Astronom uznał za wskazane przez pozostałe kilkanaście minut podróży wybadać „nowego bratanka“.

— Czy panowie dawno już przybyli do Seattle? — zapytał.

— Przed dwoma dniami — brzmiała odpowiedź — formalności przy legitymowaniu się w konsulacie nie pozwoliły nam zaraz po przybyciu udać się na Old-island.

— Jakże się udała podróż? Czy panowie przybywacie wprost z Polski? — badał dalej.

Młodzieniec zawahał się z odpowiedzią; widocznie nie chciał, czy może nie umiał w obcym języku wyrazić swych myśli.

— Właściwie, to jadę z Polski, lecz... miałem wypadek w podróży...

— Czyżby katastrofa okrętowa? — indagował pan Paweł, w którym znów zaczęły kiełkować podejrzenia.

— Po drodze ulegliśmy katastrofie samolotowej... zabrakło paliwa i spadliśmy do morza — już śmieiej opowiadał młodzieniec.

— Zabrakło paliwa — powtórzył przeciągle astronom — a któż panów wyratował z morza?

— Łódź podwodna rządowej floty amerykańskiej, która szczęśliwie była w pobliżu i przejęła nasze sygnały S. O. S.

Ta odpowiedź trochę uspokoiła podejrzliwego astronoma.

— Jeśli ich wyratowała rządowa łódź podwodna

i potem puszczone ich na wolność, to chyba nie są złoczyńcami.

W odległości paru kilometrów widniała Oldisland.

Pan Paweł ze wzruszeniem patrzył na znajome zarysy wyspy i zabudowań. Wieża jego obserwatorium i wieża antenowa dumnie wznosiły swe kopuły ponad ciemnymi skałami wyspy.

— Oto Oldisland — oznajmił przybyszom z odcieniem pewnej dumy. — Sama wysepka jest mała, lecz kryje w sobie wielkie twory ludzkiej myśli — chępliwie objaśnił gadatliwy astronom i wnet pomyślał: „znów unosi mnie chęć gadulstwa, dość tego“.

W kilka chwil później dozorca portowy zapytywał przez głośnik, kto jedzie, do kogo i poco?

Rozpoznawszy wśród przybywających osobę astronoma, dozorca, nie czekając odpowiedzi, otworzył kratę i łódź wpłynęła do basenu portowego.

Pan Paweł z niebywałą u niego sprężystością wyskoczył z łodzi i niecierpliwie zapytał dozorcę:

— Czy profesor Wilson jest w domu?

— Pan profesor dzisiaj nie wyjeżdżał, jest u siebie w laboratorium. Natomiast do miasta jeździł młody pan, który przed pół godziną powrócił w towarzystwie jakiegoś obcego człowieka. Obaj zanieśli przywiezione paczki i skrzynki do laboratorium profesora Orkisha.

Astronom nie słuchał relacji dozorcę. Poprosiwszy cudzoziemców o chwilę cierpliwości i zatrzymanie się w budce strażnika, skoczył z młodzieńczą energią ku domowi.

Wilson na widok wpadającego do jego gabinetu, jak bomba, astronoma — oniemiał ze zdziwienia.

Pan Paweł nie dał mu dojść do słowa, gdyż pośpiesznie począł mówić:

— Nie dziw się, Samie,... przybyłem... zresztą jestem zupełnie zdrów. Sprawa jest ogromnej wagi. Tam w budce portowej oczekuje prawdziwy Jerzy Orkisz, bratanek Jana,... przybył w bardzo ważnej sprawie do stryja...

Wilson nic nie zrozumiał z tego, to też z wyrazem poważnej troski prosił kolegę, aby się uspokoił i dokładnie wyjaśnił cel swego przybycia.

W duszy zaś myślał Wilson: biedny Paweł... dostał widocznie pomieszania zmysłów, uciekł z lecznicy, zapewne mu się pogorszyło, skoro miewa ataki koszarów. Jakże mógł widzieć Jerzego, skoro ten już przed pół godziną powrócił z miasta i jest obecnie w gabinecie Orkiszka. Należy ogłędnie postępować z Pawłem; oby tylko nie dostał ataku furji.

Astronom przejrzał widocznie myśli Wilsona, gdyż istotnie pohamował swoje uniesienie, zasiadł spokojnie w fotelu i, siląc się na możliwie jasne wystawianie, opowiedział zwięźle cały przebieg ostatnich wydarzeń, zaś zakończył patetycznym apelem:

— Radź, Samie, co mamy począć. Tylko ty potrafisz znaleźć rozwiązanie tej zawilej sprawy. Wszak nie ulega wątpliwości, że jeden z młodzieńców jest fałszywym bratankiem... lecz który?

Wyczerpany dłuższą przemową pan Paweł osunął się na fotel i milcząco wpatrywał się w oblicze przyjaciela, oczekując od niego rady i decyzji co do dalszych poczynań.

Wilson po wysłuchaniu opowieści astronoma, zatopił się w myślach. Jego praktyczny umysł, nawykły

do zwalczania trudności, nie zawiódł i tym razem. Po chwili powstał Wilson ze swego krzesła, sięgnął do ukrytej w murze szafki, skąd wyjął jakieś szklane kulki, które wsunął do kieszeni wraz z automatycznym rewolwerem; wetknął zatyczki do sekretnych kontaktów przy biurku, poczem spokojnym głosem przemówił:

— Przedewszystkiem zawezwij, Pawle, przybyłych z tobą cudzoziemców tutaj, do mego gabinetu. Musimy z nimi porozmawiać.

Należy sprawdzić — myślał sobie po cichu Wilson — czy relacje Pawła są ściśle. Kto wie, może jego przezczenie i podejrzliwość były rzeczywiście uzasadnione; może istotnie ów pierwszy Jerzy jest jakimś wywiadowcą, który przybrał na się rolę bratanka Jana.

Astronom błyskawicznie zerwał się i po paru minutach zjawił się z powrotem, prowadząc za sobą przybyszów.

Po wejściu do pokoju Jurek podszedł do oczekującego tam Wilsona i, w tem mniemaniu, że stoi wobec swojego stryja, powitał go po polsku.

— Racz, drogi stryju wybaczyć, że nachodzę twój dom i zakłócam spokój...

Wilson zrozumiał, iż chłopak wziął go za kogo innego, za swego stryja, wnet ocenił sytuację i postanowił narazie nie wyprowadzać młodzieńca z jego błędnego mniemania, spodziewając się w ten sposób tem łatwiej uzyskać dowody jego prawdomówności.

Ponieważ jednak nie rozumiał Wilson po polsku, przeto poprosił młodzieńca o wypowiedzenie się w języku angielskim.

Jurek trochę się zdziwił, że jego stryj nie rozumie

ojczystego języka, przypomniał sobie jednak, o czem słyszał od matki, że stryj Jan, poświęcając się wyłącznie nauce, nie utrzymywał stosunków z Polonią amerykańską, nic więc dziwnego, że nie rozumie po polsku.

Przywołując na pomoc swe skąpe wiadomości z języka angielskiego, którego nauczył się od zmarłej matki, rozpoczął Jurek swoją przemowę głosem drżącym ze wzruszenia:

— Przybyłem do stryja w bardzo ważnej sprawie. Nie swojej osobistej, lecz ogólnej... — W tem miejscu trwożliwie spojrzął na astronoma, jakby obawiał się mówić w obecności człowieka obcego.

Wilson, widząc wahanie młodzieńca, uspokoił go słowami:

— Możesz młodzieńcze śmiało mówić, obecny profesor Vincent jest moim serdecznym przyjacielem i nie mam przed nim żadnych tajemnic.

Jurek mówił dalej:

— Eurazjaci wraz z Mitropcami przygotowują podstępny napad na Polskę, a potem i na zachodnią Europę... zamierzają zniemacka napaść, właściwie wysłać swe latające automaty, zaopatrywane na odległość w siłę pędną... które, rzucając bomby gazowe, zniszczą cały kraj... moją i twoją, stryju, Ojczyznę.

Skąpa znajomość języka angielskiego nie pozwoliła Jurkowi użyć w pełni daru wymowy i wyrazić należycie całą moc swych uczuć patriotycznych i młodzieńczego entuzjazmu dla słusznej sprawy. Brak odpowiednich słów zastąpił chłopak wymownym gestem i bijącą z oczu szczerością i zapałem.

Wilson słuchał uważnie; widząc zaś niezaradność

młodzieńca w wystawianiu się, przyszedł mu z pomocą, zabierając głos:

— Nie są mi obce te alarmy wojenne. Wiem coś niecoś o niecnym zamiarach Eurazjatów; należy przypuszczać, że cały świat cywilizowany, Liga Narodów, wszyscy ludzie kulturalni przyjdą Polsce z pomocą, w razie gdyby zagrażało jej poważne niebezpieczeństwo...

— Niebezpieczeństwo jest poważne — przerwał porywczo Jurek — i jest bardzo bliskie. Byłem w Eurazji, widziałem potworne samoloty... nawet na jednym z nich uciekłem... Zabrakło nam paliwa, spadliśmy... na oderwanym od samolotu skrzydle przetrwaliśmy parę godzin na morzu... wyratowała nas amerykańska łódź podwodna.

Pan Paweł, wsłuchujący się w słowa Jurka, kiwał potakująco głową.

— Ten młodzieniec — myślał sobie astronom — nie kłamie. Z jego całej postaci bije szlachetność uczuć i potęga wielkiej miłości Ojczyzny.

Nie wytrzymał nasz astronom i wmieszał się do rozmowy, zapytując Jurka głosem pełnym współczucia:

— Pocóż jeździłeś, młodzieńcze, do Eurazji i oddawałeś się w ręce wrogów Polski?

— Porwali mnie podstępnie — odparł Jurek — ich wysłannicy, Skatyński i Zarowski, i uwięzili w zakładach Eurawiaty.

— Jak się nazywali — porywczo zapytał Wilson — i gdzie pana więzili? Powtórz młodzieńcze jeszcze raz te nazwiska i nazwę owych zakładów.

— Skatyński namówił mnie do wyjazdu... a Zarowski... porwał podstępnie na samolocie... zaś wię-

zili mnie w Eurawiacie, wielkiej wytwórni sprzętu wojennego, mieszczącej się na wybrzeżu morza Kaspijskiego.

Wilson szybkim ruchem sięgnął po notes, w którym zapisał przed paru miesiącami treść fonogramu, przejętego podczas pamiętnej obserwacji przez telewizor.

— Tak, tak — mówił do siebie — teraz już rozumiem, co znaczy: „... tym celu... plan... .. tyńskiemu...“ a także inne miejsce fonogramu: „... Orkisz... .. Eurawiacie...“ — To ściśle zgadza się z fonogramem. Młodzieniec mówi prawdę — zdecydował w myśli Wilson — on właśnie jest bratankiem Jana, zaś tamten oczywiście podszywa się pod cudze nazwisko; należy go pochwycić i oddać władzom śledczym, jako zwykłego przestępcę.

A ponieważ powzięcie decyzji u Wilsona pociągało za sobą zwykle szybkie i stanowcze działanie, więc nie zwlekając, zdjął słuchawkę telefonu, łącząc się z gabinetem profesora Orkisz.

— Hallo! Tutaj Sam, czy mógłbyś, Janie, przyjąć mnie teraz w celu porozumienia się?.. Jesteś zajęty rozpakowywaniem przywiezionych przez Jerzego aparatów... .. nic nie szkodzi... przybędę drugim wejściem przez laboratorium... na wszelki wypadek naciśnij niebieski guzik, mieszczący się z prawej strony twego biurka... nie, nie... nic nadzwyczajnego, lecz uczyn to, o co proszę.

Do obecnych zaś zwrócił się Wilson z temi słowy:

— Chwila cierpliwości, załatwię jeszcze parę rozmów telefonicznych, poczem udamy się do profesora Orkisz — i niezwłocznie jął wydawać telefoniczny rozkaz dozorczy portowemu,

Jurek, słysząc z ust domniemanego stryja, że mają niebawem udać się do profesora Orkisz, zaniepokoił się poważnie i szorstko zwrócił się z zapytaniem do astronoma:

— To ten pan nie jest moim stryjem?

Pan Paweł objaśnił stropionego młodzieńca, że ten, którego wziął za stryja, jest tylko jego serdecznym przyjacielem, profesorem Wilsonem. Uspokoił go jednak, aby się niczego nie obawiał i nie domagając się narazie bliższych wyjaśnień, wykonywał polecenia Wilsona.

— Zresztą wkrótce rozegra się epilog owego dramatu — zakończył astronom — zdemaskujemy niecnego przestępcę.

Jurek wprawdzie nie zrozumiał ostatnich słów pana Pawła, jednakże postaci obu profesorów budziły w nim wprost instynktowne zaufanie i dlatego postanowił nie sprzeciwiać się ich rozkazom, odkładając wyjaśnienia na później.

Tymczasem Wilson załatwił jeszcze parę rozmów telefonicznych. Wszystko to trwało zaledwie kilka minut. Z zachowania się Wilsona, z jego stanowczego głosu można było wnosić, że ma zupełnie gotowy plan dalszego działania.

Pan Paweł był zachwycony swym kolegą, szepcząc do ucha Jurka:

— Skoro Wilson wziął się do dzieła, to już wszystko będzie pomyślnie załatwione.

Po chwili Wilson zwrócił się do Jurka, uśmiechając się dobrodusznie:

— Teraz pójdziemy do pańskiego stryja, Mr. Georg. Proszę mi wybaczyć, że przed chwilą zagrałem jego

rolę, lecz to wypadło raczej na korzyść pana. Teraz proszę iść za mną i ściśle wypełniać me zlecenia; być może, zajdą pewne niezwykle zdarzenia, proszę się niczemu nie dziwić, zachować spokój i zimną krew, a działać, jeszcze raz podkreślam, ściśle według moich wskazówek. Niech pan to wytłumaczy, Mr. Georg, również swemu towarzyszowi, który, zdaje się, nie rozumie języka angielskiego.

Jurek był tak przejęty całą tą niezwykłą sytuacją, ową tajemniczością, otaczającą osobę jego stryja, że doznawał niemal równie silnych wzruszeń, jak w samolocie Müllera podczas startu. Jednakże nie pozostawało nic innego, jak słuchać Wilsona i czekać cierpliwie na wyjaśnienie tajemnicy — na rozegranie się dramatu, jak to nazwał astronom.

Wcisnąwszy panu Pawłowi do kieszeni kilka szklanych kulek, takich samych, w jakie się sam zaopatrzył, Wilson ruszył naprzód przez labirynt pokoi i korytarzy w głąb gmachu. Za nim sunęli milcząco astronom i Jurek, a na końcu Dębal.

Wreszcie zeszedłszy po schodach na parter, dotarli do pokoju laboratoryjnego, sąsiadującego z gabinetem profesora Jana. Tutaj Wilson zatrzymał swój orszak, zalecając czekać cierpliwie i dopiero na jego wezwanie wejść do pokoju Orkisz.

Wilson zdecydowanym ruchem otworzył drzwi i wszedł do gabinetu profesora Jana, pozostawiając umyślnie za sobą niedomknięte drzwi tak, aby astronom i Jurek mogli słyszeć przebieg rozmowy.

W gabinecie oprócz profesora Jana i Jerzego był jakiś obcy mężczyzna, rzekomo pracownik firmy Peltersa, w której wykonano przywiezione aparaty. Ga-

binet Orkisz mieścił się na wysokim parterze owej dziwacznej wieży antenowej. Do pokoju prowadziło dwoje drzwi: jedne wewnętrzne, przez które właśnie wszedł Wilson, łączyły gabinet z resztą gmachu, drugie zewnętrzne prowadziły do małego przedpokoju, skąd wychodziło się wprost na dwór.

Dwa szerokie okna, skierowane na południe, oświetlały dostatecznie ten duży pokój, a zarazem rozciągały piękny i rozległy widok na morze.

Umeblowanie gabinetu świadczyło o upodobaniach i zamiłowaniu do nauki jego właściciela, Wzdłuż ścian stały szafy oszklone, pełne książek i broszur; niektóre z nich zawierały w porządku poustawiane najdziwniejszych kształtów przyrządy fizyczne. W jednym z rogów stał duży elektryczny zegar. Na prawo od wewnętrznych drzwi mieściło się wielkie biurko, obok zaś duży stół laboratoryjny, na którym w danej chwili były poustawiane świeżo przywiezione aparaty: projektory, rury katodowe, lustra metalowe i t. p. Obok stołu na podłodze stała skrzynka drewniana, z której widocznie dopiero co wyjęto przywiezione przyrządy.

Po wejściu do pokoju Wilson powitał obecnych skinieniem głowy, potem usunąwszy się na bok z profesorem Janem, porozumiewał się z nim cichym szeptem.

Widocznie na skutek odbytej sekretnej rozmowy, profesor Orkisz zasiadł spokojnie w fotelu przy biurku i nieznacznym ruchem ręki nacisnął ukryty pod pulpitem guzik.

Tymczasem Wilson stanął obok biurka i, zwracając się do domniemanego Jerzego, oznajmił głosem spokojnym, lecz stanowczym:

— Mr. Georg, musimy poważnie ze sobą porozma-

wiać. Jestem w posiadaniu pewnych danych, świadczących o tem, że właściwie pan nie jest tą osobą, za którą się pan podał, to jest bratankiem profesora Jana Orkisz.

Te słowa spokojne i dobitne widocznie raziły domniemanego Jerzego, niczem prąd elektryczny.

— Nie rozumiem... o co panu idzie... panie profesorze — siląc się daremnie na spokój, wybelkotał Jerzy.

Z chwilowego zakłopotania wybawił go ów trzeci, rzekomy komisjoner firmy Petersa, który chwycił pospiesznie swój kapelusz, mówiąc:

— Zapewne już nie jestem potrzebny — patrząc zaś na zegar, dodał, skandując wyrazy:

— Już za pięć mi-nut pią-ta, na-le-ży śpieszyć...

Uwagi Wilsona nie uszło przelotne, lecz wymowne spojrzenie, jakie zwrócił mówiący w stronę Jerzego.

Wilson nie pozwolił dokończyć mówiącemu i rozkazującym tonem przerwał:

— Pan pozostanie jeszcze kilka minut. Właśnie dobrze się składa, że rozmowa nasza odbędzie się przy obcym świadku, który w razie potrzeby będzie mógł złożyć zeznania. Zarazem oświadczam i ostrzegam, że wszelki akt gwałtu ze strony któregośkolwiek z panów zostanie niezwłocznie odparty — to mówiąc, Wilson wyjął z kieszeni garść kulek szklanych i przepychywał je zwolna z lewej do prawej dłoni.

Jednocześnie profesor Orkisz włączył nieznacznym ruchem prąd do stojącego na biurku małego projektora.

Zwracając się znów do Jerzego, Wilson rozkazał:

— Domniemany panie Jerzy Orkisz, proszę mówić od razu prawdę, kim pan jesteś w rzeczywistości i w jakich zamiarach przybyłeś tu do nas.

Młody człowiek zdołał już widocznie opanować wzburzenie, gdyż głosem spokojniejszym odparł:

— Jestem tym, za którego się podałem, to jest bratankiem profesora Jana Orkisz.

Wilson, nie spuszczając wzroku z mówiącego, zawołał rozkazująco w kierunku niedomkniętych drzwi:

— Panie Jurku, proszę przyjść tu zaraz!

Na progu stanął Jurek. Był zmieszany, rozmowa, którą słyszał przez drzwi, nie wróżyła pokojowego zakończenia sprawy. Jego pierwsze wejście skierowało się do siedzącego przy biurku stryja, owej tajemniczej i upragnionej przezeń osoby. Skłonił się chłopak stryjowi z szacunkiem, nie śmiejąc doń podchodzić w tak niezwyklej chwili, poczem wzrok przeniósł na pozostałych uczestników tajemniczej sceny.

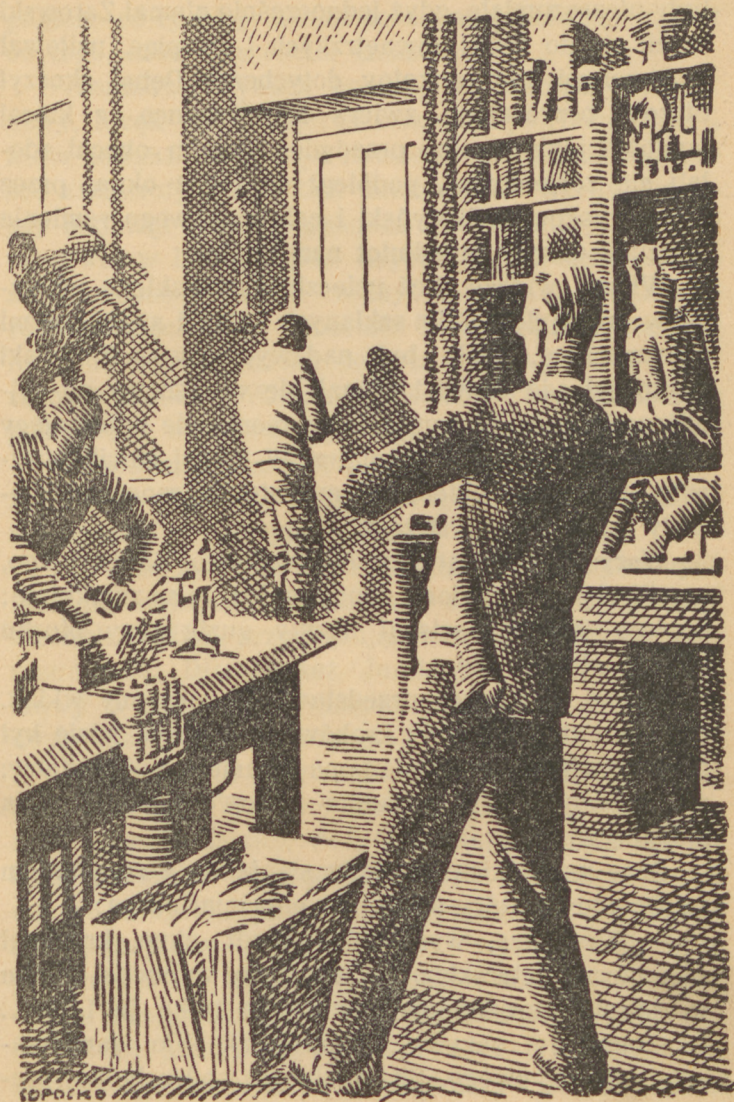
Zaledwie jednak wrażenia wzroku dotarły do jego świadomości, bezwiednie krzyknął:

— Zarowski!... i Skatyński!... tu!

Okrzyk Jurka zmieszał nawet spokojnego Wilsona. Profesor Jan aż powstał ze swego miejsca, we drzwiach zaś zjawily się, jakby z pod ziemi wyrosłe, postacie astronoma i Dębala.

Moment ogólnego poruszenia wykorzystał rzekomy komisjoner, a właściwie grający jego rolę Skatyński, który jednym susem znalazł się na parapecie okna i wydając jakieś okrzyki w niezrozumiałem narzeczu, wyskoczył nazewnątrz.

Widocznie okrzyki Skatyńskiego nie dla wszystkich



ГОРЧКОВ

były niezrozumiałe, gdyż jednocześnie niemal Zarowski rzucił się do drzwi zewnętrznych i szarpiąc, usiłował je otworzyć, zaś spokojny dotychczas Dębał skoczył niczem przyczajony zwierz ku skrzynce, z której wydobyl jakiś owalny przedmiot i zanim obecni zdolali się zorientować, podbiegł do tegoż okna, przez które wyskoczył Skatyński i całą siłą swego ramienia wyrzucił dobyty przedmiot nazewnątrz.

Wilson, widząc chęć ucieczki Zarowskiego, chwycił w prawą dłoń kilka szklanych kulek i sypnął niemi z rozmachem. Efekt był nadzwyczajny — Zarowski odskoczył ode drzwi i osunął się w niemocy na najbliższe krzesło. W tym samym momencie ogłuszający grzmot rozległ się nazewnątrz. W jednej chwili posypały się szyby z okien, zaś aparaty fizyczne zadźwięczały od nagłego wstrząsu.

Wszyscy, z wyjątkiem bezwładnego Zarowskiego, rzucili się ku drzwiom, zapominając, że są zamknięte; dopiero Wilson nacisnął ukryty guzik przy biurku i drzwi otwarły się.

Oczom patrzących przedstawił się okropny widok. Oto nie dalej, jak o 50 kroków, w miejscu, gdzie był piękny kwietnik, widniała jama dwumetrowej średnicy; wokół jamy leżały beładnie krwawe szczątki ciała ludzkiego.

Oczy wszystkich zwróciły się jakby z zapytaniem ku Dębałowi, który spokojnie objaśniał Jurka:

— Złoczyńca, wyskakując przez okno, krzyknął w narzeczu tatarskiem: „Za minutę wybucha bomba w skrzyni“, zrozumiałem te słowa tylko ja i ten... jak tam się nazywa... Zarowski. Nie zamierzałem zabijać owego Skatyńskiego; odruchowo pra-

gnąłem co rychlej usunąć maszynę piekielną; zginął od tego, czemu nas chciał zniszczyć.

Przeraźliwy wybuch bomby, od którego zadrżały mury, brzęk wypadających z okien szyb, łomot drzwi, które zatrzaśkiwały się z hałasem, sprowadził na miejsce katastrofy wszystkich mieszkańców wyspy. Pierwszy nadbiegł profesor Jacques Neuville, który właśnie pracował w laboratorium fizycznym, mieszczącym się na pierwszym piętrze wieży antenowej. Nadbiegli również mechanicy, laboranci i rzemieślnicy, zatrudnieni na wyspie; nawet dozorca portowy, wbrew wyraźnym rozkazom Wilsona, opuścił swój odpowiedzialny posterunek w porcie i pobiegł na miejsce wybuchu.

Po ochłonięciu z pierwszego wrażenia, Jurek zbliżył się do profesora Jana, którego właściwie nie zdążył jeszcze w należyty sposób powitać.

Nie czas było na wypowiedzianie konwencjonalnych słów powitalnych; zresztą ani Jurek, ani jego stryj nie byli ludźmi, przywiązującymi wagę do formy porozumienia. Dlatego też Jurek, nie ubierając swej mowy w ozdobne wyrażenia powitalne, zwrócił się do profesora Jana z temi słowy:

— Opatrzność przywiodła mnie w ostatniej chwili tutaj do stryja. Ten oto Skatyński, którego dosięgła ręka sprawiedliwości, wspólnie z tamtym łotrem Zarowskim zamierzali podstępnie zdobyć tajemnice twoich odkryć, drogi stryju. Skoro się przekonali, że umysł ich są za słabe do przeniknięcia twych wynalazków, postanowili najwidoczniej zgładzić ze świata ciebie, stryju, twoich dzielnych współpracowników, oraz zniszczyć za jednym zamachem budynki i laboratorium. Zarowski wywiózł mnie podstępnie z Polski, zamknął

w eurazjatyckiem więzieniu poto, aby przyjąwszy na się rolę bratanka profesora Orkisz, wykraść tajemnice twych wielkich wynalazków. Ręka Sprawiedliwego pokrzyżowała nikczemne plany, wskazała mi drogę ucieczki z niewoli i przywiodła tu na wyspę, aby w ostatniej chwili uchronić ciebie, drogi stryju i twoje wynalazki od zagłady. Wierzę, iż dalszem zrządzeniem Opatrzności będzie zniweczenie zamysłów Eurazjatów i Mitropców; wierzę, iż nie zawahasz się, stryju Janie, poświęcić swoją wiedzę i energję, aby uchronić zagrożoną Ojczyznę od podstępnego napadu.

Profesor Jan słuchał w zamyśleniu słów bratanka. Myśl jego wiązała w logiczny łańcuch szereg wydarzeń z ostatnich miesięcy. Tajemnicza narada Eurazjatów, przybycie owego fałszywego bratanka, katastrofa na wyspie Pitcairn, napad na pracownię kolegi Neuville'a, dzisiejszy zamach, no i zasłyszane dopiero co dzieje bratanka Jurka — oto ogniwa łańcucha. Zatem pogłoski o zbrojeniach Eurazjatów, o ich zbrodniczych zamiarach, to nie fantazja dziennikarska, ani też straszak wrażliwych i egzaltowanych pacyfistów. To rzeczywistość! Jakież będą dalsze ogniwa w tym łańcuchu niezwykłych i groźnych wydarzeń? — łańcuchu, który wbrew woli oplątał również jego osobę?!

Z zamyślenia wyrwały profesora Jana pytania ze strony Neuville'a i innych, którzy nie zrozumieli słów Jurka, wypowiedzianych po polsku,

Profesor Orkisz powtórzył obecnym treść mowy bratanka i jego słusznych przypuszczeń, wyjaśniających całą zagadkę, która została tak tragicznie rozwiązana.

Oczywiście osoba Jurka i jego towarzysza była

głównym przedmiotem zainteresowania ze strony Neuville'a i innych. Uczni zasypywali go gradem pytań, dotyczących Eurazjatów, ich współdziałania z mitropolskimi monarchistami, ich wojennych planów i t. p.

Rewelacyjne szczegóły o Eurawiacie i o samolotach-automatach zaciekały do tego stopnia słuchaczy, że niemal zapomnieli o niedawnej katastrofie, że trzeba zabrać się co rychlej do uprzątnięcia rumowisk, że należy wszak zbadać rozmiary wyrządzonych szkód. Dopiero zapadający zmierzch przypomniał zebranym na dziedzińcu, że należy wrócić do rzeczywistości. Astronom, po którym najmniej się tego można było spodziewać, ocknął się pierwszy:

— My tu zagadaliśmy się, a tam nasz „bratanek“ pozostał sam w omdleniu; trzeba się nim zająć.

Wilson skoczył na równe nogi, ze złości za karygodne zapomnienie wymierzył sobie potężnego klapsa w czoło; jednym susem był już w gabinecie Orkisha i zapalił lampy; za nim wpadli inni.

Jakież zdumienie i niepokój ogarnęły wszystkich, gdy nie znaleźli Zarowskiego, którego przed pół godziną pozostawili w omdleniu.

Wnet pozapalano światła zewnątrz i wewnątrz budynku, przeszukano starannie wszystkie sale i korytarze. Zarowski przepadł, jak kamień w wodę. Czyżby skoczył do morza, aby wplaw ratować się ucieczką?

W tej chwili doszedł uszu Wilsona sygnał alarmowy od strony portu, oznajmiający zbliżanie się jakiejś obcej motorówki. Jak się wkrótce okazało, przybyli sanitariusze z lecznicy, którzy od paru godzin już poszukiwali zaginionego profesora Vincent.

Ujrzawszy swego pacjenta, sanitariusze wnet chcieli przystąpić do nazbyt gorliwego spełnienia udzielonych im przez lekarza zleceń: ni mniej, ni więcej tylko, ku wielkiemu oburzeniu zacnego pana Pawła, zamierzali mu nałożyć kaftan bezpieczeństwa. Zgorszony grubijańskiem postępowaniem pielęgniarzy, pan Paweł nie mógł się powstrzymać od głośnych i niezupełnie parlamentarnych wyrażań, a nawet zamierzał krótko i węzłowo pięścią rozprawić się ze swymi prześladowcami.

Dopiero interwencja Wilsona pohamowała wojownicze zapędy astronoma. Po wyjaśnieniach sanitariusze zaprzestali dalszych ataków na swego pacjenta.

Korzystając z okazji, Wilson zapytał przybyłych, czy też przypadkowo nie spotkali w drodze jakiejś łodzi, zdążającej w kierunku miasta. Odpowiedź sanitariuszy wyjaśniła wnet, w jaki sposób Zarowski zdołał umknąć z wyspy. Oto, wedle ich słów, w odległości, paru kilometrów od wyspy spotkali oni chyżo mknącą łódź. Jadący łodzią młodzieniec, który najwidoczniej wziął sanitariuszy za agentów policji, zresztą przez nich nie zapytywany, oznajmił, że jest bratankiem profesora Orkiszka i że śpieszy do miasta po doktora do swego stryja, który uległ wypadkowi w laboratorium.

Widocznie zbieg spodziewał się, że Wilson zaalarmował telefonicznie policję, i w ten sposób zamierzał zmylić pogoń.

Rozejrzawszy się po przystani, Wilson istotnie stwierdził brak jednej motorówki.

A więc owym młodzieńcem, którego spotkali sanitariusze, był nie kto inny, tylko zbiegły Zarowski.

Omdlenie, jakiego doznał na skutek szklanych pocisków, widocznie szybko minęło. Złoczyńca wnet ocenił nadarzającą się okazję ucieczki, przemknął się zapewne cichaczem poprzez puste sale laboratoryjne i, podczas gdy wszyscy mieszkańcy wyspy byli zebrani w miejscu wybuchu bomby, zdołał dotrzeć do portu, a stamtąd na morze.

Rozdział IX.

Porwanie.

Hania Orkiszówna była staranną i pilną uczennicą. Odrabianie lekcyj i słuchanie wykładów, zwłaszcza przedmiotów humanistycznych, było dla Hani nietylko zajęciem, wynikającym z poczucia obowiązku, lecz stanowiło istotne źródło zadowolenia.

Tego dnia jednak, a było to w drugiej połowie października, Hania była niezwykle roztargnioną; nie potrafiła dostatecznie skupiać swej uwagi; na zadawane przez profesorów pytania odpowiadała dziwnie opieszale. Na lekcji historii, przedmiotu, w którym Hania celowała, naraziła się nawet na przykrą, aczkolwiek słuszną wymówkę nauczycielki, gdyż na zadane pytanie odpowiedziała uporczywem milczeniem — oto poprostu, wsłuchując się napozór pilnie w słowa nauczycielki, nie słyszała jednakże ich treści; bowiem myśl dziewczynki bujała w innych sferach, hen nad oceanem — na szlaku samolotów, szybujących pomiędzy Ameryką i Europą.

Bo też miała Hania poważne powody po temu, aby być roztargnioną.

Wystarczy, gdy powiemy, że tego dnia rano Hania otrzymała nareszcie po długim trzymiesięcznem

oczekiwaniu pierwszy list od zaginionego brata, ukochanego Jurka. A przytem był to list już naprawdę pisany przez jej najdroższego brata, nie jakiś tam maszynopis, lecz prawdziwy własną ręką napisany list Jurka! Wprawdzie krótki, zawierający wiele... domyslników, niemniej jednak miły list, bo oznajmiający wielką i radosną nowinę — nowinę rychłego, może nawet nadspodziewanie rychłego, powrotu brata.

Już chyba ze sto razy zdążyła Hania odczytać otrzymany list; ukryła go w kieszeni fartuszka i dla większej pewności prawie nieustannie dotykała ręką, jakby dla sprawdzenia, że jest on rzeczywistością, a nie senem marzeniem. Nawet podczas niejednego wykładu pozwalała sobie Hania na sprzeniewierzenie się swym niezłomnym zasadom i zerknięcie ukradkiem pod ławką na miłe sercu pismo.

Już napamięć umiała Hania cały list, od początku do końca.

„Najdroższa Haniu — pisze Jurek — od dwóch dni jestem u stryja Jana na wyspie Oldisland. Wiele, bardzo wiele przeżyłem przez te trzy miesiące rozłąki. Przebyłem piekło udręczeń; jeszcze i dziś nie mam powodów do wielkiej radości. W każdym razie jestem bliższy zamierzonym celom. Ufam, że osiągnę to, co stało się mem wielkiem pragnieniem. Niejedną godzinę jesiennego zmroku poświęcę Haneczce, która z przytuloną do mego ramienia główką będzie wsłuchiwać się z zapartym oddechem w opowieści mych przygód. Przewiduję, że najdalej za kilka, lub kilkanaście dni, przybędę do Warszawy i uścisknę mą ukochaną i jedyną siostrzyczkę. Z drogi dam ci znać o dniu mego przyjazdu. Do Andrzeja wyślę list w tych dniach. Je-

stem tak zajęty, że brak mi wprost czasu na skreślenie obszerniejszego listu“.

„Boże, co za szczęście! — już za kilka dni uściśnie swoją Haneczkę — Jurek“.

„Mój kochany Jurek przyjeżdża“ — omal, że nie wyrwało się Hani na cały głos i to podczas lekcji — co za kompromitacja! Coprawda lekcja mogłaby się już skończyć. Jeszcze długie pięć minut minęło i wreszcie po skończonych lekcjach dziewczynka wyfrunęła z klasy niczem więziony w klatce ptaszek. Czem prędziej pobiegła Hania do czytelnicy, gdzie zasiadłszy w jakimś pustym kąciuku, wyjęła z kieszeni swój skarb poto, aby go jeszcze raz odczytać, obsypać pocałunkami i zrosić łzą radości.

Powiadają fataliści, że szczęścia lub nieszczęścia nachodzą ludzi serjami, jakgdyby jedno pociągało za sobą drugie. Widocznie ów dzień październikowy był dla Hani dniem wyjątkowo szczęśliwym. Jeszcze bowiem nie zdążyła ochłonać po doznanych wzruszeniach, spowodowanych listem Jurka, gdy już tego samego dnia po południu pani wychowawczyni oznajmiła, że oto przybył do Hani jakiś pan, który rzekomo powraca z Ameryki, gdzie widział się z jej bratem i pragnąłby udzielić jej osobiście wiadomości o Jurku.

Nowa fala radości i szczęścia ożywiła tętno Hani-nego serduszka. Lotem strzały przebiegła długi korytarz i schody. Dopiero przed drzwiami kancelaryjnego pokoju, gdzie oczekiwał zapowiedziany gość, opamiętała się dziewczyna; sprawnymi i szybkimi ruchy, przyrodzonymi zapewne wszystkim kobietom, poprawiła swe włosy, sukienkę i fartuszek i drżącą ze wzruszenia ręką pociśnęła klamkę.

Oczekujący gość był młodym jeszcze człowiekiem o sympatycznej powierzchowności, czyniącym wrażenie światowca.

— Jestem Razowski — przedstawił się przybysz, wyciągając swobodnie ku dziewczęciu rękę na przywitaniu. — Właśnie powróciłem z Seattle, a nawet z wyspy Oldisland, gdzie miałem szczęście poznać czcigodnego stryja pani i jej brata.

Hania, zażenowana obecnością eleganckiego mężczyzny, nie mogła się jeszcze zdobyć na nawiązanie rozmowy. Pan Razowski dostrzegł rumieniec zakłopotania na twarzyczce dziewczęcia i, widocznie pragnąc dać jej możliwość opanowania się, sam zaczął dalszą rozmowę.

— Brat pani mówił mi, iż od trzech przeszło miesięcy nie był w możności dać znać o sobie, gdyż w podróży spotkało go wiele przygód, które jednak szczęśliwie się zakończyły. Obecnie mieszka pan Jerzy u profesora Orkisha na wyspie Oldisland. Czy nie pisał jeszcze do pani?

— Owszem, właśnie dzisiaj otrzymałam list — z temi słowa zaferowana jeszcze Hania sięgnęła do kieszeni fartuszka, skąd wyjęła list Jurka i bezwiednie rozłożyła arkusz na stole.

Przybysz zerknął ciekawie na zapisane stronicę.

— Zapewne brat doniósł pani o tem, jakie przygody spotkały go w podróży? — zagadnął gość, wpatrując się nadal zgoła niedyskretnie w leżący na stole list.

— Właściwie to nic mi nie donosi o przygodach, odparła Hania. — Pisz krótko, gdyż nie ma wiele czasu, a przytem zamierza w najbliższych dniach już przyjechać do Warszawy.

— Tak, tak — wtrącił pan Razowski — mówił mi, abym panią zapewnił w jego imieniu, że wkrótce przybędzie. Nawet zamierza wysłać z drogi radjodepeszę, aby pani mogła pojechać na jego spotkanie na lotnisko. Sądząc ze słów pana Jerzego, wnoszę, że być może jutro, lub pojutrze otrzyma pani obiecaną depeszę, oznajmającą przybycie brata. Zapewne wyruszy pani na jego spotkanie?

— Bardzobym pragnęła — odparła Hania. — Uproszę panią wychowawczynię, aby mi pozwoliła pojechać na lotnisko. A o której godzinie przybywają samoloty z Paryża, gdyż zapewne przez Paryż prowadzi droga z Ameryki?

— Dalekobieżny samolot bezpośredniej komunikacji Paryż-Warszawa przybywa na lotnisko około trzeciej popołudniu.

— To doskonale — odrzekła Hania — nie będę potrzebowała nawet prosić o zwolnienie z wykładów, które się kończą o godzinie pierwszej. O wpół do drugiej zjem objad i zaraz wyruszę na lotnisko... No, ale ja tak mówię, jakgdybym już otrzymała depeszę, zawiadamiającą o dniu przyjazdu Jurka — dodała z uśmiechem — a może to jeszcze nie prędko nastąpi?

— Według moich przypuszczeń — zapewniał pan Razowski — już w tych dniach przyjdzie depesza; może nawet jutro — dodał obiecująco.

Dłuższa przerwa nastąpiła w rozmowie; widoczne było, że gość spełnił powierzoną mu przez Jurka misję i zamierza odejść. Hania pragnęła jednak jeszcze porozmawiać o ukochanym bracie, chciałyby się dowiedzieć, jak wygląda, czy aby wspomniane w liście przygody i trudy podróży nie wpłynęły ujemnie

na jego zdrowie. Przewyciężywszy przeto swą nieśmiałość, zwróciła się do gościa z zapytaniem:

— Czy Jurek jest zdrow? Czy aby nie zmizerniał od tych ciężkich przeżyć, o których niestety nie mógł, czy nie chciał pisać? List jest taki krótki...

— Ależ tak — zdawkowo odpowiadał pan Razowski — pan Jerzy jest zupełnie zdrow, wygląda doskonale, długa podróż morską zahartowała nawet jego organizm; za parę dni sama się pani o tem przekona.

Z temi słowy gość zerknął na zegarek i powstał, dając do zrozumienia, że brak czasu przynagla go do odejścia. Na pożegnanie dodał:

— Zapewne zobaczymy się na lotnisku, gdyż niemal codziennie tam bywam, właśnie około trzeciej po południu, oczekuję bowiem również pilnych listów z Ameryki, które powinny w najbliższych dniach nadejść.

Po wyjściu pana Razowskiego, Hania powróciła do swego pokoju i pośpiesznie wzięła się do przeglądania skromnej garderoby. Wszak Jurek może już jutro, lub pojutrze przyjechać — na jego spotkanie Hania musi się ubrać odświętnie.

— Czy aby pani Ewelina pozwoli jej pójść samej na lotnisko? — troskała się dziewczyna. — Ech, może pozwoli. Zapewnię panią, że idąc na lotnisko, po drodze zatelefonuję do Andrzeja Skalskiego, którego pani zna i bardzo lubi, i poproszę, aby wraz ze mną udał się na spotkanie Jurka. Jakoś to będzie!

* * *

Istotnie informacje i przewidywania pana Razowskiego okazały się ściśle, nazajutrz bowiem wieczor-

Andrzej Skalski powrócił tego dnia dopiero o godzinie czwartej po południu do domu. Wnet dowiedział się od domowników, że przed niespełna dwiema godzinami telefonowała do niego Hania Orkiszówna w jakiejś pilnej sprawie. Młodzieniec, nie zjadłszy nawet obiadu, czem prędzej udał się do bursy, aby się dowiedzieć, w jakiej sprawie Hania do niego telefonowała.

Wychowawczynie, pani Ewelina poinformowała go o wszystkim i jednocześnie wyraziła obawę z powodu zbyt długiej nieobecności swej pupilki.

— Wszak samolot przybywa o godzinie trzeciej — mówiła pani Ewelina. — Obecnie jest już blisko piąta. Hania powinna by już wrócić do domu. — Ogromnie się niepokoję o nią.

Andrzej był mocno zdziwiony tem, że Jurek nie powiadomił go również o swoim przybyciu; wszak powinien był to uczynić, jako wierny i serdeczny przyjaciel.

Zaniepokojony o Hanię, Andrzej niezwłocznie udał się na lotnisko. Okazało się, że samolot z Paryża przybył o oznaczonym czasie, to jest o godzinie trzeciej po południu. Andrzej udał się do komisarjatu policji lotniczej, aby sprawdzić listę przybyłych z zagranicy pasażerów; na liście nie znalazł jednak nazwiska Jerzego Orkisz.

Niepokój Andrzeja wzmógł się tem bardziej, gdy po bezowocnych poszukiwaniach Hani i po powrocie późnym wieczorem do domu zastał list od Jurka. W liście donosił Jurek o swoim pobycie u stryja Jana i o zamiarze rychłego powrotu; nadmieniał przytem wyraźnie, że zawiadomi Andrzeja depeszą o dniu i godzinie swego przyjazdu do Warszawy. Również

zdawkowo wspominał o swych niezwykłych przeżyciach, obiecując dać szczegółową relację osobiście w niedalekiej przyszłości.

Zatem znów tajemnica w nieszczęsnej rodzinie Orkiszow — dumał stroskany młodzieniec. — Zaledwie odnalazł się zaginiony brat, a już znika w sposób niezwykły jego siostra.

Andrzej, pełniąc przez ubiegłe trzy miesiące ze szczerem oddaniem rolę opiekuna Hani, pokochał dziewczynę całą siłą uczucia swej szlachetnej natury; była to miłość raczej starszego brata i opiekuna, spotęgowana jednak pragnieniem i miłosną tęsknotą jego czyścącego młodzieńczego serca.

— Wielki Boże — przemknęło przez myśl Andrzeja — jakieś nieszczęście spotkało moją ukochaną Haneczkę! — Co czynić? Gdzie jej szukać?

Zwierzył się Andrzej ze swego nowego strapienia ojcu, którego uważał za najlepszego powiernika. Pan Skalski, niestety, nie był w możności pocieszyć stroskanego syna. Fakt tajemniczego zniknięcia Hani w świetle posiadanych informacji, a zwłaszcza wobec listu Jurka, wydał się panu Skalskiemu, czego zresztą nie taił przed synem, sprawą nader podejrzaną.

Po naradzie postanowili obydwaj powiadomić o całym zajściu policję śledczą i przystąpić niezwłocznie do energicznych poszukiwań zaginionej.

Kilka dni bezowocnych poszukiwań nie dały niestety żadnych wyników, a nawet nie naprowadziły na ślady bezczelnych złoczyńców, którzy wazyli się porwać dziewczynę w biały dzień w ruchliwym śródmieściu Warszawy.

Rozpacz Andrzeja nie miała granic.

— Także to opiekował się Hanią! — czynił sobie niesłuszne wyrzuty młodzieniec. — Cóż powie Jurkowi? Czy będzie w stanie żyć bez tej najdroższej, najukochańszej istoty?! — Trwoga o losy porwanej, serdeczny żal po stracie ukochanej szarpały, niczem drapieżne szpony, zbolałą duszę młodzieńca.

Długo rozmyślał Andrzej, czy należy powiadomić Jurka o tajemniczym zaginięciu Hani. Wreszcie na skutek namowy ojca wysłał na wyspę Oldisland pofnłą terminową depeszę drogą autotelegraficzną; tego rodzaju telegramy bowiem przekazywały adresatowi nietylko treść wiadomości, lecz również charakter pisma i własnoręczny podpis.

Rozdział X.

Udaremnlony powrót.

Poranne mgły, szarpane porywistym wichrem jesiennego przedświt, zwolna odsłaniały wybrzeże portowe miasta Seattle.

Ku temu wybrzeżu zdążyła chyżo motorówka, wioząca naszych znajomych, Jurka i Dębala. Widocznie śpieszno było podróżnym, gdyż coraz to spoglądali niecierpliwie na zegarki. Była już godzina szósta rano, a o godzinie wpół do siódmej odlatuje z lotniska „Pacific Aeroline“ samolot, na którym nasi przyjaciele mieli odbyć podróż do Nowego Jorku, aby stamtąd udać się drogą powietrzną ponad oceanem Atlantyckim przez Paryż do Warszawy.

Na obliczu Jurka malowało się niezwykle podniecenie. W jego oczach można było odczytać naprzemian to radość, to troskę.

— Wracam do Ojczyzny, zobaczę Hanię, Andrzeja — dumął młodzieniec — ach, żebym już prędzej znalazł się tam w Warszawie i należycie spełnił powierzoną mi misję — westchnął i kurczowo zacisnął palce wokół uchwytu małej skórzanej walizki, zamkniętej na sekretny zamek.

— Jurku, już zbliżamy się do portu — odezwał

się Dębał — pilnuj dobrze walizki, sprawdź, czy wszystko jest w niej w porządku... czy dobrze zamknięta?

— Bądźcie spokojni, ojcze Dębału — odrzekł Jurk — ani na chwilę nie rozstanę się z moim skarbem.

W kilka minut później łódź przybiła do portowej przystani; nasi podróżni wskoczyli do najbliższej drożki samochodowej, która ich uwiozła w kierunku lotniska.

Lotnisko „Pacific Aeroline“ mieściło się za miastem, na obszernych błoniach i przedstawiało imponujący widok, zwłaszcza wczesnym rankiem podczas odlotu licznych dalekobieżnych samolotów.

Olbrzymie lampy o sile milionów świec, niby potężne księżyce, oświetlały dworzec i cały teren lotniska. Dworzec był to budynek wielkich rozmiarów w kształcie półkola, od którego, jakby smugi świetlne, rozchodziły się na wszystkie strony poszczególne perony. Na peronie, oznaczonym napisem New Jork, panował ożywiony ruch; olbrzymi ptak oświetlony rzeźsicie już prężył swe skrzydła do odlotu.

Był to samolot dużych rozmiarów, którego kadłub wynosił 100 metrów długości; skrzydła miały stosunkowo niewielką rozpiętość, gdyż nie liczyły więcej, jak 30 metrów i składały się z trzech ruchomych warstw.

Na przedniej krawędzi skrzydeł były umieszczone szeregami niewielkie śmigła, po pięć na każdym. Śmigła te nie spełniały roli dzisiejszych śrub powietrznych, to znaczy nie było ich zadaniem wkręcanie się w powietrze i unoszenie aparatu. Działanie śmigieł polegało na utrzymywaniu samolotu w równowadze i łagodze-

niu wstrząsów, jakich doznawał aparat przy wydmuchach zgęszczonego powietrza z rur torpedowych.

Wzdłuż kadłuba samolotu widniały owe rury torpedowe, stanowiące właściwe organy lotu.

Urządzenia maszynowe składały się z potężnych silników i pomp pneumatycznych, służących do zgęszczania powietrza. Ładunki zgęszczonego powietrza przedostawały się kolejno do rur torpedowych, w których ulegały rozprężeniu, powodując mniej, lub więcej silne wydmuchy.

Na skutek odrzutu, każdy wydmuch nadawał samolotowi postępowy ruch w kierunku przeciwnym.

Wydmuchy zgęszczonego powietrza następowały w określonej kolejności przez wszystkie rury torpedowe w liczbie 12, przyczem ich siła i częstość mogły być regulowane dowolnie przez maszynistę. Dlatego też samolot nie doznawał zbyt gwałtownych zmian szybkości i wskutek tego nie podlegał raptownym wstrząsom, jednocześnie łatwo osiągając zawrotną szybkość 350 kilometrów na godzinę.

W kadłubie samolotu poza halą maszyn i ubikacjami dla maszynistów i służby mieściły się wygodnie urządzone kajuty dla podróżnych, restauracja, palarnia i t. p.

Samolot, w którym nasi znajomi zamierzali odbyć podróż do Nowego Jorku, mógł pomieścić 200 pasażerów; był to jeden z większych aparatów, kursujących na szlaku Pacyfik-Atlantyk.

Jurek i Dębał po zakupieniu biletów zdążali szybkimi krokami wzdłuż peronu. Dotarwszy wreszcie do drzwi wejściowych samolotu, pośpiesznie wkroczyli do wnętrza i zajęli wskazane na biletach miejsca,

rozglądając się bacznie na wszystkie strony, jakby w obawie przed nieznanem niebezpieczeństwem. Dębał ułożył bagaże w specjalnie do tego przeznaczonych siatkach, Jurek zaś nadal piastował swą nieodstępną walizkę. Pozostało kilka minut do odlotu; większość pasażerów spacerowała jeszcze po peronie.

Wśród tłumu ludzi, przewijających się tu i tam, zwracał uwagę swem zachowaniem pewien młody człowiek, który niecierpliwie biegał wzdłuż peronu, jakby wypatrując kogoś znajomego. Wreszcie dostrzegł widocznie poszukiwaną osobę, gdyż zatrzymał się opodal i szybkim ruchem skierował obiektyw małego aparatu fotograficznego w kierunku oświetlonego jaskrawo wnętrza samolotu.

Gdyby Jurek i Dębał byli mniej zajęci swemi pakunkami i bacznie obserwowali, co się dzieje na peronie, to zauważyliby niewątpliwie, że ów jegomość wycelował obiektyw właśnie w ich kierunku.

Zaledwie tajemniczy fotograf zdążył dokonać zdjęcia, rozległy się sygnały, oznajmiające odlot; drzwi wejściowe zatrzaśnięto i stalowy ptak nagle się ożywił.

Właściwie było to tylko złudzenie; samolot jeszcze się nie poruszał, natomiast pomost, a raczej olbrzymia ruchoma taśma, na której spoczywał, poczęła wolno, potem coraz szybciej posuwać się wraz z aparatem.

Coraz prędzej przesuujące się na tle szyb samolotu latarnie i budynki, świadczyły o wzmagającej się szybkości ruchomego toru. Jednocześnie dały się słyszeć przytłumione podmuchy, wydobywające się z potężnych rur torpedowych, niby pierwsze porywy budzącego się wichru.

Podmuchy stawały się częstsze i coraz silniejsze,

aż wreszcie zamieniły się w jednostajny poszum, podobny do odgłosów szalejącej nazewnątrz wichury.

Olbrzymi ptak oderwał swe kończyny od ziemi i zdał się na łaskę i moc swoich skrzydeł i motorów.

Jurek powstał z miejsca, i trzymając kurczowo swą nieodstępną walizkę, zbliżył się do okna, aby podziwiać niezwykle i piękny widok, umykającego jakby w popłochu krajobrazu ziemskiego.

Pierwsze promienne strzały wschodzącego słońca dosięgły już stalowego orła, podczas, gdy padół ziemski spowijały jeszcze mroki przedświt.

Jurek przywarł czołem do chłodnej szyby okiennej i dumał; radość i troska walczyły w jego duszy o palmę pierwszeństwa.

Toć należy mu się radować; wszak dopiął swego celu, dotarł do profesora Jana, który zapewnił go o swej współpracy dla obrony Ojczyzny przed napaDEM Eurazjatów; wszak wiezie w tej oto walizce, no... i we własnej głowie, plany i schematy projektowanych stacyj telewizyjnych i „falochłonnaYch“; wszak stryj Jan upoważnił go do wtajemniczenia w swe wynalazki naczelnego dowództwa polskich sił zbrojnych, o ile tylko zajdzie potrzeba obrony przed najazdem wrogów.

Lecz... czy jednak potrafi on, Jurek, dokładnie wyjaśnić istotę skomplikowanych aparatów fizycznych? Wprawdzie przez dziesięć dni studjował całymi dniami pod kierunkiem stryja plany i opisy przyrządów, poczynił liczne notatki, sekretne zaś szczegóły, dotyczące promieni „ultragamma“ i „infragamma“, obiecał mu stryj przekazać za pomocą specjalnego aparatu radijofonicznego już na miejscu w Polsce.

Czy podoła podjętemu zadaniu? Czy znajdzie posłuch — on, młodzieniec zaledwie dziewiętnastoletni? A może już będzie zapóźno na rozpoczęcie budowy stacyj ochronnych? Może Eurazjaci przyśpieszą termin zamierzonego najazdu? Zwłaszcza obecnie, gdy zbiegły Zarowski nie omieszkał ich powiadomić o tem, że profesor Neuvil wraz z profesorem Orkiszem pracują wspólnie nad wynalezieniem środków obrony.

Te i tym podobne myśli naprzemian radowały i trapiły młodzieńca niemal przez cały ciąg podróży napowietrznej. Dębał nie był wesołym i rozmownym kompanem. Rozsiadłszy się wygodnie w swym fotelu pogrążył się dawnym zwyczajem w smętną zadumę. Zresztą rozmowa i tak nie kleiłaby się; Jurek bowiem w obecnym nastroju zdolny był tylko do rozmowy o swych najbliższych zamierzeniach, zaś względy bezpieczeństwa nakazywały nie mówić ani o telewizorze, ani o Eurazjatach.

Podróż do Nowego Jorku trwała około dziesięciu godzin. Już o godzinie 4^{1/2} po południu zamajaczyły na horyzoncie zarysy metropolji świata; zwolna wyłaniały się sylwety drapaczy chmur, spowite w sinawe opary, unoszące się nad tem największem na kuli ziemskiej mrowiskiem ludzkim.

Sternicy samolotu poczęli już pilnie obserwować sygnały lotnicze, rozmieszczone tu niby semafony kolejowe i wskazujące odpowiednie do lądowania miejsce na lotnisku.

Jurek z ciekawością obserwował manewry lądującego aparatu. Wsłuchując się uważnie w odgłosy wydmuchów z rur torpedowych, można było wyraźnie odróżnić, że niezależnie od wydmuchów na tyłach sa



molotu, rozpoczęły działanie również rury torpedowe, umieszczone na przedzie aparatu. Te przednie rury miały za zadanie hamowanie lotu przez odpowiednie wydmuchiwanie zgęszczonego powietrza w przeciwnym kierunku. Hamowanie pędu odbywało się jednak tak łagodnie, że większość pasażerów nawet go nie odczuła.

Samolot opadał majestatycznie ku ziemi. W pewnym momencie Jurek doznał wrażenia, jakgdyby huśtania na falach morskich: — to samolot lądował na zawieszanej nad ziemią sieci, splecionej z lin stalowych. Jeszcze kilka posuwistych falowych ruchów i aparat potoczył się gładko po torze, aby zajeżdżać na peron, niczem pociąg kolei żelaznej.

Pasażerowie samolotu śpiesznie wstawali z miejsc i unosząc swe pakunki, tłoczyli się do drzwi wyjściowych, które jeszcze były zamknięte.

Jednak służba samolotu jakoś wyjątkowo nie kwapiła się z otwarciem hermetycznych drzwi. To też co niecierpliwi podróżni poczęli sarkać, głośno wyrażając swe niezadowolenie.

Po kilku minutach otwarto wreszcie drzwi i na ich progu ukazały się ciemne mundury i sukienne kaski policjantów. Dowódca oddziału policyjnego postąpił krok naprzód i tonem uprzejmym, lecz stanowczym oświadczył:

— Proszę panie i panów wychodzić pojedynczo, bez zbyteńnego pośpiechu, nie tłocząc się.

Jednocześnie wyjął z bocznej kieszeni jakąś fotografię i pilnie przyglądał się każdemu wychodzącemu, jakby porównywał jego wygląd z wizerunkiem na fotografii.

Podróźni, przeważnie obywatele amerykańscy, nawykli do posłuchu i subordynacji, zastosowali się do rozkazu i samorzutnie uszeregowali się jeden za drugim, aby nie utrudniać agentom policyjnym pełnienia ich obowiązków.

Jurek i Dębał, nie śpiesząc się, stanęli prawie na końcu szeregu.

Po upływie kilku minut przyszła wreszcie i na nich kolej wysiadania.

Skoro Jurek z nieodstępną walizką i kroczący za nim Dębał zbliżyli się do komendanta policji, tenże przyjrzał się im bacznie, raz i drugi spojrzął na trzymaną w ręku fotografię, wreszcie głosem surowym oznajmił:

— Obydwaj panowie udadzą się wraz ze mną do komendy policji. Proszę nie replikować i nie stawiać oporu.

Jurek ani myślał o oporze, poprostu oniemiał ze zdziwienia, usłyszawszy słowa policjanta.

Cóż to ma znaczyć? Jakież popełnił przestępstwo? Skąd ta fotografia w ręku policjanta, fotografia, na której przelotnie spojrzawszy, dostrzegł swoją i Dębala podobiznę.

Oblicze młodzieńca oblał szkarłat oburzenia; nawykły jednak do panowania nad sobą, Jurek pohamował cisnące się na usta gorzkie wyrazy skargi na niesprawiedliwe poczynania policji i posłusznie udał się wraz z Dębalem i towarzyszącymi agentami we wskazanym kierunku.

Po wejściu do obszernego pokoju komendy policyjnej, znajdujący się tam urzędnik z uprzedzającą grzecznością oznajmił naszym podróżnikom, że są

aresztowani na zasadzie radjograficznego rozkazu sędziego śledczego w Seattle, że zostaną osadzeni tymczasowo w areszcie prewencyjnym, zaś po kilku, ewentualnie kilkunastu dniach, będą odtransportowani zpowrotem do Seattle, gdzie zapewne odbędzie się rozprawa sądowa. Następnie oświadczył urzędnik, że z obowiązku musi ich poddać ścisłej rewizji osobistej, oraz, że wszelkie ich papiery, dokumenty i bagaże będą zabrane, w obecności władz opieczętowne i dostarczone do urzędu śledczego w Seattle.

Dębal, nie rozumiejący języka angielskiego, obojętnie przysłuchiwał się uprzejmej oracji komisarza, a nawet skłonny był przypuszczać, że chodzi o jakieś formalności i że niebawem zostaną zwolnieni.

Natomiast Jurek, którego najbardziej zaniepokoiła wiadomość o przymusowym areszcie, a potem powrocie do Seattle, co oznaczało w najlepszym razie parotygodniowe opóźnienie jego podróży do Polski, dał upust swemu rozdrażnieniu i tonem podnieconym zapytał:

— Możeby łaskawy pan raczył nas chociaż objaśnić, jakie popełniliśmy przestępstwo, że sędzia śledczy demokratycznych Stanów Zjednoczonych waży się pozbawiać wolności nas, wolnych obywateli Polski.

Widząc podniecenie młodzieńca, który, nawiasem mówiąc, wywarł dodatnie wrażenie na komisarzu, tenże z flegmą odparł:

— Według przepisów służbowych nie jestem wprawdzie obowiązany objaśniać panów. Aresztując ich, spełniłem tylko rozkaz swej zwierzchniej władzy. Ponieważ jednak jesteście panowie cudzoziemcami, a zwłaszcza osobiście mi sympatycznymi Polakami,

przeto udzielię wyjaśnień o tyle, o ile mi są wiadome. Otóż tu przede mną leży, jak pan widzi, radjogram z dołączoną do niego fotografią, przesłaną drogą teleautograficzną. Podobizny panów musiały być dostarczone do urzędu śledczego w Seattle wraz z oskarżeniem. Kto i jakie przestępstwo panom zarzuca? Radjogram odpowiada na te pytania w sposób następujący: „Urząd śledczy Seattle poleca aresztować dwóch pasażerów z samolotu P. A. L. 7, bez względu na podane przez nich nazwiska, które mogą być fałszywe. W celu rozpoznania przesyła się teleautograficznie ich podobizny. Są oskarżeni przez Mr. Orkisa o kradzież planów wynalazków“.

— Panie komisarzu — wybełkotał osłupiały Jurek — proszę mi pokazać radjogram... to ostatnie zdanie...

„... oskarżeni przez Mr. Orkisa... o kradzież wynalazków“. Odczytawszy własnymi oczami radjogram, Jurek, jak nieprzytomny, zatoczył się i padł na stojący obok fotel.

Po wypiciu kilku łyków wody, chłopak powrócił do przytomności; nie mógł jednak wydobyć ze siebie ani słowa. Dopiero po dłuższem milczeniu zdobył się na dalsze pytanie:

— Panie komisarzu, czy mógłbym nadać depezę... właśnie do... Mr. Orkisa?

Naczelnik policji spojrział na niego ze zdumieniem.

— Chciałby pan depeżować do swego oskarżyciela? — zapytał podejrzliwie i nie czekając odpowiedzi, odrzekł:

— Niestety, nie; przepisy służbowe zabraniają aresztowanemu na wysyłanie jakiegokolwiek korespon-

dencji przed rozprawą sądową. Wdając się z panami w tak długą rozmowę, już właściwie przekroczyłem swe kompetencje — zakończył służbiście i wyszedł z pokoju.

Jurek zrezygnowany, milcząco poddał się przykrej osobistej rewizji, poczem wraz z Dębalem został odprowadzony do wspólnej celi prewencyjnego aresztu.

Właściwie nie należałoby nazywać celą schludnego i wygodnie urządzonego pokoju, w jakim znaleźli się Jurek i Dębal, i gdyby nie kraty w oknach i mocne zasuw przy drzwiach, owa cela mogłaby uchodzić za przyzwoity pokój hotelowy.

Gdy nasi więźniowie zostali sami, Jurek rzucił się na szezłąg i przymknąwszy powieki, począł w myśli przetrawiać ostatnie zdarzenia, które nietylko pokrzyżowały jego zamiary, lecz boleśnie zraniły poczucie sprawiedliwości i honoru.

— Nie... to jest wprost nie do wiary... Cóż za potworna obłuda... Czyżby stryj Jan, ten genialny uczony, przez kilkanaście dni pobytu Jurka na wyspie udawał serdeczność i pozornie tylko zgadzał się na powierzenie mu tajemnicy swych wynalazków?... poto, aby w decydującym momencie kazać go aresztować. Czyżby dopiero dzisiaj, już po jego wyjeździe z Seattle, zmienił stryj Jan swe zamiary? Może uczony obawia się, aby jego wynalazki nie zostały przedwcześnie ogłoszone?... A może usłuchał złośliwych podszeptów jakiegoś fałszywego przyjaciela, który... nie sprzyja sprawie polskiej?... Zaiste zagadka trudna do rozwiązania — to zdanie wypowiedział Jurek półgłosem.

Dębal, który spokojnie siedział przy oknie i melan-

cholijnie ómił papierosa, zasłyszawszy głos Jurka, postąpił ku niemu i troskliwie zapytał:

— No, jakże się czujesz; może ci podać co do jedzenia? Nasi gospodarze pamiętają o nas i zastawili stół obficie.

— Dziękuję, ojcie Dębalu, jeść mi się nie chce; powiedzcie mi, co sądzicie o całej sprawie.

— Ba — odparł Dębal — przedewszystkiem nie rozumiem, co to wszystko znaczy: wszak wiesz, że nie znam języka angielskiego. Jeśliś nie zmęczony, to powiedz mi, co ci tłumaczył ten urzędnik policji.

— Otóż krótko i węzłowato — odparł w podnieceniu Jurek —mój stryj, Mr. Orkisz, polecił nas areztować jako złoczyńców, którzy mu skradli plany wynalazków...

— Jakto skradli?! — zapytał po chwili osłupiały Dębal. — Przecież sam dobrowolnie dał ci te plany i schematy, a wielu sekretów nawet cię nauczył...

— Tak, ha, ha — zaśmiał się szyderczo Jurek — lecz widocznie zaraz po naszym wyjeździe pożałował tego, co uczynił, i postanowił błąd naprawić...

Dębal nie odznaczał się lotnością umysłu, posiadał jednak duże poczucie rzeczywistości i niejednokrotnie hamował fantazję młodzieńca w jego porywczem, lecz nie zawsze logicznem rozumowaniu. Również obecnie odrazu nie przeciwstawił się przypuszczeniom Jurka, choć wydały mu się one mało prawdopodobne, jednakże w swym prostym rozumie starał się odnaleźć inne, bardziej rzeczywiste rozwiązanie zagadki.

Tymczasem, widząc silne rozdrażnienie swego młodego przyjaciela, Dębal postanowił nie mówić więcej

o tej sprawie, co przy jego milczącym usposobieniu było łatwe do wykonania.

Istotnie Jurek nazbyt boleśnie odczuł to przykre zdarzenie, moralnie był zupełnie złamany, zaś nerwowo tak wyczerpany, że przez następnych parę dni pobytu w areszcie prawie ciągle spał, odmawiając nawet przyjmowania obfitszego posiłku.

Już tydzień minął od dnia zaareztowania naszych przyjaciół. Jurek wypoczął, jego nerwy się uspokoiły i umysł pracował nie tak gorączkowo. Któregoś dnia sam zagadnął Dębala:

— Wiecie, ojcze Dębalu, że to jednak nieprawdopodobne, aby stryj Jan sam z własnej woli polecił nas aresztować. Może to jakaś pomyłka?... Lecz cóż oznacza owa fotografja, wyobrażająca nas i przesłana drogą teleautograficzną?...

Po pewnym namyśle Dębal rzekł:

— Chyba stryj Orkisz nie posiadał naszej fotografji; ja przynajmniej nie fotografowałem się podczas pobytu na wyspie, ani też nie ofiarowałem swej podobizny profesorowi.

— No, więc skąd wzięła się ta fotografja w rękach komisarza? — zapytał bezradnie Jurek.

— Otóż w tem widzę całą zagadkę — rozumował Dębal — to mi pachnie jakąś sztuczką szpiegowską; nieraz byłem świadkiem, jak prowokatorzy przedstawiali więźniom fałszywe fotografje w celu uzyskania od nich zeznań. To jakaś nieczysta sprawa! W każdym razie profesor Orkisz nie jest temu winien, że nas zaareztowano — zakończył swe rozumowanie. — Poczekajmy jeszcze kilka dni a zagadka się wyjaśni.

Po dziesięciodniowym pobycie w New Yorku nasi więźniowie zostali przewiezieni zpowrotem do Seattle. Nie jechali już szybkim samolotem, lecz w więziennym wagonie kolejowym. Podróż powrotna trwała aż dwie i pół doby, tak, iż dopiero ósmego listopada przybyli do Seattle.

Na drugi dzień po przybyciu Jurek i Dębala zostali wezwani do sędziego śledczego.

Sędzia, Mr. James, piastujący już od szeregu lat swój wysoki urząd, z rutyną wytrawnego urzędnika rozpoczął badanie od stereotypowych pytań: jak się nazywa, ile ma lat i t. p., przyczem machinalnie zapisywał odpowiedzi Jurka, który przemawiał w swoim i Dębala imieniu. Dopiero po chwili zastanowienia Mr. James zauważył, iż oskarżony nazwał się Jerzym Orkiszem; zmarszczył przeto brew, utkwiał surowe spojrzenie w obliczu młodzieńca i tonem szyderczym zapytał:

— Więc pan utrzymuje, że jego nazwisko brzmi Jerzy Orkisz; może pan byłbyś również skłonny twierdzić, iż jesteś bratankiem czcigodnego profesora Jana Orkisz?

— Nietylko byłbym skłonny, lecz kategorycznie twierdzę, iż jestem Jerzym Orkiszem, bratankiem profesora Orkisz, zamieszkałego na wyspie Oldisland — odparł twardo Jurek.

— W takim razie muszę stwierdzić — ciągnął sędzia — że oprócz przestępstwa, o które został pan oskarżony, popełniasz młodzieńcze jeszcze drugie niemniejsze, gdyż podszywasz się pod cudze nazwisko, a zwłaszcza czynisz to wobec władzy śledczej. No, dość tych żartów — w tem miejscu sędzia podniósł

głos — proszę powiedzieć prawdziwe nazwisko swoje i pańskiego towarzysza.

— Jeszcze raz powtarzam — odparł również głosem podniesionym Jurek — że jestem tym, za kogo się podaję.

— All right! — rzekł sędzia z szyderyczym uśmiechem. — Czy może mi pan, panie Orkisz — te słowa wycodził Mr. James — objaśnić, jakże to się stało, iż oskarżył pan samego siebie — to mówiąc, sędzia wyjął z teki arkusz zapisanego papieru i wskazał widniejący na dole podpis „Jerzy Orkisz“.

Jurek szybko przebiegł pismo oczami; akt oskarżenia głosił, że niżej podpisany bratanek profesora Jana Orkisz, działający w jego imieniu, oskarża dwóch nieznanym mu z nazwiska osobników o dokonanie w dniu 27 października r. b. kradzieży planów wynalazków. Plany zostały skradzione z kasy ogniotrwałej, zaopatrzonej w sekretne urządzenie tego rodzaju, iż umieszczony we wnętrzu kasy aparat fotograficzny uwiecznił na kliszy podobizny włamywaczy. Jako dowód dołącza się przy niniejszem wymienioną fotografię. Kradzież stwierdzono w dniu 28 października o godzinie 8-ej rano. Według wszelkich danych złoczyńcy zbiegli z Seattle, udając się na dalekobieżnym samolocie do Nowego Yorku.

Sędzia pozwolił Jurkowi przeczytać akt oskarżenia i po wiele znaczącej pauzie drwiąco zapytał:

— Czy jeszcze nadal twierdzisz pan, że jesteś Jerzym Orkiszem?

Jak błyskawica przemknęło w myśli Jurka:

— To nowe łajdactwo Zarowskiego... lub jego wspólników!

Wyczekawszy chwilę, spojrział młodzieniec prosto w oczy sędziemu i spokojnie głosem opanowanym odparł:

— Jestem Jerzym Orkiszem, zaś ten osobnik, który wniósł oskarżenie, jest najzwyczajszym oszustem. Czy pan sędzia porozumiał się osobiście z profesorem Janem Orkiszem, w którego rzekomo imieniu zostało wniesione oskarżenie? — dodał z odcieniem ironji.

Mr. James zawahał się, pokrył jednak chwilowe zakłopotanie piorunującym wejrzeniem i krzyknął:

— Kto tu jest oskarżony pan, czy ja! Ja pytam, a pan ma odpowiadać...

Urzędnik, piszący protokół przesłuchania, spojrział z nad okularów na Jurka i na sędziego i nieznacznie się uśmiechnął.

— Panie sędzio — mocnym głosem odezwał się Jurek — proszę o zaprotokółowanie, iż domagam się natychmiastowej konfrontacji z profesorem Janem Orkiszem.

Stropiony Mr. James jeszcze raz usiłował ratować zagrożony autorytet nieomyślnej władzy i szorstko odburknął:

— Przesłuchanie narazie skończone, odprowadzić oskarżonych do aresztu.

Po wyjściu oskarżonych Mr. James, czerwony jak rak, jął zawzięcie spacerować tam i zpowrotem po pokoju.

Protokolant, widząc zły humor sędziego, złożył tekę z aktami i zamierzał wyjść.

— Dokąd pan idziesz? — zastąpił mu drogę Mr. James — pokaż pan, coś nabazgrał w protokole.

Zależniony urzędnik otworzył tekę i drżącym głosem odczytał zapis, który był najwierniejszym stenogramem odbytego przesłuchania.

Gdy wreszcie wystraszona urzędniczna zakończyła, odczytując: „proszę o zaprotokółowanie, iż domagam się natychmiastowej konfrontacji z profesorem Janem Orkiszem“ — sędzia tupnął gniewnie nogą i krzyknął: dość tego... — zaś po chwili, ciszej dodał:

— Wezwać profesora Jana Orkiszę jutro na godzinę jedenastą.

Nazajutrz o godzinie jedenastej w biurze Mr. James'a nastąpiło zakończenie tej tragicznej dla Jurka przygody.

Po otrzymaniu wezwania mniemał profesor Jan, że chodzi o jakieś przestępstwo zbiegłego oszusta Zarowskiego, który się podszył pod nazwisko Orkiszów, tymczasem, wchodząc do biura śledczego, ujrzał ku swemu najwyższemu zdumieniu swego bratanka i Dębala, których przed dwoma tygodniami wyprawił do Polski.

Nie czekając przeto na pytania ze strony Mr. James'a, profesor Jan zwrócił się doń:

— Panie sędzio, co to ma znaczyć? — widzę tu na ławie oskarżonych mojego bratanka.

Już to pytanie wystarczało sędziemu do skonstatowania, że padł ofiarą swej zbytnej gorliwości w pełnieniu urzędu. Wstyd było porywczemu Mr. James'owi, że zbyt lekkomyślnie wydał nakaz aresztowania, nie zbadawszy przedtem słuszności oskarżenia. Nie odpowiedział przeto na pytanie profesora, lecz podał mu do przeczytania akt oskarżenia z widniejącym u dołu podpisem Jerzego Orkiszę.

Gdy profesor ukończył czytanie aktu, sędzia z pewnem wstydliwem zakłopotaniem, dodał:

— Oskarżenie to doręczył mi pewien gentleman, który wylegitymował się należytemi dokumentami, opiewającemi na nazwisko Jerzego Orkisz. Słyszałem o tem, że przed paru miesiącami przybył do szanownego profesora jego bratanek, sądziłem przeto, że istotnie mam do czynienia z młodym panem Orkiszem... tymczasem...

— Ależ panie sędzio — przerwał niecierpliwie profesor — moim bratankiem jest ten oto młodzieniec, — przyczem wskazał w stronę Jurka.

Po chwili zaś dodał:

— Już wszystko rozumiem... to przykre, nadzwyczaj przykre nieporozumienie... prawdopodobnie ów zbiegły od nas oszust, ten jak go tam... Zarowski w ten sposób usiłował się zemścić za zdemaskowanie jego niecnych zamiarów... Widocznie szczególnie zależało mu na tem, aby utrudnić mojemu bratankowi powrót do Polski. Naszą winą jest, żeśmy w swoim czasie, przed trzema tygodniami, nie powiadomili o wszystkim, co wówczas zaszło, władz śledczych. Nie byłoby doszło do tej przykrej pomyłki, której ofiarą padł mój bratanek — i, zwracając się do Jurka, dodał:

— Podejdźże Jurku, abym cię mógł uściskać i prze prosić za przykrość, jaka cię spotkała.

Mr. James, który już zamierzał przyznać się do własnej winy, znalazł w słowach profesora niespodziewaną deskę ratunku, ułatwiającą mu salwowanie swego autorytetu. To też wnet podchwycił już tonem bardziej urzędowym:

— Tak jest, panie profesorze, to niewątpliwie wina wyłącznie pańska; należało niezwłocznie dać znać władzy śledczej, to jest mnie, o owym oszuście, który nadużył pańskiego zaufania, a potem zbiegł. Przyzna pan sam, że jako sędzia śledczy nie mogłem mieć żadnych wątpliwości co do autentyczności oskarżenia. Będąc zaś gorliwym w spełnianiu swych obowiązków, starałem się działać pośpiesznie i dlatego poleciłem natychmiast aresztować tego oto sympatycznego młodzieńca i jego towarzysza.

To powiedziawszy, sędzia zwrócił się do Jurka z udaną grzecznością:

— Sądzę, że nie będzie pan żywił do mnie urazy za tę niefortunną pomyłkę pańskiego stryja! Oczywiście pan i pański towarzysz jesteście wolni; natychmiast każę przynieść walizki i dokumenty panów.

Po chwili wahania dodał sędzia:

— Zapewne panowie zgodzicie się na to, aby całą tę przykrą sprawę puścić w niepamięć, a nawet zniszczyć wszelkie akty i protokoły. Nie wątpię, że dyskrecja obustronna będzie dochowana. Co zaś się tyczy owego oszusta, o którym dzisiaj dopiero, niestety, się dowiedziałem, imieniem władzy śledczej ośmielam się żądać od czcigodnego profesora, aby zechciał w najbliższych dniach złożyć na piśmie szczegółowe wyjaśnienia.

Jurek nie uważał za wskazane nawet podziękować sędziemu. Wprawdzie bolesne dlań było uchodzić za przestępcę, lecz to sprawa osobista — drugorzędna, natomiast krzywdę niczem niepowetowaną wyrządził sędzia, wstrzymując wykonanie jego misji i przerywając powrót do kraju.

Wszak już od dwóch tygodni byłby w Warszawie, już rozpoczęłoby akcję obronną, może nawet zdołanoby zbudować stacje falochłonne! — Tej krzywdy nikt i nic nie wynagrodzi.

Zamiast odpowiedzieć sędziemu, Jurek kiwnął tylko głową, gorzko się uśmiechając.

Profesor Jan, widząc przygnębienie bratanka, pragnął co prędzej zabrać go ze sobą na wyspę, gdzie chłopak mógłby wypocząć po przebytych trudach i zaznanych zgrzyotach.

— Dziękuję, panie sędzio — odrzekł śpiesznie profesor — oczywiście zgadzamy się na zachowanie całej sprawy w sekrecie, żądane zaś pismo zgłoszę w najbliższych dniach. Tymczasem żegnam pana, gdyż muszę zająć się moim bratankiem, który, jak pan widzi, nazbyt boleśnie odczuł to przykre nieporozumienie.

Znalazłszy się poza murami urzędu, profesor Jan ujął serdecznie Jurka pod ramię i w słowach, owianych ojcowską pieczołowitością, usiłował pocieszyć strapionego chłopca.

Profesor nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak polubił bratanka; być może, fluidy powinowactwa krwi spowodowały, że uczony, naogół obojętny w sprawach uczuciowych, był jednak serdecznie przejęty niedolą młodzieńca, pojmował jego stan duchowy, ocenił należycie najważniejszą przyczynę jego przygnębienia: troskę o losy zagrożonej Ojczyzny.

— Nie martw się! — przemówił do Jurka niczem troskliwy ojciec. — Strata dwóch tygodni da się jakoś powetować. Podczas twej nieobecności nie ustawaliśmy z Neuvilem w pracy nad odszukaniem eurazjatyckich

stacyj nadawczych i nad udoskonaleniem aparatów fa-
lochlonych. Nie mogę ci tak odrazu wszystkiego opo-
wiedzieć; jedno jest faktem, że osiągnęliśmy bardzo
poważne rezultaty. Gdy przyjedziemy do domu na
wyspę, dowiesz się równie wiele ciekawych nowin
o zamiarach Eurazjatów, gdyż parokrotnie udało nam
się asystować „wzrokiem i słuchem“ przy naradach
sztabu znanej ci Eurawiaty.

Słuchając słów stryja, Jurek poczuł odżywające
tętno swej dawnej energii; serdeczna troskliwość uczo-
nego obudziła w szlachetnem sercu młodzieńca uczu-
cie wdzięczności. Nie bacząc na liczny tłum prze-
chodniów, Jurek chwycił rękę stryja i gorąco przy-
cisnął ją do ust.

— Dzięki ci, kochany stryju — wyrzekł — za te
słowa otuchy. Wszak mówisz, że parotygodniowa
zwłoka da się powetować? Właściwie to już jutro
mógłbym przedsięwziąć na nowo podróż do Polski..
Tak, tak — począł gorączkować się Jurek — za go-
dzinę będziemy już w domu, dowiem się wszystkich
nowin, przez parę godzin odpocznę i... jutro rano od-
lecę samolotem do Nowego Jorku. Wszak nie odmó-
wisz mi, drogi stryju, zapomogi pieniężnej na podróż?

— Oczywiście, kochany Jurku — odparł profesor —
jeżeli istotnie uznamy to za konieczne, nie będę sprze-
ciwiał się twemu ponownemu wyjazdowi. Lecz..
lecz... widzisz nie mogę ci tu przy świadkach wszyst-
kiego mówić... — i nachylając się do ucha Jurka, wy-
szeptał:

— Eurazjaci jeszcze nie przygotowali swych bojo-
wych samolotów... przynajmniej tak było przed ty-
godniem. Tu oto w tej paczce mam pochwycone wczoro-

raj fonogramy — tu profesor Jan wskazał na niewielki pakunek, trzymany w ręce — zamierzałem je oddać naszemu zaufanemu detektywowi do przetłumaczenia. Wobec twego powrotu, byłoby to zbyt cenne, gdyż przewiduję, że Dębali i ty zastąpiacie tłumacza.

— Ależ oczywiście — odrzekł porywczo Jurek — jedźmyż już prędzej na wyspę, gdyż płonę z ciekawości.

— Możliwe — kończył profesor Jan przerwana myśl — że te fonogramy zawierają wiadomości, które wpłyną na zmianę naszego postępowania. Być może, twój wyjazd Jurku, okaże się już nie tak potrzebny, przynajmniej tak nagle. Lecz oto już przystań. Siadajmy do naszej motorówki i lepiej nie rozmawiajmy o tych sprawach w obecności kierowcy łodzi. Po tylu przykrych doświadczeniach bądźmy wreszcie ostrożniejsi.

Milcząco zasiedli nasi przyjaciele w łodzi, która, prując swym dziobem szare fale zatoki, unosiła ich rażno ku wyspie.

Dębali, który przez cały czas nie wtrącał się do rozmowy Jurka ze stryjem, zdawał się być zadowolony z takiego obrotu sprawy; podobało mu się życie na wyspie. Powrót do Polski nie nęcił go zbyt; cóż bowiem może go czekać w porzuconym przed laty kraju? Czy zostanie przy życiu swoją ongi ukochaną żonę? Czy pozna swego Henrysia, którego widział niemowlęciem? A może syn będzie się wstydził swego ojca... zdrajcy?...

Jurek niecierpliwie kręcił się na swoim miejscu i mimowoli wzrok kierował na ową paczkę, zawierającą fonogramy.

Co też one oznajmniają? Więc jeszcze nie ukończyli Eurazjaci wszystkich przygotowań? Zapewne jego i Dębala ucieczka trochę pokrzyżowała ich plany! Co też stryj miał na myśli, mówiąc, że być może jego wyjazd do Polski już nie będzie tak pilnie potrzebny. Czyżby udało się uczonym udoskonalić aparaty fałochłonne tak, iż mogą one działać na olbrzymie odległości, podobnie, jak telewizor! Prędeż, ach prędeż... dotrzeć do wyspy!

Profesor Jan obserwował grę niespokojnych myśli swego bratanka, malujących się na jego szczerem obliczu.

Jakże miłym był mu ten chłopiec?! — Dziwna rzecz, on uczony, oddany dotychczas wyłącznie swym badaniom naukowym, pokochał chłopaka jak własnego syna. Dzielny chłopak — to krew Orkiszów — zapalny jak pochodnia, odważny i szlachetny! — Tacy... tacy właśnie młodzieńcy, którzy w imię ideałów wielkich a bezinteresownych, choćby nawet fantastycznych, poświęcają ofiarnie swą energję, inteligencję i wolę, ciało i ducha... tacy właśnie stwarzają nowe życie... tacy zapaleńcy mocą swej wiary wykuwają nowe drogi dla siebie, współbraci, Ojczyzny i ludzkości!

Rozdział XI.

Miłość — poświęcenie — bohaterstwo.

W znanej nam sali obrad panowała w tej chwili głęboka cisza, którą dyskretnie mącił miarowy stuk zegarowego wahadła, przemierzającego cierpliwie niezgłębioną otchłań czasu. Łagodne światło lamp rtęciowych oświetlało postaci Jurka i Dębala, siedzących w skupieniu przy aparacie fonograficznym i zasłuchanych w wibracje membrany, które poprzez kauczukowe rurki docierały bezpośrednio do ich uszu.

— Zatem 11 listopada o godz. 8 rano postanowił zarząd Eurawiaty odbyć próbny lot całej flotyli automatów — przerwał ciszę Jurek.

Dębal, milcząc w dalszym ciągu, zapisywał pospiesznie dźwięki, dobywające się z drgającej płytki fonografu, który tym razem wiernie zanotował cały przebieg odbytej w dniu wczorajszym narady zarządu Eurawiaty. Jurek i Dębal już od dwóch godzin pracowali nad odcyfrowaniem fonogramu.

— Chwilę odpoczniemy — odezwał się Dębal. — Nigdy nie przypuszczałem, aby dokładne odtworzenie fonogramu było tak uciążliwe. Już chyba ze 20 razy reprodukowaliśmy cały zapis, a jednak jeszcze są pewne

braki. Obawiam się, czy zdążymy dzisiaj dokończyć tej żmudnej pracy.

Jurek spojrział na zegar, już było po piątej.

— Rzeczywiście, już po piątej — rzekł — a przecież mamy jeszcze odbyć naradę z profesorami, potem zaś wypadnie poczynić przygotowania do dzisiejszej obserwacji przez telewizor. Wszak to dzisiaj mamy 10 listopada, czyli że manewry samolotów eurazjatyckich powinniśmy dostrzec tu na Oldisland właśnie dzisiaj wieczorem; nie wiem tylko dokładnie, o której godzinie, powie nam to pan Vincent.

— Niby jakto? — zdziwił się Dębal. — Jeżeli manewry są zapowiedziane na 11 listopada, to jakże możemy je obserwować przez telewizor w dniu dzisiejszym, to jest dziesiątego listopada?

Dębal był człowiekiem prostym, niewykształconym, nie słyszał nigdy o takich dziwach, jak „południk zmiany daty“; gdyby nawet Jurek zechciał mu wyjaśnić tę kwestję, to i tak zapewne Dębal nie zrozumiałby, że gdy na zachodniej półkuli ziemskiej kalendarz głosi jeszcze datę dziesiątego listopada, to na wschodniej już rozpoczął się dzień następny.

Dlatego też Jurek wyrozumiale objaśnił swego starszego przyjaciela temi słowy:

— Nie omyliłem się, mówiąc, że właśnie dzisiaj dziesiątego listopada wieczorem możemy obserwować to, co dzieć się będzie w Eurawiacie w dniu jedenastym listopada. Widzicie, ojcie Dębalu, ziemia jest kulą i gdy tu u nas słońce już zachodzi, to poto, aby wzejść tam na wschodniej półkuli i rozpocząć swoją dzienną wędrówkę. Wierzajcie mi, że tak jest; może profesor Vincent lepiej to wam wytłumaczy kiedykolwiek przy sposobności.

— Niech i tak będzie — odparł obojętnie Dębal. — Nie jestem uczony, tyś mądrzejszy odemnie. No, ale cóż zrobimy z fonogramem — dodał — tembardziej nie zdążymy go dzisiaj dokładnie odczytać.

— Ja też myślę, że obecnie musimy przerwać naszą pracę — odrzekł Jurek — lecz to nic nie szkodzi, wszak już zapoznaliśmy się z treścią fonogramu. Właściwie z całej narady zarządu Eurawiaty dowiedzieliśmy się dwóch najważniejszych rzeczy; po pierwsze, że jutro, a raczej dzisiaj wieczorem odbędą się manewry całej floty automatów latających, i po drugie, że najdalej za 10 dni według rozkazu eurazjatyckiego sztabu flotylla napowietrzna ma być wysłana na zachodnią granicę.

Po chwili przerwy dodał Jurek ze smutnem westchnieniem:

— Być może, już za jakieś kilka tygodni zamierzają napaść na Polskę!

Posępna cisza zaległa znów salę. Zwątpienie, graniczące z rozpaczą i ufność, wynikająca z głębokiej wiary, targały naprzemian strunami uczuć młodzieńca.

— Nie czas rozpaczać, czyńmy wszystko, na co stać nasze wątłe siły; reszta jest w ręku Boga! — wyrzekł z mocą w głosie Jurek, zaś zwracając się do Dębala, dodał:

— Zatelefonuję do stryja, że już odczytaliśmy fonogram i poproszę, aby uczeni przybyli tu na zapowiedzianą naradę.

W kilka minut później do sali wszedł najpierw Orkisz z Neuviem, potem Wilson i wreszcie astronom.

Każdy z przybyłych pokolei niecierpliwie zwracał się do Jurka z zapytaniem, jakie też wieści zawiera

wczorajszy fonogram. Gdy już wszyscy profesorowie zebrali się w sali, Jurek objaśnił, że sporządzenie zupełnie dokładnego stenogramu zabrałoby jeszcze przynajmniej parę godzin czasu i że wobec tego ustnie zreferuje możliwie dokładnie cały przebieg obrad zarządu Eurawiaty.

— Dobrze pan uczynił, zaprzestając dalszej pracy nad szczegółami fonogramu — nadmienił astronom, zaglądając do swego nieodstępnego noratnika. — Jeżeli bowiem manewry są naznaczone na dzień 11 listopada o godzinie 8-ej rano, w takim razie powinniśmy już dzisiaj najpóźniej o godzinie 20 minut 30 zasiać przy stereoskopach.

— Oczywiście, jeśli chcecie, możecie patrzeć przez stereoskopy, jednak niezależnie od tego uruchomię jeszcze jeden aparat, rzucający dostrzegane obrazy na ekran — rzekł Orkisz i spojrzawszy na zegar, dodał:

— Lecz istotnie pospieszajmy z naradą, gdyż chciałbym również przygotować aparat do sfilmowania zapowiedzianych manewrów, a także dostroić do teleakustonu przyrząd, zapisujący dźwięki.

— Słuszne są uwagi kolegów Pawła i Jana — oświadczył Wilson — czas nagli, siadajcie panowie. Prosimy również o uczestnictwo w naradzie pana Jerzego i jego towarzysza. Pozwolicie panowie — ciągnął dalej Wilson — że obejmę przewodnictwo i zagaję obrady. Przedewszystkiem przypomnę pokrótce treść paru poprzednich fonogramów, uczynię to głównie dla pana Jerzego, który nie brał udziału w ostatnich dniach w naszych obserwacjach przez telewizor. Otóż teleakuston zdradził nam, że zbiegły Zarowski już zdołał porozumieć się ze swoim rządem i poinformować go

o przybyciu na Oldisland profesora Neuville'a i pana Jerzego. Również musiał on powiadomić Eurazjatów o naszych przygotowaniach, zmierzających do okazania pomocy Polsce, Rumunii i innym państwom na wypadek zbrojnego na nie napadu. Z tego, cośmy zasłyszeli, należy się domyślać, że wywiadowcy eurazjatyccy nie dali jeszcze za wygrane i zamierzają w dalszym ciągu utrudniać nam akcję. Zresztą przygoda, jaka spotkała naszych sympatycznych gości, pana Jerzego i jego przyjaciela, jest najlepszym potwierdzeniem tych domysłów — wtrącił nawiasem Wilson. — Na podstawie zasłyszanej przed tygodniem narady możemy z całą pewnością twierdzić, że wojownicza klika rządowa w Eurazji, pomimo odbywających się protestów ze strony spokojnej ludności, do której już dotarły alarmujące wieści z prasy zachodnio-europejskiej, nie zamierza bynajmniej odstąpić od swych planów wojennych. Wprost przeciwnie, według słów komisarza spraw wojskowych, które utrwalił nasz fonogram, rząd Eurazji pragnie przyspieszyć wypowiedzenie wojny bądź też nieoczekiwany najazd, gdyż obawia się interwencji Ligi Narodów i... wynalazków naszych genialnych fizyków, — tu spojrział wymownie na Neuville'a i Orkiszę. — Nazwiska Neuville'a i Orkiszę napawają wielkorządców eurazjatyckich panicznym strachem. O zamiarach przyspieszenia napadu świadczy również ten fakt, że jeszcze przed tygodniem flotyła bojowych samolotów nie była zmontowana, dzisiejszy zaś fonogram donosi, iż wszystkie aparaty mają już za kilka godzin uczestniczyć w manewrach. Oto retrospektywny rzut oka na wyniki dotychczasowych naszych wywiadów. Co czynić dalej? Posiadamy już poważne archiwum fotografii,

filmów i fonogramów, które są niewątpliwie świadectwem złych zamiarów Eurazjatów i monarchistów mityrskich. Czy i jak je zużytkować? Czy przedłożyć Lidze Narodów? Czy nie będzie jednak zapóźno? — oto pytania, na które dzisiaj powinniśmy dać odpowiedź, gdyż — powtarzam jeszcze raz — czas nagli, czas nagli!

Wilson skończył swe przemówienie. Posepną cisza zapanowała wśród obecnych. Zwłaszcza Jurek głęboko i boleśnie odczuwał grozę położenia. Jurkowi cisnęły się na usta słowa płomienne, nawołujące obecnych, ba... wszystkich ludzi kulturalnych, cały świat cywilizowany do przeciwdziałania zakusom piratów, do obrony jego Ojczyzny. Cóż jednak pomogą słowa? Tu należy działać, tu potrzeba czynów... sile należy przeciwstawić siłę, automaty-samoloty trzeba poprostu zwalczyć i zniweczyć!... Lecz w jaki sposób?

Jakby w odpowiedzi na trawiące młodzieńca pytania, zabrał głos profesor Neuvil:

— Jak panom wiadomo, przybyłem na Oldisland głównie w tym celu, aby wspólnie z kolegą Orkiszem pracować nad udoskonaleniem moich przyrządów falochłonnych. Liczne studia i doświadczenia, jakie od dłuższego czasu już przeprowadzamy, zostały uwieńczone pomyślnym skutkiem. Oto dzisiaj możemy obaj z kolegą Janem powiedzieć, że zdołamy obezwładnić każdą stację, emitującą fale elektromagnetyczne, chociażby najbardziej odległą. Twoja to głównie zasługa — zwrócił się Neuvil do Orkisz — kolego i przyjacielu Janie; gdyby bowiem nie promienie ultragamma i wytwarzane przez nie pole widzenia, nie zdołałyby moje pochłaniacze fal docierać swym wpływem do

miejsc dowolnie odległych. Wracając do pytań, postawionych przez profesora Wilsona, muszę zaznaczyć, że przeciwny byłbym szukaniu pomocy u Ligi Narodów. O ile wiem, Liga Narodów już od paru miesięcy jest dobrze poinformowana o wojennych zamiarach Eurazji i jakoś do tej pory nie chciała, czy też nie zdołała przeciwdziałać dalszym zbrojeniom wrogów pokoju. Wątpię, aby nasze wystąpienia, choćby nawet poparte dokumentami w postaci fotografii i fonogramów, mogły wpłynąć stanowczo na zmianę położenia. Cóż zatem mamy czynić? — Nietylko jako patrioci, lecz również jako ludzie kulturalni, obowiązani jesteśmy w miarę sił i możliwości stanąć w obronie zagrożonej cywilizacji i powszechnego pokoju. Proponowałbym przeto przyjęcie następującego planu dalszego działania. Przedewszystkiem należy niestrudzenie śledzić przy pomocy telewizora i teleakustonu dalsze kroki Eurazjatów i pilnie obserwować, co się dzieje na odnalezionych przez nas stacjach nadawczych, mieszczących się wzdłuż zachodniej granicy Eurazji. Gdy zaś nadejdzie decydująca chwila, to znaczy, gdy napastnicza flotyła automatów latających ruszy do ataku, wówczas powinniśmy uruchomić nasz aparat, pochłaniający fale elektromagnetyczne i obezwładnić w ten sposób stacje, przekazujące automatom siłę pędną. Do tego wystarczy, oczywiście po odpowiednim nastawieniu pola widzenia, nacisnąć klamkę, umieszczoną z prawej strony mego stereoskopu — chętnie dorzucił Neuville. — Jestem przekonany, że ani jeden automat nie przeleci wówczas zachodniej granicy Eurazji.

Jurek wprost pochłaniał słowa Neuville'a, które tchnęły gorącym uczuciem i nawoływały do stanow-

czych kroków bez oglądania się na obcą i niepewną pomoc. Gdy zaś usłyszał, że wystarczy „pocisnąć klamkę“, to znaczy włączyć prądy do aparatów falochłonnych, aby zniszczyć nieprzyjacielskie samoloty, nie mógł poprostu opanować łez wzruszenia, cisnących się do oczu. Niby spazm radości przeszył jego mózg i serce; w duszy chłopca zapłonęło znów żywym ogniem przytłumione zarzewie nadziei; oczy Jurka, jaśniejące zapałem i wiarą, rzucały dziękczynne wejścia w stronę stryja Jana i Neuville.

Po Neuville zabrał głos pan Paweł, mówiąc: Plan Neuville zasadniczo podoba mi się. Nie zgadzam się tylko z jego zdaniem co do pominięcia Ligi Narodów. Nie powinniśmy zaniedbać żadnej okazji do ogłoszenia światu, że oto garstka ludzi złej woli, która przypadkowo doszła do władzy, usiłuje wzniecić pożar wojny i znów pogrozić nieszczęsnych mieszkańców globu ziemskiego w otchłani nędzy. Dlatego też jestem zdania, że jednak należy poinformować o wszystkim delegata Stanów Zjednoczonych do Ligi Narodów i dać mu odpowiednie dokumenty, aby mógł skutecznie oskarżyć mącicieli pokoju na tak poważnym forum światowym, jakim jest Liga.

Profesor Jan słuchał wprawdzie pilnie słów kolegów, jednakże od czasu do czasu spoglądał niecierpliwie na zegar; widocznie co rychlej pragnął udać się do laboratorium w celu poczynienia przygotowań do wieczornej obserwacji. Aby przyspieszyć zakończenie dyskusji, poprosił o głos i krótko oznajmił:

— Sądzę, że będę wyrazicielem opinii wszystkich tu zebranych, jeżeli zaproponuję następujące uzgodnienie poglądów. Zasadniczo godzimy się na plan dzia-

łania kolegi Neuville. Co zaś dotyczy posiadanych przez nas dokumentów, świadczących o wojennych zakusach Eurazji i ewentualnego zużytkowania ich przez delegata do Ligi Narodów, to uważałbym za wskazane pozostawić tę sprawę uznaniu i decyzji kolegi Wilsona, który udałby się w tym celu do Washingtonu, aby osobiście omówić ją z dyplomatami.

Z temi słowy profesor Jan powstał ze swego krzesła.

— Panowie możecie dyskutować w dalszym ciągu — dodał — ja zaś muszę śpieszyć do laboratorium, aby zdążyć na czas przygotować aparaty do dzisiejszej obserwacji, którą najdalej za dwie godziny należy rozpocząć.

W tym momencie zadzwieczał telefon: dozorca portu oznajmił, że ślizgowiec pocztowy przywiózł między innymi dwa polecone i pilne listy — jeden do profesora Orkisz, drugi zaś do pana Jerzego.

Jurek powstał, aby wyjść razem ze stryjem. Dębał, który podczas narady siedział niczem na niemieckim kazaniu, poszedł śladem Jurka.

Wiadomość o nadejściu listu uradowała Jurka, przewidywał bowiem, że przynosi on wieści od Hani, lub Andrzeja. Widocznie zaniepokojeni o jego losy, oczekujący nadaremnie z dnia na dzień zapowiedzianego przezeń powrotu do Warszawy, zdecydowali się na wysłanie listów na Oldisland.

Szybko zbiegł Jurek po schodach na parter, gdzie zwykle dozorca pozostawiał korespondencję.

Rzeczywiście na stole znalazł zapowiedziane listy. Chłopak niecierpliwie rozerwał kopertę, dobył z niej blankiet autotelegraficzny, na którym wi-

dniała wierna kopja odręcznego pisma z podpisem Andrzeja Skalskiego. Jurek przebiegał oczyma zapisane wiersze. W miarę czytania, pogodny dotychczas wyraz jego oblicza stopniowo się zasepiał, oczy młodzieńca niespokojnie sunęły wzdłuż szeregów wyrazów, usiłujących nadaremnie osłabić wrażenie posępnych wieści, zawartych w ostatnich zdaniach listu. Niepokój ogarnął Jurka. Jakieś nieszczęście dotknęło Hanię! — przemknęło w myśli młodzieńca i wzrok jego niecierpliwie ogarnął końcowe zdania listu, zawierające smutną prawdę: — Hania została porwana! — usilne kilkodniowe poszukiwania nie dały wyniku!

— Wielki Boże! — krzyknął Jurek w rozpacz i, rążony okrutną wieścią, zatoczył się na stojący obok fotel.

— Co ci jest, Jurku?! — zawołał przerażony zachowaniem bratanka profesor, który właśnie zeszedł ze schodów.

Jurek nie mógł zdobyć się na słowa i drżącą ręką podał stryjowi list.

Profesor przeczytał pismo; nerwowo skurcz przebiegł po jego obliczu.

Czyż to możliwe, aby w kraju cywilizowanym, w połowie dwudziestego wieku, porywano z ulicy w biały dzień bezbronne dzieci?! — Gdzież władze bezpieczeństwa? Któż mógł się na to ważyć, a przytem w jakim celu, wszak Hania to jeszcze dziecko — półgłosem wyrzekął profesor.

Jurek nie słyszał, co się wokół niego działo. Niespodziewana i okrutna wiadomość ugodziła w sam rdzeń jego fizycznych i duchowych władz, nawet

łzy nie zdołały spłynąć z jego oczu, zaś ciało i duch zastygły w bolesnym bezwładzie.

Dębał milcząco obserwował całą scenę; nie usiłował nawet pytać o szczegóły złych nowin. Oddawna przywykł do tego, że życie, przynajmniej jego, nastęrcza więcej powodów do smutku, niż do radości. Znał przytem dobrze Eurazjatów i przewidywał, że zbiegły Zarowski nie łatwo ustąpi z pola walki i że jeszcze nie koniec złych przygód.

Widząc bezmiar cierpienia Jurka, Dębał niby troskliwa nianka objął chłopca swemi silnemi ramionami i przeniósł do sąsiedniego gościnnego pokoju, aby ułożyć go wygodnie na łóżku; sam zaś zagłębił się w fotelu i, ćmiąc papierosa, zapadł w swą zwykłą zadumę.

Profesor Jan ze szczerem współczuciem spoglądał na zboliałe oblicze spoczywającego w bezruchu bratanka.

— Nieszczęsny chłopcze — dumiał uczony — takąż to nagrodę przeznaczył ci los za twe szlachetne zamiary?! Zaiste jest to prawem natury, że droga do wielkich i wzniosłych celów prowadzi zawsze przez labirynt cierpień i ciężkich zmagań.

Tylko zahartowany w ogniu walk, strudzony przewyciężaniem przeszkód wędrowiec godzien jest oglądać majestat i piękno, jakie roztaczają niebosiężne szczyty wzniosłych ideałów.

Zleciwszy Dębałowi opiekę nad Jurkiem, profesor powrócił do hallu i sięgnął ręką po list do niego zad adresowany; czyżby też zawierał niepomysłne wieści?

List był pisany na maszynie, oto jego brzmienie:

„Dzięki swym wynalazkom posiadł pan tajemnicę naszych zamiarów, mających na celu wyzwolenie ludz-

kości z jarzma odwiecznych przesądów burżuazyjnych. Widocznie za namową swego bratanka Jerzego Orkisz, młodzieńca o chorobliwej wyobraźni, porzucił pan swe spokojne zajęcia naukowe poto, aby nierozważnie wtrącać się do polityki światowej i utrudniać nam, pionierom „światła od wschodu“, spełnienie wysokiego posłannictwa. Pański bratanek został już doraźnie ukarany; siostra jego, a pańska bratanica, est w naszej mocy! Ostrzegamy, że dalsza akcja ze strony pana, wyrażająca się bądź publikowaniem wiadomości o naszych poczynaniach, bądź też w czynnym przeciwdziałaniu naszym zamiarom, pociągnie za sobą represje w stosunku do zakładniczki. Przypuszczamy, że nie zechce pan narażać niewinnej i bezbronnej istoty na cierpienia, że zatem zaprzestanie pan dalszych wystąpień przeciwko nieugiętej woli i niezłomnym zamierzeniom rządu Eurazji“.

— Cóż za cynizm i podłość! — wyrzekł profesor Jan, oburzony do głębi duszy. — Pionierzy „światła od wschodu“, wyzwalający ludzkość z jarzma niewoli burżuazji — jakaż ohydna przewrotność! Na coś podobnego stać tylko Eurazjatów!

Porwali podstępnie tego oto nieszczęsnego chłopca, w sposób bandycki zamierzali zdobyć moje wynalazki, a teraz ośmielają się terorem wymóc na nas zaniechanie wszelkiej obrony. Nikczemność plugawych wyrodków, zniestrwiających cały rodzaj ludzki!

Spokojny zazwyczaj uczony wprost wzdrygał się ciałem i duszą wobec takiego przejawu zwyrodnienia.

Toż nietylko on, profesor Orkisz, lecz chyba cały świat, wszyscy ludzie, posiadający choćby najelementarniejsze poczucie moralności, powinni co rychlej wy-

stąpić przeciwko podobnym potworom i unieszkodliwić je.

Drżący z gniewu profesor udał się zpowrotem do sali, gdzie zastał jeszcze przyjaciół.

— Oto, jaki list otrzymałem — rzekł zmienionym z oburzenia głosem — oto dokument, świadczący o wielkości haseł i szlachetności metod postępowania wojującego komunizmu!

Papier przechodził z rąk do rąk, wywołując głośne wybuchy oburzenia wśród uczonych. Już zegar wydzwonił godzinę siódmą.

— Nie sądzę, aby ów list zuchwałych barbarzyńców miał być przeszkodą w naszych dalszych poczynaniach — odezwał się Wilson z istic amerykańską flegmą — przynajmniej w dzisiejszej obserwacji manewrów. — Po chwili zaś dodał:

— Co zaś dotyczy zapowiedzianych przez złoczyńców represyj w stosunku do tej nieszczęsnej dziewczki, to istotnie musimy się dobrze zastanowić, w jaki sposób uchronić niewinną ofiarę od zemsty tyranów. A może to tylko czcze pogroźki w celach szantażu?

— Niestety, nie — odrzekł Orkisz — Jurek otrzymał jednocześnie list od swego przyjaciela z Warszawy, zawiadamiający, że zbrodniarze porwali niewinną Hanię już przed kilku dniami i dotychczasowe poszukiwania okazały się nadaremne.

— To zmienia postać rzeczy — wtrącił się do rozmowy Neuvil. — Wobec tego zaproponowany przeze mnie plan naszej akcji wypadnie zapewne zmienić. Wszak nie możemy poświęcać niewinnej istoty, niepojmującej nawet, za co jej kazano cierpieć! Lecz

narazie odłożmy te smutne sprawy, może zdołamy obmyślić jakieś skuteczne sposoby walki z przewrotnością Eurazjatów.

— Tak jest — dodał astronom — pomyślmy nad tem, tymczasem zaś należy niezwłocznie udać się do laboratorium na obserwację manewrów. W każdym razie uważam za wskazane poczynić zdjęcia filmowe i fonogramy. Może jednakże Liga Narodów...

Astronom nie zdołał dokończyć swej myśli, gdyż profesor Jan, a za nim pozostali, spojrzawszy na zegar, śpiesznie opuścili salę, udając się wprost do laboratorium na wieży antenowej.

* * *

Łagodne niebieskawe światełko nocnej lampki za ledwie rozpraszało mroki, zasnuwające wewnątrz pokoju oparem smutku. Posępną ciszę przerywały od czasu do czasu bolesne westchnienia z piersi Jurka, spoczywającego jeszcze w bezruchu.

— Może ci potrzeba czego, Jurku — troskliwie zapytał Dębaj półgłosem, jakby obawiając się zmać ciszę, kojącą ból serdeczny.

Jurek nie odpowiedział, dopiero po dłuższej chwili dźwignął się z trudem, przysiadł na łóżku i dobywając głosu z zamarłej piersi, szeptem zapytał: która godzina?

— Już po ósmej — odparł Dębaj i widząc osłabienie chłopca, dodał — może pomógłbym ci rozebrać się, jesteś osłabiony, połóż się, sen wzmocni twe siły.

— Spać nie mogę i nie będę..., wszak już za kilka godzin... trzeba mi się zbierać w drogę, aby zdążyć na samolot... jutro rano do Warszawy... — siląc się na słowa, mówił Jurek.

— Czy pojedziecie ze mną, ojcze Dębalu? — zapytał i nie czekając odpowiedzi, szeptał dalej jakby do siebie:

— Może lepiej zostaćcie tu... ja bo muszę jechać, aby odnaleźć Hanię... to Zarowski ją porwał, albo pobratymcy... udam się do nich... upokorzę się, byle mi oddali moją siostrzyczkę najdroższą... — szeptał Jurka nabierał mocy i stopniowo przeszedł w rozdzierające serce łkanie.

Dębal, stąpając cicho, zbliżył się do chłopca, położył miękko rękę na jego głowie i wstrzymując łzy, cisnąc się do oczu, jął przemawiać:

— Pojedziemy razem... Tyś mnie wskrzesił do życia, jakżebyś mógł żyć bez ciebie. Razem pójdziemy na dolę i niedolę. Odnajdziemy Hanię — znam ja kryjówki komunistów...

— Czy jednak pewni jesteście, że Hanię porwał Zarowski? — zapytał Jurek.

— Jeśli nie sam Zarowski, to inny na jego zlecenie; chcą cię w ten sposób sterroryzować, abyś nie przeszkadzał w ich niecnej robocie; znam ja ich dobrze...

— Gdybym tak udał się do Zarowskiego... i przyobiegał mu milczenie... może odzyskałbym Hanię — prawda? — cicho i jakby ze wstydem pytał chłopak.

— Można i tak, w każdym razie należy postępować bardzo ostrożnie, a nawet chytrze — odparł Dębal. — Dla takich, jak Zarowski, wszelkie obietnice i zapewnienia, to czczy przesąd burżuazyjny; z nimi można walczyć tylko podstępem, albo terrorem — własną ich bronią.

— Myślę, że trzeba ich będzie czemś zastraszyć;

naprzykład w ten sposób, że jeżeli nie oddadzą Hani, to zdradzimy Polakom rozmieszczenie tych, jakże tam ... stacyj nadawczych. A może wymyślimy jeszcze innego na nich straszaka — zakończył Dębal.

Rady Dębala targnęły strunami uczuć młodzieńca. Fałszywie jednak brzmiał mu ten akord wewnętrzny. Prawdą jest, że aby okupić wolność najdroższej siostry, oddałby swe życie, ochoczo poszedłby na męki i katusze, lecz... lecz splamić honor i ukorzyć się przed podłością! stać się zdrajcą..., boć zdradą byłoby milczeć wówczas, gdy ujawnienie sekretu mogłoby przynajmniej umożliwić obronę!

I znów walka, walka pomiędzy gorącą miłością braterską i obywatelskiem poczuciem honoru zawrzała w zboląlej Jurkowej duszy.

Być może, Dębal dostrzegł, a może wyczuł swym ojcowskim instynktem, że jego młody przyjaciel, którego pokochał, jak syna, popadł w ciężką duchową rozterkę, gdyż, jakby pragnąc skierować jego myśli na inne tory, rzekł:

— Już jest godzina dziewiąta. Jeżeli mamy jutro rano jechać, trzeba, abyś poszedł do stryja i oznajmił mu o swych zamiarach. A może otrzymasz nowe wskazówki, bądź zlecenia? No, i nie mamy pieniędzy na podróż.

Te słowa oprzytomniły chłopca; powstał, przemierzył chwiejnym jeszcze krokiem kilkakroć pokój tam i zpowrotem i zatrzymując się przed Dębalem, rzekł już mocniejszym głosem:

— Tak, pójdę do stryja, pomówię z nim o wszystkim, co dręczy umysł i serce.

Z temi słowy Jurek opuścił pokój i udał się po-

przez wewnętrzne korytarze do prawego skrzydła budynku, mieszczącego gabinet i laboratorium stryja.

Sunąc niby widmo przez puste korytarze, Jurek usiłował przywrócić spokój i zdolność rozumowania, które, zdało się, bezpowrotnie go opuściły. Płomienie szlachetnych i wzniosłych uczuć, w których hartowała się dotychczas jego wola i rozum, przygasły stłumione serdecznym bólem po stracie ukochanej siostry. Zwątpienie i rezygnacja znalazły dostęp do jego duszy. Wprawdzie bliski jest swego celu, wprawdzie zdołał pozyskać stryja dla wielkiej sprawy obrony, wprawdzie uczeni posiadają już możliwość obezwładnienia wrogich stacyj nadawczych, lecz... lecz to nie osłodzi Haninej niedoli, uczeni nie zdołają wyrwać jej ze szponów złoczyńców.

Czemże zatem mogą być dla Jurka wszelkie radości, bądź smutki życia — wobec najboleśniejszej straty?! Toż samo życie nie ma już dlań żadnego uroku!

Jurek ocknął się z zadumy, znalazłszy się w pokoju, sąsiadującym z gabinetem stryja, który przed niespełna miesiącem był widownią tragicznej sceny, zakończonej śmiercią Skatyńskiego. W pamięci chłopca odżyły wspomnienia owego dnia. Gdyby nie cudowne wprost zrządzenie losu, gdyby nie przybył w ostatniej chwili na wyspę — stryj Jan, Neuville i ich laboratorja i wynalazki — wszystko przepadłoby bezpowrotnie. Może i teraz... Opatrzność sprawi, iż uda mu się ocalić Hanię i wyrwać ją z rąk oprawców!

Pod wpływem tych wspomnień stłumione gromem nieszczęścia zarzewie wiary ożyło nanowo w sercu młodzieńca. Zwątpienie i bierność uległy w walce

z odradzającą się w jego sercu wiarą i ufnością w lepsze jutro.

— Jutro jadę do Warszawy — szeptał do siebie z mocą — sekrety i plany wynalazków, zwłaszcza aparatów falochłonnych, o których skuteczności wyraził się tak stanowczo Neuville, powierzę Naczelnemu Dowództwu; sam zaś oddam się duszą i ciałem jedynej sprawie — uwolnienia Hani! Przetrwiałem przecież szczęśliwie już niejedną ciężką przygodę, może Bóg da, że i w przyszłości przetrwam i... uratuję Hanię!

Z pokoju, w którym Jurek się znalazł, można było windą dostać się do sali, mieszczącej aparaty telewizyjne. Aby jednak nie przeszkadzać profesorom, którzy zapewne w tej chwili byli zajęci obserwowaniem manewrów, Jurek udał się na górę po wąskich krętych schodkach.

W miarę zbliżania się do sali, mieszczącej telewizor, dochodziły uszu młodzieńca coraz wyraźniejsze odgłosy dźwięków, dobywających się z teleakustonu. Drzwi wejściowe do sali laboratoryjnej były niedomknięte. Stanąwszy na progu, Jurek dostrzegł ukazujące się na ekranie obrazy, które obudziły w nim żywe wspomnienia minionych przygód.

Oparty o framugę drzwi, przyglądał się chłopak widniejącej na ekranie panoramie odległej o 20.000 kilometrów Eurawiaty. Oto widać znaną mu kopulastą wieżę, mieszczącą noktowizory; oto zatoka morska, pamiętna z owej wycieczki łodzią, kiedy to Jurek zawarł serdeczne przymierze z Dębalem; oto baraki i hangary, w których w pocie czoła pracował... Lecz... już rozpoczęły się manewry...

Niby stado krwiożerczych sępów, zerwała się pierwsza eskadra automatów w liczbie dziesięciu, prowadzona przez większy samolot dowódcy, wnet za pierwszą — drugą, trzecią..., dziesiątą... Zaroiło się w powietrzu od drapieżnych ptaków, oznajmiających ochryplym terkotem śmigieł, iż groźne są ich szpony, piersi zaś dyszą żądzą krwi i mordy.

Uczeni, przywarłszy oczami do szkieł stereoskopów, z zapartym oddechem śledzili ruchy latających automatów.

Głośnik teleakustonu drgał głuchym, basowym tonem tysiąca wirujących śrub powietrznych. Automaty zataczały w powietrzu spiralne kręgi, wznosząc się coraz wyżej.

Nie odrywając wzroku od szkieł stereoskopu, odezwał się Wilson:

— Już setka eskadr wzniosła się w powietrze. Rząd Eurazji ma zatem do dyspozycji tysiąc gotowych do boju latających automatów. Jest to pokaźna liczba. O ilej się nie mylę, to Stany Zjednoczone posiadają niewiele więcej samolotów bojowych. Zaiste groźna potęga!

— No i cóż z tej groźnej potęgi — nadmienił pogardliwie astronom — skoro mój sąsiad, kolega Neuville, mógłby ją w ciągu paru minut zniweczyć jednym nieznanym pociśnięciem klamki, włączając prąd do swego aparatu falochłonnego. Raz wreszcie skończyłaby się ta eurazjatycka tragikomedja. Dalibyśmy porządną nauzkę mącicielom pokoju i uwolnilibyśmy raz na zawsze ludzkość od dławiącej ją zmory! Sami zaś moglibyśmy spokojnie powrócić do naszych pierwotnych planów — podróży międzyplanetarnej.

— Nic nowego nam nie powiedziałaś, kolego Pawle — niespokojnie i opryskliwie wtrącił profesor Jan — wiemy to wszyscy doskonale. Sam jednak rozumiesz, że narazie nie możemy ważyć się na żadne czynne wystąpienia. Czytałeś przecież list, który dzisiaj otrzymałem i sam byłeś zdania, że nie należy przedsiębrać agresywnych kroków przeciwko Eurazjatom, dopóki siostra Jurka, a moja bratanica, jest w ich mocy.

Ofuknięty w ten sposób pan Paweł, spostrzegł swój nietakt i pokornie się usprawiedliwił:

— Przecież nikt z nas nie uczyniłby tego. Wreszcie gdyby nawet i zechciał, aparat falochłonny nie jest zapewne odpowiednio nastawiony...

— Przeciwnie — wtrącił Neuville — aparat falochłonny właśnie jest połączony z mechanizmem projektora, wyznaczającego pole widzenia i nastawia się automatycznie w ten sposób, aby w każdej chwili mógł być użyty. Lecz niema o czym mówić — zdecydowaliśmy narazie ograniczyć naszą akcję do obserwacji i wstrzymać się od czynnych wystąpień.

Słowa astronoma, kryjące kuszącą myśl „zakończenia tej eurazjatyckiej tragikomedji“ i „uwolnienia ludzkości raz na zawsze od dławiącej ją zmyry“ zapadły głęboko w świadomości Jurka, przestaniając doraźnie wszelkie troski serdeczne o losy Hani.

„Pocisnąć klamkę i... uwolnić raz na zawsze...“ — huczało w głowie młodzieńca, niczem tony spiżowe rozkołysanych dzwonów.

„Raz na zawsze uwolnić Polskę od dławiącej ją zmyry“ — niby błyskawica zajaśniało w myślach



ГОРДЕЧУК

Jurka. A Hania?! Cóż stanie się z Hanią?! — jęło wołać rozpacznie serce braterskie.

Salus Reipublicae — suprema lex — przedewszystkiem Ojczyzna — a potem prywata! — zagrział mocarny nakaz wewnętrzny.

Zasłuchany w tętno własnego serca, zapatrzony w głębię swej duszy — młodzieniec sunął bezszelstnie, niczem zjawa, w kierunku połyskującej w mroku czarownej klamki.

Jeszcze jeden posuwisty krok... i włącznik, przyściśnięty pewną i silną dłońią, wpił się w swe miedziane łożysko.

Uczeni nie zdołali nawet dostrzec zastygłej w bezruchu postaci Jurka. Dopiero suchy trzask wyładowań elektrycznych oznajmił im o nieoczekiwanem działaniu aparatu, emitującego promienie falochłonne.

Jurek całą mocą swych naprężonych mięśni naciśnął włącznik, jakby w obawie, że ktoś ośmieli się czynnie okazać sprzeciw jego woli.

Oniemiali ze zdumienia uczeni oderwali oczy od stereoskopów. Źrenice ich, znużone długotrwałą obserwacją, z trudem dostrzegły postać młodzieńca, opierającego dłoń na włączniku.

— Jurku, cożeś uczynił?! — jakby z wyrzutem zapytał Orkisz — a Hania? Cóż stanie się...

Nie zdołał dokończyć profesor Jan złowieszczego pytania, w tym momencie bowiem ukazał się na ekranie obraz spadających, jakby śmiertelnie ugodzone ptaki, obezwładnionych automatów.

Z teleakustonu jęły dobywać się okrzyki trwogi, odgłosy wrzawy i zamieszania, przeciągłe i żałosne

jęki syren i sygnałów alarmowych, przerywane ostrym świstem spadających z ogromnej wysokości samolotów.

Po kilku minutach ekran zajaśniał znów żywymi barwami spokojnego i pogodnego krajobrazu. Na błękitnym tle nieba nie było widać ani jednej sylwety żelaznego ptaka!

Groźne jeszcze przed kilku minutami automaty latające utworzyły rumowiska nieużytecznego żelazstwa.

Moc wiary, hart woli i potęga rozumu — uwolniły ludzkość od dławiącej ją zmory.

Epilog.

Uśmiechy i łzy szczęścia.

Zima tegoroczna wcześniej przyoblekła wschodnie rubieże Polski w swe śnieżne szaty. Już w połowie listopada spadły obfite śniegi. Zimne powiewy ze wschodu wtargnęły doliną Prypeci, miotając tumany sypkiej i gęstej zamieci. Zwały białego osypu zległy na bajorach i trzęsawiskach Łuninieckiej puszczy i przyodziały bory w białośnieżne burnusy.

Nieswojo czuła się ziemia w narzuconym jej przedwcześnie przyodziewku zimowym. Tu i ówdzie silniejszy podmuch wichru rozdzierał biały całun, ukazując torfiasty grunt, zrywał z drzew pierzaste białe czapy i szeleścił pożółkłymi liśćmi. Również bajora, rozlewiska i leśne strumyki nie dawały się odrazu okiełznać lutej zimie i żarłocznie pochłaniały śnieżne płatki, miotane wichrem w ich gardziele.

Parę dni szalała zamieć śnieżna w Nadłańskiej puszczy w dorzeczu Prypeci, pomiędzy jej dopływami Łanem i graniczną Słuczą.

Nieliczni rybacy i osadnicy, zamieszkujący tę połąć kresów, skryli się do swych drewnianych chat, o które z żałośliwym jękiem obijały się parte wichrem, śnieżne tumany.

Nawet na szerokim szlaku szosowym, przecinającym puszcę ze wschodu na zachód, zrzadka tylko można było ujrzeć ubieloną postać wędrowca. Od paru dni ani jeden zaprzęg nie ukazał się na szosie; płozy sań nie tknęły jeszcze dziewiczego śniegu.

Na skraju obszernego trzęsawiska, gęsto usianego wodnemi taflami bajor, tuż przy szosie, widniał domek i zabudowania gospodarskie dozorca drogowego Kruka.

Była godzina popołudniowa. Śnieg przestał padać. Szare chmury, znużone parodniowem miotaniem śnieżnych tumanów, szarpane porywistym wichrem, jęły odślaniać błękit nieba. Ponad uchodzącą na zachód zamiecią wystrzeliły złotawe smugi promieni, wysyłanych przez ukryte za czernią chmur, chylące się ku zachodowi, słońce.

Skrzypnęły drzwi w domu dozorca i na progu ukazały się kolejno dwie męskie postaci.

— A to nas zasypało — odezwał się jeden z mężczyzn — niechno pan spojrzysz wokół, panie Andrzeju. Kilka dni temu, gdy tu przybyłem, była jeszcze piękna pogoda jesienna. Puszcza mieniła się złotem i czerwienią wędnących liści, a teraz oto rozciąga się przed nami krajobraz łąki północny. Wszak podobno parę dni temu i w Warszawie była piękna, a nawet ciepła pogoda.

— Tak jest — odparł Andrzej Skalski, gdyż on to właśnie był — gdy wyjeżdżałem z Warszawy przedwczoraj rano, było pogodnie, a nawet dosyć ciepło; lecz już pod Łunińcem złapała nas zamieć śnieżna. Szczęśliwie, że natrafiłem na jakiegoś zapóźnionego chłopka, który wracał furmanką do domu i podwiózł mnie kilka kilometrów; inaczej musiałbym chyba do dzisiaj pokutować na stacji kolejowej.

Andrzej obrzucił wzrokiem okolice; wejrzał ku zachodowi na białą smugę szosy, rozcinającej gestwinę leśną, poczem zatroskane spojrzenie skierował ku widniejącej na północy ścianie boru, okalającej polanę.

— Tam oto w odległości kilku kilometrów, w pounurej chacie, zaszytej w głębi ciemnego boru, złoczyńcy uwięzili Hanię... Tak przynajmniej twierdzi obecny tu pan Dębski, wywiadowca, który już od dziesięciu dni wpał na trop szpiega Razowskiego i jego pomocników.

— Panie Dębski — zwrócił się Andrzej do towarzysza — czy aby jest pan pewny, że bandyci nie skorzystali z zamieci i nie umknęli wraz z więzioną dziewczyną poprzez granicę na terytorjum Eurazji.

Kierownik wywiadu, Henryk Dębski, do którego Andrzej zwrócił się z zapytaniem, był to niewielkiego wzrostu barczysty mężczyzna, lat około trzydziestu, ubrany w wygodny strój sportowy. Krępa lecz ruchliwa postać wywiadowcy znamionowała wielką siłę i sprawność fizyczną, spokojny zaś i przenikliwy wyraz jego szaroniebieskich oczu świadczył o inteligencji i mocy charakteru — tych najistotniejszych cechach człowieka, jego zwłaszcza zawodu.

Dębski nie odpowiedział odrazu Andrzejowi, lecz rozglądał się badawczo po okolicy, szczególnie w kierunku północno-wschodnim, jakby wypatrując spodziewanego przybysza.

Dopiero po dłuższej chwili dostrzegł widocznie coś niezwykłego na skraju lasu, gdyż z zadowoleniem zartał ręce i rzekł:

— Wątpię, czy zdołaliby wymknąć się moim zuchom, którzy od czterech dni pilnują chaty Oleksiuka. Dałem wyraźne rozkazy: wolno wpuścić każdego przy-

bysza, lecz nikt nie śmie wydostać się z chaty poza kordon straży. Zresztą wnet się dowiemy, gdyż oto nadbiega jeden z moich ludzi; widocznie ma ciekawe nowiny, skoro tak śpieszy, nie żałując nóg.

W chwilę później z krzaków przydrożnych wychyliła się zaśnieżona postać młodego wywiadowcy, który słuźbiście zbliżył się do swego zwierzchnika i zameldował:

— Przybyłem z raportem.

— Może pan mówić, — rzekł Dębski — obecny tu pan Skalski jest naszym sprzymierzeńcem. Odejdźmy trochę na bok... ot, tam siądziemy sobie na zwalonym pniu... no i mów pan.

Przybysz odrzucił z głowy zaśnieżony kaptur i otarłszy chustką pot, obficie spływający mu z czoła, głosem jeszcze zadyszany meldował:

— Przed trzema godzinami przybył do chaty Oleksiuka sam Razowski; przedostał się przez puszcę ze strony północnej, przyniósł ze sobą małą skórzaną walizkę. Oleksiuk od wczoraj nie wychodził z chaty. Jego starucha też nie pokazywała nosa na dwór. Wczoraj z wieczora podkradłem się do okna i widziałem panienkę — klęcząc, modliła się — starucha krzątała się koło kuchni. Oleksiuk spał w sąsiedniej izbie.

— Jakie będą dalsze rozkazy, panie naczelniku — zakończył młodzieniec.

Dębski, widocznie zadowolony, zatarł znów ręce swoim zwyczajem i przeszedłszy parę kroków tam i zpowrotem, zatrzymał się przed podwładnym, oznajmiając krótko:

— Pójdziecie do żony dozorczy Kruka, poprosicie, aby wam dała jeść; odpocząwszy chwilę, najdalej za

pół godziny ruszycie zpowrotem; o godzinie 6-iej powinniście być na miejscu. W ciągu dwóch godzin wszystkie posterunki ściągnąć na ćwierć kilometra odległości od chaty. Nie wypuścić nikogo poza kordon. W razie potrzeby użyć broni. O ósmej przybędę i osobiście wydam dalsze zarządzenia.

— Rozkaz! — odparł służbiście młodzieniec i ruszył w kierunku domu.

— Dobra nasza, panie Andrzeju — zwrócił się Dębski do Skalskiego — już się pan chyba uspokoił. Nie wywieźli panienki — prawda?! A widzi pan, że należy być zawsze cierpliwym. Tylko spokój i zimna krew. Przedwczoraj robił pan gwałt, aby zaraz uwolnić pannę Orkiszównę. No i cóżby było z tego? Uwolnilibyśmy wprawdzie panienkę, lecz najgłówniejszy ptaszek wyfrunąłby nam wraz z całą korespondencją szpiegowską. A teraz, wszystko odbędzie się tak, jak to przewidziałem. Razowski przybył, przyniósł ze sobą papiery, które zamierza wysłać do Eurazji... Capniemy go dzisiaj wieczorem... i jego walizeczkę też... a może znajdziemy jeszcze co ciekawego w chacie?! Tak, panie Skalski, przedewszystkiem należy słuchać dobrych rad doświadczonych przyjaciół! Niechno pan teraz zajmie się przygotowaniem do dzisiejszej nocnej wy-cieczki. Proszę sobie rzetelnie podjąć i ciepło się ubrać, gdyż za godzinę ruszamy w drogę. A kto wie, czy nie wypadnie nam spędzić kilku, a może kilkunastu godzin w puszczy. Pańska panna Hania jeszcze dzisiaj będzie wolna! — zakończył orację wywiadowca.

Andrzej chętnie rzuciłby się Dębskiemu na szyję i uściskał go za tę obietnicę.

Jakiż to kochany człowiek... gdy inni już stracili

wszelką nadzieję odnalezienia Hani, on jeden nie dał za wygraną, lecz sam ze swoimi zuchami czynił dalsze poszukiwania... no i dopiął celu.

— Nie wiem, czy zdołam kiedy odwzięczyć się panu, drogi panie Henryku, za to wszystko, co pan dla mnie i dla Hani Orkiszówny uczynił — mówił Andrzej, ściskając serdecznie ręce wywiadowcy.

— Największą nagrodą będzie mi to — odparł Dębski — że uchwycę nareszcie tego eleganckiego „towarzysza“. Cóż to za chytra sztuka, to jeden z najsprytniejszych szpiegów... już wielu z nich wyłapałem... nie spocznę, dopóki nie oczyszczę Rzeczypospolitej od tego plugastwa.

Dębski zamyślił się; niby smuga cienia przemknęła przez jego spokojne oblicze. Cicho, jakby do siebie, wyszeptał:

— W ten sposób wywieram zemstę za... mojego ojca, którego nie było mi dane poznać, gdyż komuniści go porwali. Już dawno to było, przed dwudziestu kilku laty... A ze zmartwienia po stracie ojca i matka też mnie wcześniej odumarta...

— Zapewne pański ojciec został wzięty do niewoli podczas walk w roku 1920? — ze współczuciem pytał Andrzej.

— Nie wiem tego, może i wzięty do niewoli. Dziadkowie, rodzice matki, u których się wychowywałem na wsi pod Żyrardowem, nie umieli, czy też nie chcieli mi tego wyjaśnić. Mówili tylko, że ojca uwięzili komuniści i że nie pozwolili mu powrócić do kraju; matka zaś w parę lat później ze zmartwienia i zgryzoty dostała suchot i zmarła. Tak, czy inaczej, dość że przez bolszewików zostałem sierotą; zato ich nienawidzę

i dlatego tępię, gdzie tylko spotkam... Lecz zagadaliśmy się, a tu czas zbierać się w drogę, już za trzy kwadransy należy wyruszyć.

Przynaglany przez pana Dębskiego, Andrzej szybko się przebrał w ciepłą kurtkę, przywdział wysokie nieprzemakalne buty, sprawdził magazyny rewolwerów, zaopatrzył kieszonkowy reflektor w świeże baterje i niebawem gotów był do wymarszu.

— Upragniona godzina czynu nadchodzi... Wkrótce ocali Hanię z rąk zbójów. Oby tylko nie zaszyły nieprzewidziane przeszkody. Czy aby Hania zdrowa? Toć już przeszło od dwóch tygodni więżą ją w jakiejś zatechłej izbie, bez słońca i powietrza... a może głodzą biedne dziewczątko?! — dumał Andrzej i sięgnął do swej podróżnej walizy, skąd wyjął parę tabliczek czekolady, flakonik wody kolońskiej i jeszcze jakieś drobiazgi; wszystko to schował do bocznej kieszeni, szepcząc tkliwie: to dla Hani...

— Panie Andrzeju, za kwadrans ruszamy — zagrział tubalny głos Dębskiego z sąsiedniego alkierza. — Proszę nie zapomnieć o manierce z konjakiem.

Właśnie Andrzej kończył nalewać koniak do manierki, gdy z zewnątrz dało się słyszeć ujadanie psów i głuchoe odgłosy, przypominające warczenie motoru.

Zbliżywszy się do okna, dostrzegł sunące szybko po szosie ślepie reflektorów zbliżającego się pojazdu. Zaledwie zdołał wyjść do sieni i otworzyć drzwi wejściowe, gdy przed ganek zajechały z impetem sanie motorowe, spowite w obłok śnieżnej kurzawy.

— Czy to jest dom dozorczy Kruka? Czy zastałem pana Skalskiego? — zabrzmiało pytanie, wyrze-

czone niecierpliwym tonem i donośnym głosem przez jednego z przybyłych gości.

Andrzejowi aż dech zaparło ze wzruszenia — toć to głos Jurka, którego przybycia już od szeregu dni nadaremnie oczekiwał. Wyjeżdżając przed dwoma dniami z Warszawy do Nadlańskiej puszczy, dokąd został wezwany radjotelefontycznie przez Dębskiego, Andrzej pozostawił na dworcu lotniczym i u siebie w domu listy, wzywające Jurka do niezwłocznego udania się na kresy według podanego adresu. Jakże pomyślny zbieg okoliczności. Jurek przybywa w samą porę — przemknęło w głowie Andrzeja i wnet wyciągając ręce na powitanie, zawołał radośnie:

— Jurku, druhu serdeczny, nareszcie się zjawiasz! i objąwszy drogiego gościa w mocnym uścisku, prowadził go do wnętrza domu.

— Jakże w porę przybywasz!... Pewnieś zziębnięty i strudzony... siadajże... napij się konjaku, to się rozgrzejesz... — troskał się radośnie Andrzej, ściągając z Jurka zaśnieżoną burkę i sadowiąc go przemocą na kanapie.

— Pozwól, Andrzeju — bronił się Jurek — przede wszystkim muszę tu przyprowadzić mojego towarzysza podróży... i ulokować nasze sanie w podwórzu.

— Któż to taki, ów towarzysz podróży? — zapytał Andrzej.

— Później się dowiesz — rzucił przelotnie Jurek i wybiegł śpiesznie na dwór.

Po paru minutach Jurek wprowadził do pokoju zakutanego w ośnieżoną burkę Dębala.

Pan Dębski, przebrany już do nocnej wycieczki,

ukazał się we drzwiach pokoju. Nastąpiła pośpieszna prezentacja i krótka wymiana zdań, gdyż pan Dębski od razu przerwał wszelkie ceremonje powitania, oznajmiając, że najdalej za pięć minut należy wyjść z domu.

— Komu w drogę — temu czas! — mówił wywiadowca. — W drodze będziemy sobie gwarzyli, moi panowie, i to tylko szeptem, gdyż nawet puszcza ma uszy.

Dębski zniknął na chwilę w swoim alkierzu, skąd przyniósł dwie pary solidnych butów i dwie kurty futrzane, ofiarowując je przybyszom.

Dębał w pierwszej chwili czuł się tak znużonym, iż skłonny był raczej pozostać w domu. Dowiedziawszy się jednak, że wycieczka ma na celu uwolnienie Hani z rąk komunistów, oświadczył kategorycznie, że pójdzie choćby na koniec świata i niezwłocznie ją naciągać olbrzymie buciska, ofiarowane mu przez Dębskiego.

— Pójdę z wami — przebierając się, wywodził Dębał z niebywałą u niego elokwencją — chociem stary, jednak w tyle nie zostanę. A mogę się nawet przydać, boć chyba nikt z was nie zna komunistów lepiej odemnie.

Wywiadowca spojrzał badawczo na mówiącego; dziwną wydała mu się ta przechwałka. To też nie mógł się pan Henryk powstrzymać od tego, aby już na wychodnem nie zapytać:

— Gdzież to pan zdołał tak dokładnie poznać komunistów? Czyżby pan przebywał dłuższy czas z nimi?

— Wiele się widziało i wiele przeżyło — odparł

wymijająco Dębał — lecz o tem, potem. Teraz dajcie mi panowie jakąś broń na wszelki wypadek i ruszajmy w drogę.

W chwilę później cztery milczące postaci sunęły cicho w kierunku bliskiego boru.

Noc była pogodna; chwycił lekki mróz, ścinając wilgotną śnieżną pokrywę cienkiem szkliwem, chrupiącem pod stopami idących. Wicher ustał. Płynące zwolna po niebie chmury, niby treny uchodzącej na zachód zamieci, od czasu do czasu odsłaniały granat firmamentu, usianego iskrzącymi gwiazdami. Światło księżycy zasnuwało łagodnym błękitem śnieżną biel ziemi, srebrzyło bajora i strumyki. Tajemnicze cienie ze światła i mroków słały się po boru.

Niebawem puszcza leśna wchłonęła wędrowców w swe tajemne wnętrza.

* * *

Hawryło Oleksiuk siedział rozparty przy stole i gęsto pociągał okowitę z pękatej fłaszki. Obok butli leżał bochen chleba z zatkniętym weń nożem i kilka cebulek czosnku.

Mroczne wnętrza izby zaledwie rozjaśniał płomyk prymitywnej naftowej lampki, zawieszanej na gwoździu wbitym w ścianę. W rogu stał sklecony z desek tapczan, okryty czarną baranicą; parę stołków i ława dopełniały umeblowania tego ponurego i cuchnącego pomieszczenia. Drzwi, prowadzące do sieni, stały otworem. Po przeciwległej stronie sieni widać było poprzez uchylone drzwi wnętrza drugiej, mniejszej i schludniejszej izdebki, słabo oświetlonej ogarkiem świecy.

Po izbie tam i zpowrotem przechadzał się nerwowym krokiem młody mężczyzna o inteligentnym wyrazie twarzy, ubrany w wykwinny strój sportowy. Elegancki młodzieniec stanowił rażący kontrast z prostem i niechlujnym otoczeniem, a zwłaszcza z odrażającą postacią podchmielonego Oleksiuka.

Widocznie zapach czosnku i zaduch, panujący w izbie, niemile drażniły wrażliwe powonienie eleganta, gdyż zawzięcie ćmił jednego za drugim papierosa, otaczając się kłębamii wonnego dymu.

W pewnej chwili spacerujący pan spojrzał na zegarek i wyjąwszy z ust papierosa, zwrócił się do Hawryły:

— Towarzyszu Oleksiuku, coś za dużo pijecie, pamiętajcie, że przed wami znojna droga i to przez ciemną puszcę. Horyłka zamroczy wam w głowie i jeszcze wpadniecie w ręce straży granicznej. Już dochodzi ósma godzina, wkrótce powinniście wyjść z chaty. Weźmiecie ze sobą tę oto walizkę; w środku są ważne papiery; oddacie je do rąk Nikicie Timofiejewiczowi, który będzie na was czekał przy budce strażniczej na tamtym brzegu Słuczy przy brodzie.

Hawryło, któremu widocznie horyłka już zamroczyła od natury zresztą słabą głowę, zwolna uniósł swój kudłaty łeb i skierował zamglone od wódki oczy w stronę mówiącego.

W mdłym żółtawym świetle lampy oblicze Hawryły czyniło wrażenie jakiejś szpetnej maskary.

Zwichrzone kudłate włosy zarastały niskie czoło; oczy, osadzone głęboko pod nawisłemi brwiami, świeciły zwierzęcym blaskiem, świadczącym o zwyrodniałych instynktach. Wydatne kości policzkowe, nie-

kształtny i zadarty nos oraz rzadki szczeciniasty zarost nadawały obliczu Hawryły wyraz okrucieństwa i umysłowej tępoty.

Chłop zrazu nie odpowiadał swemu rozkazodawcy. Wpatrywał się w niego jarzącemi się mglistym blaskiem oczami, w których chwilami ukazywały się iskierki utajonego szyderstwa. Wreszcie, łyknąwszy jakby dla kurażu potężny haust okowity, splunął przez zęby i ochryplym głosem wycodził:

— A cobyście mi zrobili, towarzyszu Zarowski, gdybym tak dzisiaj nie zechciał spełnić waszego rozkazu.

Widocznie Hawryło sam uląkł się swej czelności, gdyż wnet dodał, jakby na usprawiedliwienie:

— Pogoda sobacza, tropy puszczańskie śniegiem zanosło, a przytem te lackie czorty zwiedziały się o naszej kryjówce i od paru dni węszą około chaty.

Wytworny pan Zarowski nie spodziewał się widocznie sprzeciwu ze strony Hawryły. Nie przerwał mu odrazu bezczelnej gadaniny, natomiast utkwiał sugestywnie wzrok w jego oczach, niczem pogromca w ślepiach krnąbrnego zwierzęcia.

Hawryło znów pociągnął tęgi łyk z flaszki i mówił dalej:

— A jakże będzie z panną? — tu wskazał ręką poprzez się na uchylone drzwi małej izdebki. — Jakże ją samą zostawić na opiece niedołężnej staruchy? Bo przecie wy, towarzyszu Zarowski, niezwykli u mnie nocować... moja chata dla was za brudna...

— Właśnie dzisiaj mam zamiar tu przenocować — odparł Zarowski, zniecierpliwiony bezczelnością Oleksiuka. — A przytem to nie wasza rzecz, Hawryło. Je-

steście człowiek partyjny, komunista — tak, czy nie?! To znaczy musicie słuchać swej władzy — ot co! — zakończył tonem rozkazu.

Wódka jednakże dodała odwagi Hawryle, gdyż powstał ze swego stołka, wsparł się o stół potężnymi pięściami i zapytał tonem urągliwym:

— A wy, towarzyszu Zarowski, czy zawsze słuchacie swej władzy? Ot, przed dwoma tygodniami, jakęście tu przywieźli dziewczkę, to prawiliście inaczej. Mówiliście, że za kilka dni wyższe naczalstwo powie, czy mamy dziewczkę kaźnić, czy też puścić wolno. No, i cóż z tego?! Przed tygodniem już pytał mnie Nikita Timofiejewicz, czy my dziewczkę spławili; mówił, że taka była wola naczalstwa. He, towarzyszu Zarowski, co wy na to powiecie?! Kto z nas nie słucha władzy, he?! Coś widzi mi się, że wam, towarzyszu, miło pachnie liczko młodej panny — z obleśnym grymasem gęby zakończył Oleksiuk.

— Milcz, potworne bydlę! — wrzasnął Zarowski, sięgając do bocznej kieszeni, gdzie zwykł nosić rewolwer.

Oleksiuk dostrzegł wymowny gest Zarowskiego, nie uląkł się jednak i kładąc jakby od niechcenia rękę na trzonku noża, głosem dyszącym zwierzęcą wściekłością, zawarczał:

— Nie bydlę ja i nie rab tchórzliwy, tylko towarzysz-komunist! I to wam powiem, że nijak nie pójdę na tamtą stronę Słuczy... bez panny... Dajcie laszkę harną, okutam ją tułupem, wezmę na ręce, niczem matka detynu, i zaniosę choćby w piekło... A jeśli sprzeciw okażecie... to i mnie i wam lepiej nie żyć!

Krew buchnęła do głowy Zarowskiemu. Jak śmie to zwierzę dwunożne odzywać się w ten sposób do niego, szefa wywiadu. Z takim pijanym prostakiem nie można przecie dyskutować, pozostaje tylko użyć przemocy — zdecydował w myśli i powtórnie sięgnął po rewolwer.

Nie zdążył jednak użyć broni, gdyż w tym momencie błysnął mu przed oczami nóż Hawryły. Zarowski uczył przejmujący ból w lewym płucu i runął na brudną podłogę izby.

Widok leżącej bez ruchu ofiary swej zbrodni, zapach ludzkiej krwi, buchającej z szerokiej rany i zastygającej w szkarłatnych plamach na podłodze, zdawało się oprzytomniły pijanego mordercę. Oleksiuk chwycił się za głowę, kilkakroć szarpnął swe kudły szaleńczym chwytem i chwiejnym krokiem ruszył ku drzwiom, jakby w zamiarze ucieczki. Jednakże wódka ponownie go obezwładniła; pijak zatoczył się wstecz; z gestem rozpaczki i rezygnacji chwycił flaszkę i przytknąwszy ją do ust, jednym tchem wypróżnił do dna.

W tym momencie wyważono z hałasem wejściowe drzwi do chaty i zagrzmiął donośny rozkaz wywiadowcy Dębskiego: „Ręce do góry! Nie ruszać się z miejsca!”

* * *

— Jurku, opowiadaj to dalej... ciekawe to wszystko, chociaż straszne — prosiła Hania, przytulając się do ramienia brata. — Pragnęłabym prędzej dowiedzieć się wszystkiego, czego doznałeś w ciągu tej kilkumiesięcznej rozłąki. Jakże ciężkie chwile musiałeś, braci-szku, przeżywać tam na rozszalałych falach oceanu, uczepiony oderwanego skrzydła samolotu.

Dreszcz zgrozy przeszył serce Hani na samą myśl, że jej ukochany brat był tak bliski tragicznej śmierci.

Jurek już od paru chyba godzin opowiadał Hani i Andrzejowi swe niezwykle przygody. Podczas, gdy Dębski wraz z Dębalem i wywiadowcami zajęli się martwym już Zarowskim i jego zabójcą Oleksiukiem, Jurek i Andrzej udali się wprost do małej izdebki, która była więzienną celą Hani.

— Opowiadałbym dalej — odparł Jurek — lecz jest zbyt późna godzina. Haneczko, jesteś znużona, drżysz cała z przemęczenia; połóż się, siostrzyczko, i spróbuj zasnąć — namawiał Jurek. — Wszak jutro rano czeka nas uciążliwa droga powrotna, piechotą przez puszcę, potem saniami do stacji; nie wcześniej, jak pod wieczór przybędziemy do Warszawy.

Jurek ułożył siostrę na tapczanie, okrył ją pledem, sam zaś zasiadł u wezglowia i pieścotliwie gładził główkę ukochanej siostry. Hania przymknęła powieki i przeżywała w wyobraźni zdarzenia z opowieści brata.

Andrzej Skalski siedział zadumany przy stole. Rozmyślał nad niezwykle przeżyciami swego przyjaciela. W oczach Andrzeja Jurek urastał na prawdziwego bohatera. Przywołał w pamięci ów wieczór czerwcowy, kiedy razem stali pod pomnikiem Orłąt... Jurek dokonał swego dzieła!

W izbie panował półmrok, zaledwie rozpraszany wątlę światłem świecy. Z sąsiedniej komory dochodziło chrapanie staruchy, matki Oleksiuka. Z zewnątrz słyszać było tupot i wrzawę biwakujących na dworze wywiadowców.

Hania leżała spokojnie z przymkniętymi oczami —

popadła w stan błęgiego bezruchu; po raz pierwszy od wielu miesięcy, od czasu rozłąki z Jurkiem, mogła zasnąć z uczuciem beztróskiego spokoju.

Skrzypnęły drzwi; do izdebki wsunął się Dębał; chwilę popatrzał na uśpione dziewczątko i, nie chcąc mącić kojącej ciszy, cichutko wyszedł. Hania otworzyła oczy. Słodko uśmiechnęła się do nachylonej nad nią postaci brata i zapytała:

— Kto to wszedł?

— Spij, Haniu — burknął dobrotliwie Jurek.

— Nie chce mi się spać, chętnie pogwarzyłabym z tobą. Tak dawno nie słyszałam już twego głosu, Jurku. Czy ten pan, który przed chwilą wszedł, to był ów Dębał?

— Tak, tak, lecz teraz już śpij — burczał znów Jurek.

— Eh, wstydz się, braciszku — kaprysiła Hania, uśmiechając się przymilnie. — Zaledwie od paru godzin cię widzę, a już na mnie krzyczysz. A przecież ten pan Dębał mocno zaważył na szali twych losów — przemyślnie nawiązywała Hania rozmowę. — Wszak gdyby nie jego przytomność umysłu, to obaj zginęlibyście w nurtach oceanu. Polubiłam ojca Dębala i interesuję się jego osobą.

W ten podstępny sposób Hania usiłowała przełamać milczenie chłopców, poddając temat do dalszej pogawędki.

— Widzę, że, jak dawniej, jesteś upartą dziewczynką — z udanym gniewem strofował siostrę Jurek. Po chwili zaś dodał: — Zapewne, że wiele zawdzięczam ojcu Dębałowi; dla tego też żywię dlań szczerze uczucie przyjaźni i szacunku.

— Skądże wziął się ów ojciec Dębaj w Eurawiacie — zagadnął Skalski, również chętny do rozmowy. — Wszak jest on Polakiem?

— O, to cała historia — odparł Jurek. — Dębaj jest oczywiście Polakiem; właściwie nazywa się Dębski. Niewesołe są dzieje jego życia. Bardzo dawno, gdyż jeszcze w roku 1920, znalazł się biedak w Bolszewji, został przez komunistów porwany... a właściwie zwabiony... Nieszczęśliwy człowiek porzucił żonę, dziecko... niby z własnej chęci, a jednak nie-dobrowolnie.

— Mówisz, że nazywa się Dębski — wtrącił Andrzej — takie same nazwisko nosi nasz wywiadowca. Może są ze sobą w jakim pokrewieństwie?! Byłby to niezwykły zbieg okoliczności: jeden Dębski odegrał znaczną rolę w życiu Jurka Orkisz, zaś inny, również Dębski — w życiu Hani Orkiszówny.

— A widzicie, moi panowie, że poruszyłam ciekawy temat — odezwała się Hania, zadowolona, że jej podstęp się udał.

— Rzeczywiście, jest to zastanawiające — dodał Jurek. — Czy nie wiesz, z jakich okolic pochodzi ten pan Dębski?

— Owszem, dzisiaj po południu właśnie opowiadał mi, że pochodzi z okolic Żyrardowa, gdzie jako sierota wychowywał się u rodziców matki. Wspominał przytem, że jego ojca również porwali komuniści w roku 1920...

— Zaczekaj no, przyjacielu — porywczo przerwał Jurek — dane z życia owego wywiadowcy, które przytoczyłeś, nasuwają bardzo daleko idące przypuszczenia. Jak ma na imię ten twój Dębski, czy przy-

padkiem nie Henryk, gdyż takie właśnie imię nosił synek Dębala.

— Ależ tak, wywiadowca ma na imię Henryk — gorączkowo zawołał Andrzej. — Czyżby ów Dębal był jego ojcem?! Byłoby to wprost zadziwiające zdarzenie.

Obydwaj młodzieńcy podnieceni niezwykle, a jednak prawdopodobnem przypuszczeniem, aż powstali ze swoich miejsc. Hania również, mocno zainteresowana tą sprawą, przysiadła na swym tapczanie i wtrąciła się do rozmowy.

— Coś wam poradzę: dowiedzcie się, jak ma na imię ów Dębal, potem zapytajcie naszego wywiadowcy, jak miał na imię jego ojciec, a wnet przekonacie się, czy wasze domysły są słuszne. Jeżeliby zaś tak było, jak przypuszczacie, to sprawimy obu Dębskim radosną niespodziankę. Po wieloletniej rozłące ojciec odnajdzie syna, a syn ojca.

— Racja, podziwiam pani inteligencję, panno Haniu — rad, że może powiedziec Hani komplement, dodał Andrzej. — Wnet idę do pana Henryka, ty zaś, Jurku, zapytaj o imię „ojca Dębala“.

— To niepotrzebne — odrzekł Jurek — wiem, że ma na imię Piotr.

Andrzej właśnie zamierzał udać się do sąsiedniej izby, gdy w tem drzwi cicho skrzypnęły i na progu ukazał się pan Henryk Dębski, a za nim Dębal. Wywiadowca był niezwykle podniecony, zaś na smutnem zazwyczaj obliczu Dębala widać było radosne wzruszenie.

— Słyszałem przez drzwi, że państwo rozmawiacie, zatem, wchodząc, nie zakłócimy spoczynku, wszak prawda?

— Ależ nie, nie — chórem odezwała się młodzież. — Prosimy obu panów bliżej.

Pan Henryk z szacunkiem usunął się na bok, przepuszczając przodem idącego za nim Dębala i zamknawszy za sobą drzwi, uroczyście przemówił:

— Zdziwi was, drodzy państwo, nowina, jaką pragnę oznajmić. Przed kilku jeszcze godzinami czułem się człowiekiem osamotnionym na tym Bożym świecie, sierotą, nie mającym rodziców ani krewnych. I oto stał się cud; gdyż cudownem należy nazwać odnalezienie mego zaginionego przed laty ojca. Obecny tu Piotr Dębski, znany wam pod przybranem nazwiskiem Dębala, jest moim ojcem — to rzekłszy, pan Henryk ucałował z szacunkiem rękę „ojca Dębala“.

— Właśnie o tem przed chwilą rozmawialiśmy — rzekł Jurek, ściskając serdecznie ręce obu panom Dębskim. Szczerze rad jestem, że mój zacny opiekun „ojciec Dębał“ zazna choć w jesieni swego życia radości i szczęścia rodzinnego.

— Jakże to się stało — zapytał Jurek pana Henryka — że rozpoznał pan swego ojca?

— A no, od czegoż jestem wywiadowcą — odrzekł, śmiejąc się pan Henryk. — Zaczęliśmy gwarzyć ze sobą i od słowa do słowa zgadało się o rodzinie Dębskich... Resztę zaś podpowiedziały nam stęsknione serca — rodzicielskie i synowskie... zakończył i ponownie ucałował rękę rodzica.

Ojciec Piotr ujął w swe dłonie głowę syna i przytuliwszy ją do piersi, wyszeptał: Henryś, mój Henryś...

Po zoranem zmarszczkami obliczu „ojca Dębala“ spłynęły łzy. Były to łzy szczęścia.

Milanówek, w X roku Odrodzonej Polski.



Biblioteka Główna UMK



300001047971

387060

12
7